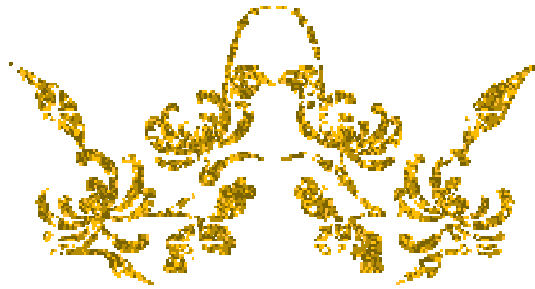




***MARIE
FERRARELLA***



Dla dobra rodziny

Złota Dynastia 02

Tytuł oryginału: *A Baby Changes Everything*



Drogie Czytelniczki!

Mam przyjemność zarekomendować Wam kolejną sagę rodzinną, w której odnajdziecie wiele wątków obyczajowych, romansowych, ale też kryminalnych. Tym razem zapraszam do poznania Fortune'ów, najpotężniejszej i najbogatszej rodziny w Teksasie. Są wśród nich ranczerzy, żołnierze, finansiści, właściciele firm, ale też gwiazdy filmowe.

Przez dwanaście miesięcy będziemy śledzić losy niektórych członków tego rozgałęzionego rodu, poznamy także mroczne i wstydlive sekrety rodzinne.

Bogactwo zdobyli pracą własnych rąk, a ich pierwsze ranczo Dwie Korony – nazwane tak od charakterystycznego znamienia, które mają wszyscy członkowie rodziny – było na początku podupadającą farmą.

Kingstone Fortune, założyciel rodu, często przymierał głodem. Jego syn Ryan jest milionerem i powszechnie szanowanym obywatelem.

A zatem zapraszam do Teksasu!

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Hej, już prawie was odpuściłam. – Vanessa Fortune Kincaid otworzyła drzwi zaraz po pierwszym dzwonku i natychmiast uściskała swoją najlepszą przyjaciółkę Savannah Perez. Obrzuciła ją uważnym spojrzeniem i nie spodobało się jej to, co ujrzała. Zazwyczaj promienny wyraz twarzy Savannah najwyraźniej należał do przeszłości.

– Nie ty pierwsza. – Savannah posłała przyjaciółce wymuszony uśmiech. Dzisiaj nie było jej stać na więcej. Z westchnieniem wprowadziła swojego pięciolatka do holu. Luke od samego rana bez przerwy paplał i biegał. Zdaniem Savannah określenie „wcielenie energii” pasowało do niego jak ulał.

– Jak miewa się najbardziej atrakcyjny mężczyzna trzech stanów? – Vanessa przyklękała, aby serdecznie uściskać swego chrześniaka. Chłopiec emanował delikatnym zapachem malinowego dżemu i fistaszkowego masła. Uwielbiał kanapki posmarowane oboma specjałami.

– Doskonale, ciociu Nesso – zapewnił rozpromieniony Luke. Zwyczajem swojego taty wepchnął dłonie w tylne kieszenie dżinsów. – Masz coś dla mnie?

– Luke! – Na białych policzkach Savannah pojawił się rumieniec zawstydzenia. – Nie prosi się ludzi o prezenty.

– Ja nie jestem łudź, tylko ciocia Nessa. – Vanessa porozumiewawczo mrugnęła do chłopca i podnosząc się z klęczek, machnięciem dłoni zbyła protest Savannah.

Zbyt długo były przyjaciółkami, aby się przejmować rzekomym brakiem dobrego wychowania. – A skoro o tym mowa, to rzeczywiście mam

coś dla Luke'a. – Vanessa podeszła do bufetu, coś z niego wyjęła i schowała za sobą, odwracając się twarzą do chłopca.

Podeksytowany Luke podskakiwał raz na jednej, raz na drugiej nodze, jego ciemne oczy lśniły.

Vanessa zaśmiała się radośnie i wręczyła chrześniakowi najnowszą figurkę z serii dzielnych wojowników. Entuzjastyczny osobnik, którego muskulatura niemal rozrywała rękawy namalowanej koszuli, był postacią z filmu, który jeszcze nie ukazał się na ekranie. Mimo to waleczny człowiek już stał się ulubionym bohaterem wszystkich chłopców poniżej dwunastego roku życia.

– To wielki Jake! – Luke wydał głośny okrzyk uciechy. – Pogromca potworów.

– W komplecie z własnym potworem do unicestwienia. – Vanessa wskazała mniejszą figurkę, łatwą do przeoczenia w towarzystwie bohatera.

– O, rany. – Luke z pomocą Vanessy rozerwał plastikowe opakowanie i dwie figurki wydostały się na wolność.

– Strasznie go psujesz. – Savannah z dezaprobatą pokręciła głową.

– Uwielbiam sklepy z zabawkami. – Vanessa z szerokim uśmiechem obserwowała chłopca pochłoniętego odtwarzaniem imponującej walki między bohaterem a potworem. Luke nie zwracał najmniejszej uwagi na matkę

I jej przyjaciółkę. – Zakupy dla Luke'a to doskonały pretekst. – Po poronieniu Vanessa jak nigdy dotąd pragnęła własnego dziecka. Devin, jej mąż, obecnie pracował w FBI za biurkiem i rzadko wyjeżdżał służbowo, mieli więc większe szanse, aby zaszła w ciążę. Vanessa pieszczotliwie zwichrzyła czarne włosy chłopca, podeszła do kremowej, skórzanej kanapy i usiadła obok przyjaciółki wtulonej w róg przepastnego mebla. Od momentu,

gdy Savannah przez telefon zapowiedziała swoją wizytę, Vanessa zmagala się z uczuciem zatroskania. Głos Savannah brzmiał dziwnie, a teraz jej zachowanie było wręcz apatyczne.

– Co miało oznaczać to „nie ty pierwsza”?

– Słucham? – Savannah przeniosła wzrok z synka na przyjaciółkę.

– Na twój widok powiedziałam, że już prawie was odpuściłam – przypomniała Vanessa. Sięgnęła po stojący na stoliku szklany dzbanek z mrożoną herbatą, napełniła dwie szklanki i podała jedną z nich Savannie. Na Luke'a czekały dwie butelki schłodzonego napoju. – A ty odparłaś, że nie ja pierwsza. Co chciałaś przez to powiedzieć?

Savannah wolałaby nie drażnić tego tematu, wiedziała jednak, że nie uda się jej łatwo zbyć Vanessy, która zawsze lubiła wyjaśniać wszelkie wątpliwości. Savannah wypila spory łyk chłodnego płynu i niefrasobliwie wzruszyła ramionami.

– Och, po prostu użalam się nad sobą – odparła ogólnikowo.

– Chcesz o tym pogadać? – Vanessa przyjrzała się jej badawczo i doszła do wniosku, że chodzi tu o coś więcej niż przelotny nastrój. Czyżby kłopoty w raju?

– Nie. – Savannah wlepiła wzrok w bursztynowego koloru napój. W głębi pokoju Jake zadał śmiertelny cios i plastikowy potwór wydał mrozący krew w żyłach okrzyk.

Vanessa zerknęła na chłopca, aby się upewnić, że wszystko w porządku. Luke właśnie rozpoczął zabawę według nowego scenariusza.

– A powinnaś – odparła z naciskiem, ignorując niemy protest Savannah. – Nie siedziałabyś teraz tutaj, gdyby nie przygnał cię jakiś problem. Wiesz, że nie dam ci spokoju, dopóki mi wszystkiego nie wyśpiewasz. W moim towarzystwie nie masz prawa niczego przemilczać.

Mów, w czym problem? – spytała przyciszonym tonem, choć wątpiła, że Luke przysłuchuje się rozmowie. Był zbyt zajęty graniem podwójnej roli – Jake'a i potwora.

– To nic takiego... – Savannah czuła się ponad wiek znużona i przeraźliwie samotna. Przepełniało ją też poczucie bezdennej pustki, które odbierało resztę sił.

– Znowu utkwiała wzrok w szklance, śledząc spojrzeniem spływające wzdłuż niej cieniutkie strużki wody. Są zupełnie jak łyzy, pomyślała. Moje łyzy.

Vanessa obserwowała ją z niepokojem.

– „Nic takiego” nie wprawiłoby cię w ten podły nastrój. Przypominasz zwiędnięty kwiatek. – Obrzuciła uważnym spojrzeniem sylwetkę przyjaciółki. Wcale nie wyglądała na piąty miesiąc ciąży. Jak ona to robi?

– W tym stadium powinnaś już promienieć.

Promienieć. Też coś. Prawie każdego ranka Savannah czuła się równie wspaniale, jak popioły z wczorajszego ogniska. Teraz zaśmiała się niewesoło i pokręciła głową.

– Tylko mężczyzna mógł w ten sposób zdefiniować macierzyństwo. Mój tak zwany dobry dzień nie oznacza euforii. Po prostu jestem w stanie jakoś go przetrwać. –I to z trudem, pomyślała. Luke, prowadzenie księgowości rancza, dbałość o dom i poranne mdłości sprawiały, że ledwie dawała sobie radę. Ostatnio było z tym coraz gorzej. Im szybciej usiłowała wykonywać kolejne obowiązki, tym bardziej miała wrażenie, że coś się rozleci. Albo wszystko. Lecz w głębi duszy wiedziała, że pokonałaby trudności, gdyby tylko otrzymała trochę wsparcia.

Co za mrzonki, pomyślała ze smutkiem.

Savannah czuła, że przyjaciółka patrzy na nią badawczo. Vanessa zawsze umiała czytać w jej myślach. Teraz też.

– Coś więcej, niż ciąża, daje ci się we znaki?

– Owszem. – Savannah wypila jeszcze jeden łyk herbaty i odstawiła szklankę na stolik. – Ach, ta twoja słynna przenikliwość... mogłabyś pracować dla policji. Marnujesz swój talent.

– Nie zmieniaj tematu. – Vanessa położyła dłoń na ręce przyjaciółki, aby tym gestem skłonić ją do podniesienia wzroku. – Powiedz, co cię dręczy.

– Wszystko – prawie niedosłyszalnie wyszeptała Savannah, wpatrując się w swoje splecione palce. W jej oczach nagle zebrały się łzy i spłynęły po policzkach. Otarła je niecierpliwie wierzchem dłoni, zirytowana swoją słabością. – Do licha, jeszcze nie radzę sobie najlepiej z tą huśtawką nastrojów, chociaż za drugim razem powinno być łatwiej, a nie trudniej. – Westchnęła ciężko, niemal przeświadczona, że cały świat sprzysiągł się przeciwko niej. Wiedziała jednak, że gdyby tylko Cruz nadal kochał ją tak, jak dawniej, wszystko inne jakoś by się ułożyło. – Szkoda, że nie można w ciąży oddać hormonów do przechowania i odebrać ich po urodzeniu dziecka.

– Powiedziałaś Cruzowi, co ci doskwiera? – Vanessa ze zrozumieniem przygarnęła Savannah do siebie i otoczyła ramieniem jej drobne barki.

– Cruzowi? – Savannah zaśmiała się gorzko, prostując plecy. Przecież to właśnie Cruz był całym problemem, a nie rozwiązaniem. Gdyby tylko się zmienił...

– Musiałabym najpierw zapisać się na spotkanie z własnym mężem, aby z nim porozmawiać. A i wówczas on prawdopodobnie albo by je odwołał, albo o nim zapomniał.

Vanessa milczała przez dłuższą chwilę, zmrożona wyrazem twarzy Savannah. Usiłowała czytać między wierszami, jednocześnie mając głęboką nadzieję, że się myli.

– Mój Boże, chyba nie chodzi o inną kobietę?! Inna kobieta. Gdyby tylko było to takie proste, przemknęło Savannah przez myśl.

– No cóż... Można to tak określić – odparła z cieniem gorczy w głosie. Cruz spędzał poza domem tyle czasu, że nawet ognisty romans nie byłby bardziej absorbujący. Savannah znów westchnęła. Kto by przypuszczał, że perspektywa sukcesu tak bardzo skomplikuje ich małżeństwo? Pieniądze nigdy nie miały dla niej znaczenia. Liczyła się tylko miłość i mąż. – Cruz spędza z nią całe dni

– wyznała, przypominając sobie, jak bardzo w ciągu kilku minionych miesięcy dręczyła ją samotność. – Gdy wreszcie do mnie wraca, ledwie jest w stanie sklecić parę słów. Daleko mu do tego mężczyzny, który dawniej przyprawiał mnie o zawrót głowy i przyspieszone bicie serca.

Vanessa zacisnęła pięści. Miała przemożną ochotę sprawić Cruzowi potężne lanie, choć do tej pory zawsze go lubiła. Przed ślubem od lat pracował na „Dwóch Koronach” – ranczu jej ojca i w dzieciństwie Vanessa wraz z rodzeństwem często bawiła się z Cruzem oraz jego siostrami. Zarówno ona, jak i jej siostry i bracia, uważali go za swego przyjaciela.

Teraz miała dla niego mniej pochlebne określenie.

– Kim jest ta baba? Próbowalaś z nią pogadać? – Vanessa usiłowała wyobrazić sobie, co zrobiłaby na miejscu Savannah. – Gdyby jakaś żoźła chciała zatopić szpony w Devinie, to kopniakami zapędziłabym ją do Kanady! – Urwała, zmitygowana stanem przyjaciółki. Wciąż musiała sobie przypominać, że Savannah jest w ciąży, choć na to nie wygląda. –

Mogłabym to zrobić za ciebie, bo ty nie powinnaś się denerwować. Już ja pokażę tej dziwce. Jak się nazywa?

– „La Esperanza”. – Nadzieja. Tak ją ochrzcił. Nadzieja, bo właśnie to reprezentowała dla nich obojga. Nadzieja na nowy początek, nadzieja na przyszłość. Nadzieja, która teraz odebrała Savannah całą nadzieję.

– Ranczo? – W głosie Vanessy zabrzmiało niebotyczne zdumienie.

– Ranczo. Cruz mówi o nim jak o kobiecie. „La Esperanza” to nieporównywalnie większa konkurencja niż jakakolwiek kobieta z krwi i kości. – Savannah pragnęła wierzyć, że gdyby w grę wchodził pozamałżeński romans, wiedziałyby, jak rozwiązać problem. Ale ranczo od niepamiętnych czasów było największym marzeniem Cruza. Nie miała pojęcia, jak konkurować z marzeniem. Czy w ogóle było to możliwe?

– Ale on robi to wszystko dla rodziny – zaprotestowała Vanessa. – Dla ciebie.

Wcale nie dla mnie, pomyślała Savannah. Gdyby Cruz rzeczywiście miał ją na względzie, to przestałby się zarzywać już dawno temu. Poświęcałby jej trochę czasu zarówno w dzień, jak i w nocy. Ale nie, on żył wyłącznie sprawami rancza!

– Robi to dla siebie – oświadczyła stanowczo i zaraz nieco złagodniała, jak zawsze lojalna wobec mężczyzny, którego kochała całym sercem. Nawet teraz pragnęła choć do pewnego stopnia być po stronie męża.

– Och, Cruz oczywiście chce zapewnić nam wygodne życie, ale to życie byłoby dużo lepsze, gdyby on był w nim obecny zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. A tak nie jest.

– Westchnęła na myśl o kilku ostatnich miesiącach. Może nawet latach... Ten niezdrowy układ trwał od dawna i w miarę upływu czasu coraz bardziej się pogarszał.

– Hej, musiał tam być obecny zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie przynajmniej raz! – Vanessa znacząco poklepała Savannah po brzuszku, usiłując trochę ją rozweselić.

– Raz to dla mnie za mało. Potrzebuję czegoś więcej niż męża na pół etatu, chociaż aktualnie zgodziłabym się nawet na tyle. Ale Cruz oferuje mi tylko dziesięć procent... na ogół spędzone w łóżku.

– Znasz moje motto – liczy się jakość, a nie ilość.

– Ale on wtedy śpi! I chociaż wygląda we śnie naprawdę uroczo... – Savannah zerknęła na synka. Jake właśnie zadał potworowi serię ciosów prosto w twarz.

– Prawie tak rozkosznie, jak Luke... ale trudno prowadzić sensowną rozmowę z facetem, który pada na łóżko jak nieżywy. – Savannah odetchnęła głęboko, aby powstrzymać łzy. Nie przyszła tutaj, aby się wypłakiwać. Chciała po prostu choć na krótką chwilę zapomnieć o swoich troskach. – Cruz wstaje i wychodzi z domu przed świtem, wraca po zachodzie słońca, czasami jeszcze później. – Smutek przyprawił ją o niemal fizyczny ból serca. – Muszę pokazywać Luke'owi zdjęcia, aby nie zapomniał, jak wygląda jego ojciec.

– Chyba trochę przesadzasz – ze śmiechem odparła Vanessa.

– Nie za bardzo.

– Podzieliłaś się z nim swoimi frustracjami? – Vanessa wierzyła w moc międzyludzkiej komunikacji. Dzięki temu zawsze potrafiła porozumieć się z Devinem.

– Przecież ci powiedziałam... – Czyżby Vanessa w ogóle jej nie słuchała?

– Wiem, co mi powiedziałaś. – Vanessa usiłowała nie okazać lekkiego zniecierpliwienia. Była pewna, że potrafi udzielić przyjaciółce sensownej

rady. – Ponoć musisz umówić się na spotkanie, żeby pogadać z Cruzem. Więc się umów. Stań na głowie, żeby tego dokonać. Złap go za ramię dziś wieczorem i powiedz: Musimy porozmawiać. I zacznij mówić. – Vanessa wykonała dłonią zamaszty gest, jakby chciała w ten sposób przywołać czarodziejskie moce.

– On prawdopodobnie uśnie, gdy będę mówić. – Tak, jak właśnie parę dni temu. Zaraz po obiedzie. Nawet nie wstał od stołu. Oparł czoło na splecionych dłoniach „żeby dać odpocząć oczom” i natychmiast zasnął. Miała wielką ochotę włączyć radio na cały regulator, aby Cruz zerwał się na równe nogi, ale tego nie zrobiła. Delikatnie położyła jego ramię na swoich barkach, rozbudziła go na tyle, aby mógł wstać, po czym jakoś zdołała zaprowadzić go na górę do sypialni i położyć do łóżka. Innym razem w podobnej sytuacji, gdy Cruz trochę wypił, nawet się kochali. Po czym on zaraz zaczął chrapać. Nigdy nie czuła się bardziej samotna, jak tamtego wieczora. – Nie po raz pierwszy – dodała przyciszonym tonem z uwagi na synka. Starła się zachować spokój, lecz mimo to jej głos ujawniał głębokie emocje.

– Więc miej na podorędziu dzbanek zimnej wody i w razie potrzeby oblej Cruza.

– Radykalna z ciebie kobieta, Vanesso Kincaid! – Mimo poważnego nastroju Savannah parsknęła śmiechem.

– Możliwe, ale osiągam dobre rezultaty. – Vanessa mrugnęła do niej porozumiewawczo.

Miał wrażenie, że ten dzień, który zaczął się jeszcze przed świtem, nigdy się nie skończy. Zupełnie, jak wszystkie poprzednie w ciągu kilku minionych miesięcy. Były rozciągnięte do maksimum, wypełnione pracą od rana do nocy. Gdy każdego wieczoru wreszcie wracał do domu, Gruz Perez

ledwie był w stanie stawiać kolejne kroki. Czuł się totalnie wyprany z energii.

Po prostu nie miał siły, aby usiąść i rozmawiać z Savannah, a ona zawsze chciała skłonić go do rozmowy, gdy tylko przekroczył próg.

Szkoda, że był taki przemęczony.

Szkoda, że Savannah tego nie rozumiała.

Pragnął zapewnić swojej rodzinie wygodne życie, ale ten cel wymagał dużych poświęceń. Cruz musiał między innymi zrezygnować z tego, co robiłby najchętniej.

A najchętniej spędzałby o wiele więcej czasu z Savannah.

Kochał swoją żonę. Bardzo. Wręcz do szaleństwa, stwierdził, jadąc krętą alejką w stronę domu.

Lecz za każdym razem, gdy patrzył na Savannah, uświadamiał sobie swoje braki. Gdyby nie one, mógłby jej dać wszystko, na co taka kobieta jak ona zasługiwała. Wszystko, co chciał jej ofiarować. Lecz mimo ciężkiej pracy nie było go na to stać i miał z tego powodu poczucie winy.

Zawsze wiedział, że zarządzanie ranczem nie będzie łatwe, lecz mimo to od niepamiętnych czasów marzył o tym zajęciu. Posiadanie własnego rancza czyniło z człowieka prawdziwego mężczyznę, dawało mu powód do dumy.

Pod warunkiem, że odniosło się sukces.

Ostatnio jednak sprawy nie układały się najlepiej. Każdy kolejny dzień przynosił więcej rachunków do zapłacenia niż radości. Znacznie więcej.

A na dodatek miało się urodzić kolejne dziecko. Nieplanowane.

Piorun rzeczywiście uderza czasem dwa razy, przemknęło Gruzowi przez głowę, gdy parkował dzipa w garażu. Luke nie był zaplanowanym

dzieckiem. Ich pierworodny był owocem nocy pełnej namiętności, nocy o jakiej większość mężczyzn może tylko marzyć.

Idąc w stronę domu, Cruz w myślach cofnął się do czasów, gdy pracował dla rodziny Fortune'ów. Cieszył się wtedy w pełni zasłużoną opinią zawadiaki i podrywacza, a kobiety całymi stadami uganiały się za nim, niemal błagając o chwilę uwagi. Zaliczył wiele podbojów, ale od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał przyjaciółkę Vanessy, tę klasyczną piękność, wszystko się zmieniło.

Savannah miała arystokratyczną urodę i zachowywała się jak dziewczyna z klasą. Była całkowitym przeciwieństwem tych wszystkich kobiet, z którymi przedtem chętnie szedł do łóżka. One po prostu chciały spędzić upojną noc z miejscowym ogierem, a jego osobowość wcale ich nie interesowała. Natomiast Savannah spojrzała mu głęboko w oczy i najwyraźniej dostrzegła w nim walory, o które sam siebie nie podejrzewał.

Savannah sprawiła, że zapragnął zmienić się na lepsze.

Ale po jej wyjeździe usiłował o niej zapomnieć. Nadal pracował jako zaklinacz koni, żył po dawnemu i spał z każdą chętną kobietą. Lecz nawet i wtedy Savannah często nawiedzała jego myśli, chociaż wiedział, że jest ona tylko nieosiągalnym marzeniem.

Po utracie posady nauczycielki w średniej szkole o zatechłych tradycjach, Savannah wróciła do miasta i została księgową w „Dwóch Koronach” – ranczu Fortune'ów. Cruz oniemiał, gdy znów ją zobaczył. Lekko zaokrąglone kształty dowodziły, że Savannah spodziewa się dziecka. Jego dziecka, choć duma początkowo nie pozwoliła jej tego przyznać.

Duma była cechą, której oboje mieli w nadmiarze. Z powodu dumy Savannah nie chciała wyjść za Cruza tylko dlatego, że pragnął spełnić swój obowiązek, więc początkowo skłamała na temat tego, kto jest ojcem

dziecka. Natomiast Cruz był zbyt dumny, aby pozwolić Savannah wyjść za kogoś innego niż człowiek sukcesu.

Nadal myślał w ten sposób.

Zamierzał uczynić wszystko, co było w jego mocy, aby zostać owym człowiekiem sukcesu. Dla Savannah. I dla ich syna. Tego wymagał honor.

Ranczo początkowo zajmowało około pięćdziesięciu hektarów. Później Cruz dokupił sporo ziemi po wschodniej stronie, zamierzał bowiem trzymać więcej koni. Marzył, że kiedyś „La Esperanza” będzie dobrze znana w całym Teksasie. Oczywiście nigdy nie dorówna ranczu Fortu-ne’ów wielkością, ale jakością... to był w stanie osiągnąć. Miałby wtedy coś wartościowego, co mógłby ofiarować Savannah, Luke'owi i temu niemowlakowi, który pojawi się w ich rodzinie za sześć miesięcy. Nie, już za cztery!

Do licha, niełatwo było pamiętać o wszystkich szczegółach. Każdy dzień przynosił coraz to nowe i na ogół nieprzyjemne niespodzianki, praca trwała od rana do nocy, a na dodatek Paco oszedł – nie wiadomo, dlaczego. Cruz miał teraz tylko trzech pomocników. Fundusze odłożone na zatrudnienie czwartego musiał wydać na rachunki za usługi weterynarza, gdy jedna z klaczy została ukąszona przez grzechotnika. Prawie był zmuszony ją uśpić, lecz ona wyzdrowiała, a stan bankowego konta zbliżał się do zera. Na ranczu brakowało więc jednego robotnika i Cruz pracował za dwóch, ponieważ nie mógłby z czystym sumieniem obciążyć kogoś innego dodatkowymi obowiązkami.

Było już po dziewiątej. Długi lipcowy dzień oszedł wraz z ostatnimi promieniami słońca, a noc przyniosła ze sobą mrok i nieprzyjemną, trudną do zniesienia wilgotność powietrza, która ciężko zawisała nad ziemią.

Cruz mimo śmiertelnego zmęczenia pamiętał, aby tupnąć nogami na wycieraczkę z wyblakłym napisem „Witajcie”. Savannah nienawidziła, gdy ktoś wnosił do domu błoto.

Ostatnio nie znosiła wielu rzeczy.

Pomaszerował tropem zapalonego światła, po drodze wyłączając kolejne lampy. Rachunki za energię nie płaciły się same.

Savannah siedziała w małej jadalni przy stole, na którym były tylko dwa nakrycia.

Wargi Cruza wygięły się w smutnym uśmiechu. Już dawno przestała kłaść trzy, ponieważ Luke chodził spać dużo wcześniej.

Cruz marzył o tym, aby spędzać więcej czasu z synkiem. I z Savannah. Tak bardzo pragnął mieć w życiu trochę przyjemności. Ale łatwe, beztrudne życie istniało tylko w marzeniach, on zaś był realistą.

Kiedyś, w przyszłości, na pewno zwolni tempo, aby wreszcie cieszyć się owocami swej pracy tak samo, jak mężczyźni rodziny Fortune'ów, z którymi dorastał. Najpierw musiał jednak stworzyć podstawy takiej udanej egzystencji.

Wiedział, że nie istnieje żadna droga na skróty. – Cześć. – W jego głosie zabrzmiało znużenie, gdy się pochylił i cmoknął żonę w czubek głowy.

– Wróciłeś. – Savannah uśmiechnęła się z wysiłkiem. Cruz wyglądał na równie zmęczonego jak ona.

– Jak zawsze – odparł, wzruszając szerokimi ramionami. Jego dzinsowa koszula była wilgotna od potu.

Powiedział to tak, jakby wcale nie był zadowolony, że mnie widzi, pomyślała Savannah.

– Głodny?

Tak, był głodny. I spragniony. Spragniony wielu rzeczy, dużo ważniejszych niż jakikolwiek napój. Zmęczenie sprawiło jednak, że w tej chwili chciał tylko bezsilnie klapnąć gdziekolwiek, aby wreszcie trochę odpocząć.

– Nie. Pójdę się położyć.

– To twoja ulubiona potrawa. – Savannah spojrzała na jedzenie, które już dawno wystygło. Po spotkaniu z Vanessą postanowiła być bardziej cierpliwą, kochającą żoną. Dlatego właśnie przygotowała wymyślne meksykańskie danie, które nauczyła ją gotować teściowa.

– Dzięki. – Cruz zmusił swoje wargi do uśmiechu. Nie miał siły, aby cokolwiek przeżuć. – Zostanie na jutro.

– Jutro nie będzie tak smakować. – Savannah usiłowała nie okazać rozczarowania. Cruz znów ją zranił. Znów odsuwał ją od siebie.

– Będzie, bo ty to ugotowałaś. – Cruz z trudem pohamował irytację. – Jestem wykończony i idę spać, jeśli nie masz nic przeciwko temu. – Ruszył w stronę schodów.

– Właśnie, że mam – buntowniczo mruknęła Savannah, lecz on był już za daleko, aby ją usłyszeć. Łzy gniewu zapiekły ją pod powiekami, gdy zaczęła sprzątać ze stołu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Savannah włożyła do lodówki nietknięte jedzenie i poszła na górę. Od pewnego czasu gotowała głównie dla Cruza, ponieważ jej żołądek – niezależnie od tego, kiedy usiłowała coś zjeść – buntował się przeciwko wszystkiemu. Tolerował jedynie kilka krakersów parę razy na dzień.

Przestąpiła próg sypialni i spojrzała na Cruza. Spał jak zabity, z twarzą wtuloną w poduszkę. Nawet się nie rozebrał, zzuł tylko buty i rozpiął koszulę, której poły wyglądały teraz jak dwa dżinsowe skrzydła. Chyba padł na łóżko natychmiast po wejściu do pokoju.

Powietrze było ciężkie i lepkie, nadal przesycone wilgocią. Savannah otworzyła okna po obu stronach wielkiego łóżka, aby wywołać przeciąg, ale nie zdało się to na nic. Tego wieczoru bryza najwyraźniej omijała dom Perezów.

Savannah nie zwracała sobie głowy zdejmowaniem luźnej, letniej sukienki. Położyła się na brzegu łóżka, usiłując sobie wmówić, że jej życie to bajka.

– Dlaczego nie przebrałaś się wczoraj w nocną koszulę?

Były to pierwsze słowa, jakie usłyszała nazajutrz rano po wejściu do kuchni.

Savannah czuła się z lekka zamroczone. Przez ostatnie piętnaście minut gwałtownie wymiotowała, klęcząc nad muszlą klozetową, i dopiero teraz żołądek zaczął stopniowo oddalać się od gardła. W domu nadal panował mrok, więc ostrożnie zeszła po schodach i skierowała kroki do kuchni, gdzie paliło się światło.

Cruz siedział przy stole i jadł śniadanie. Znów przygotował je sobie sam.

Savannah westchnęła. Nie dość że Cruz ją ignorował i traktował jak popychle, to teraz jeszcze nie była mu do niczego potrzebna.

– Cud, że zauważyłeś. – W jej słowach zabrzmiał nieplanowany sarkazm.

– Oczywiście. — Podnosząc do ust kawałek chleba, Cruz spojrzął na nią takim wzrokiem, jakby podejrzewał, że z powodu ciąży Savannah ma nie po kolei w głowie. – Przecież leżałaś tuż obok mnie.

– Uznałam, że dostosuję się strojem do ciebie. – Otworzyła lodówkę, wyjęła mleko i nalała sobie pełną szklanekę. Codziennie zmuszała się do jej wypicia. Podniosła ją do ust, a żołądek natychmiast zaczął się buntować.

– Byłem wykończony. – Cruz usiłował nie okazać irytacji z powodu tej nieoczekiwanej krytyki. Nigdy nie był szczególnie cierpliwy, lecz ostatnio prawie wszystko wyprowadzało go z równowagi.

– Jak zwykle – wycedziła Savannah, siadając naprzeciw męża.

– Zarządzanie ranczem to wyczerpujące zajęcie – odparował, raptownie prostując plecy.

– Niech ci ktoś pomoże. – Po dwóch łykach odstawiła mleko na blat. Szczerze nienawidziła tego napoju.

– Na przykład ty? – Brzegiem grzanki nałożył resztę jajecznicy na widelec i zjadł kolejny kęs. – Już i tak prowadzisz księgowość. Poza tym zajmujesz się Lukiem, domem, no i jesteś...

– Dobrze znam swoje obowiązki – przerwała mu nieco zbyt ostrym tonem, lecz dzisiaj jakoś nie potrafiła nad nim zapanować. – Miałam na myśli któregoś z pomocników. Na przykład Paco?

– Już ci mówiłem. – Cruz z trudem pohamował zniecierpliwienie. Ostatnio coraz częściej ogarniała go frustracja, ilekroć przebywał w domu. – Paco odszedł. Ty w ogóle mnie nie słuchasz?

– Słucham – odparła wyniośle. – Wiem, ile dokładnie słów powiedziałaś do mnie w tym miesiącu. Niezbyt dużo.

– Savannah... – Czy ona znów zaczyna narzekać?

– A Hank? – Naprawdę nie chciała się kłócić. Pragnęła tylko zaoferować jakieś rozwiązanie, więc w rozpaczliwej próbie rzuciła imię kolejnego pomocnika.

– Hank? – Cruz nie krył zdumienia. Co też chodziło jej po głowie?

– Może mógłby zostać twoją prawą ręką?

– Hank nie jest do tego gotowy. – Cruz nigdy nie miał oficjalnego zastępcy. Co prawda myślał o jego mianowaniu, ale wciąż odsuwał to w przyszłość. Jakoś nie potrafił scedować na nikogo części swoich obowiązków. To było jego ranczo. Jego metody działania. W grę wchodziło jego dobre imię. Nie chciał go utracić, gdyby coś poszło źle.

Dlaczego nie? Savannah nie była w stanie tego pojąć. Zaledwie wczoraj jej mąż wspomniał, że Hank radzi sobie znakomicie.

– Jest tutaj już dwa lata...

– Powiedziałem, że nie jest do tego gotowy!

– Według ciebie nikt się nie nadaje! – Raptownie odsunęła się od stołu, piorunując Cruza wzrokiem. Do licha, jej mąż celowo zwał wszystko na nadmiar pracy.

– Ranczo to dla ciebie wymówka, aby nie wracać do domu o przyzwoitej porze!

– Trzeba było wyjść za jakiegoś biznesmena–lalusia, który siedzi za biurkiem od dziewiątej do piątej, a nie za mnie!

– Pragnęłam ciebie, a nie kogoś innego. – Chyba zwariował, pomyślała. Był jedynym mężczyzną w jej życiu.

– Mówisz to w czasie przeszłym? – Jedno słowo postawiło pod znakiem zapytania sens całego ich małżeństwa.

– Nie. Nadal pragnę tylko ciebie – poprawiła się, świadoma swego przejęzyczenia. – Ale nigdy cię nie widzę.

– Co ty pleciesz? – Wypił ostatni łyk kawy i odstawił kubek na spodek. – Widzimy się codziennie.

– Przez jak długo? Dwa razy po dziesięć, piętnaście minut? – On doskonale wie, że to się nie liczy, pomyślała.

– Zawsze właśnie albo wychodzisz, albo jesteś zbyt zmęczony i natychmiast zasypiasz.

– Więc jakim cudem doszło do tego? – Znacząco popatrzył na jej zaokrąglony brzuch.

– Raz na pięć miesięcy wcale się nie liczy. – Zniosła do zlewu talerz Cruza i pusty kubek.

– Było tego więcej niż raz! – Urażona męska duma sprawiła, że Cruz potrzebował sporej dawki samokontroli, aby nie wybuchnąć.

– Nie udawaj głupiego. Wiesz, o co mi chodzi.

– Oplukała talerz pod bieżącą wodą, zakreśliła kran i wytarła dłonie.

– Bynajmniej. Chyba sądzisz, że cały dzień się bawię.

– A tak nie jest? – Rzuciła ściereczkę na blat i raptownie się odwróciła.

– Nie uwielbiasz uganiać się po ranczu? Przecież konie to twoja pierwsza miłość.

Przygryzł wargi, aby powstrzymać cisnące się na usta gniewne słowa. Wiedział, że gdy raz zostaną wypowiedziane, już nie można ich cofnąć. Z uwagi na stan Savannah chciał jej okazać zrozumienie, choć ona najwyraźniej nie zamierzała zrewanżować się tym samym.

– Zaczynam myśleć, że konie rozumieją mnie lepiej niż ty – stwierdził ponuro.

– Pewnie dlatego, że spędzają z tobą tyle czasu – odparła kąśliwym tonem. Wylała resztę mleka do zlewu i zacisnęła dłonie na jego brzegu, usiłując wziąć się w garść. Nie chciała się spierać, a mimo to zachowywała się jak sekutnica. Mówiła głupoty, których wcale nie zamierzała powiedzieć. Miała wrażenie, że jest świadkiem tej kłótni jak przygodny obserwator, który widzi katastrofę kolejową i nie jest w stanie jej zapobiec. Odetchnęła głęboko, aby się skoncentrować. – Cruz, ja naprawdę nie chcę się kłócić.

– Nie wygląda na to, że jesteś w zgodnym nastroju. – Wstał od stołu i upuścił papierową serwetkę na blat takim gestem, jak średniowieczni rycerze, gdy rzutem rękawicy wyzywali kogoś na pojedynek.

A ponieważ naprawdę kochał Savannah, spróbował jakoś ją ułagodzić. Najlepiej, jak potrafił. Być może nie wspierał jej ostatnio tak bardzo, jak powinien, ale, u licha, harował ciężiej niż sam Pan Bóg podczas stwarzania świata. Gdziekolwiek się obrócił, pojawiały się coraz to nowe rachunki do zapłacenia, nowe problemy... A co dopiero mówić o trenowaniu koni. Ta praca wymagała mnóstwa czasu i uwagi.

– Jesteś w ciąży – powiedział pojednawczym tonem. – Twoje hormony szaleją. Zawieź Luke'a do którejś z moich sióstr i zafunduj sobie kąpiel z bąbelkami.

– I z tobą. – Savannah z uśmiechem podeszła do męża. Kto wie, może mydlana woda okaże się magicznym rozwiązaniem. Lub przynajmniej zapoczątkuje zmiany na lepsze.

– To zanadto dziewczynskie. – Jej uśmiech jak zwykle miał magiczny wpływ. Działał jak promień słońca wschodzącego nad ciemnym horyzontem.

– Nie, jeśli będziemy w wannie razem... – Savannah objęła męża za szyję i zaczęła bawić się kosmykiem jego ciemnych włosów.

– No cóż... – Cruz poczuł żar jej ciała. Swojego także.

– Tak, jak dawniej... – Savannah przytuliła się do męża, patrząc mu głęboko w oczy, świadoma wpływu, jaki na niego wywierała.

– Nigdy nie braliśmy razem kąpieli z bąbelkami – odparł bez przekonania.

– Nie, ale braliśmy razem prysznice. Pamiętasz, jak mydliliśmy się nawzajem? – Jej głos zabrzmiał słodko i zmysłowo. – Pamiętasz, jak osuszaliśmy się nawzajem miękkim ręcznikiem?

– Savannah, wiesz, że doprowadzasz mnie do szaleństwa. – Jego ciało zaczynało silnie reagować na jej bliskość. Musiał coś z tym zrobić... ani pora, ani miejsce nie były odpowiednie do amorów!

– Naprawdę? – Promyček nadziei rozświetlił mroczne zakątki jej duszy. Savannah przylgnęła do Cruza, z łatwością wyczuwając oczywiste dowody jego wzrastającego pożądania. Mam go, pomyślała triumfalnie. Musiała tylko doprowadzić to do planowanego końca.

– Weź sobie wolne na cały ranek. Tak, jak wspomniałeś, możemy podrzucić Luke'a do twojej siostry. – Wspięła się na palce i jej twarz znalazła się na wysokości twarzy Cruza. – Spędźmy trochę czasu tylko we dwoje – szepnęła uwodzicielskim tonem.

Jej wargi znajdowały się tak kusząco blisko... Cruz miał przemożną ochotę poddać się bez oporu.

Przecież nie był z kamienia i kochał swoją żonę. Od dnia, gdy wróciła na ranczo Fortune'ów, nawet nie spojrzął na inną kobietę. Nie chciał żadnej innej, liczyła się tylko Savannah. Lata jego nieustannych seksualnych

podbojów, kiedy szukał nie wiadomo czego, należały do przeszłości. Dzięki Savannah jego życie wreszcie się ustabilizowało i nabrało sensu.

Lecz teraz powinien już przebywać gdzieś indziej. Nie mógł sobie pozwolić na chwilę słabości.

Z trudem usiłował wziąć się w garść. Wiedział, że będzie stracony, jeśli podda się stopniowo ogarniającej go fali pożądania, jeśli nawet tylko pocałuje Savannah.

Nie wolno mu do tego dopuścić. Miał dzisiaj tyle do zrobienia.

– Skarbie, naprawdę dziś nie mogę. – Bardzo delikatnie ujął dłonie Savannah i uwolnił się z jej objęć. Zdumienie i rozczarowanie, które dostrzegł w jej oczach, przyprawiło go o bolesny skurcz w sercu. Ale przecież byli małżeństwem od ponad pięciu lat... ona dobrze rozumiała, jakie prowadzili życie. – Mam w planie dostawę pięciu koni.

– I musisz powitać je osobiście? – Niewypowiedziana frustracja sprawiła, że Savannah miała ochotę się rozwrzeszczyć. Zrobić scenę, jak nigdy dotąd.

– Savannah, przecież wiesz, jak to jest... – powiedział pojednawczym tonem. Spróbował dotknąć jej ramienia, ale się uchylła. Znów znajdowali się po przeciwnych stronach ringu.

– Tak – odparła z westchnieniem i odsunęła się od Cruza. – Wiem.

Nie mógł znieść smutku malującego się w jej oczach, więc zatrzymał się na moment i ujął ją pod brodę.

– Wkrótce będzie lepiej. – Odchylił głowę Savannah do tyłu i lekko musnął wargami jej usta. – Okaż jeszcze trochę cierpliwości.

– A mam jakiś wybór? – mruknęła, nagle przygaszona. W wyobraźni już widziała przed sobą kolejny nieskończenie długi, frustrujący, pusty dzień. Dzień bez Cruza. Całym sercem kochała swego synka, lecz czasami

potrzebowała małej odmiany. Na przykład kilku godzin sam na sam ze swoim mężem, ale szanse na to właśnie się rozwiały. – Kocham cię. – Spojrzała mu w oczy niemal błagalnie.

– Ja też cię kocham. Wiesz, że robię to wszystko dla ciebie. Dla naszej rodziny. – Chwycił kapelusz i ruszył do wyjścia.

– Nie – odparła smutno. – Robisz to tylko dla siebie. Ja mogłabym mieszkać w glinianej chacie, byle z tobą.

Cruz ze znużeniem odwrócił się od drzwi. Savannah plotła jakieś romantyczne bzdury, a on nie był w nastroju do ich słuchania.

– Nonsens – powiedział trochę za ostrym tonem. – Nie możesz ubierać się w glinę, nie możesz jej jeść ani nią płacić lekarzowi. To wymaga pieniędzy, Savannah, a ja zarabiam je w jedyny znany mi sposób. – Miał już powyżej uszu tych tłumaczeń, nie wspominając o całej reszcie, z którą jakoś musiał sobie radzić. – Zadzwoń do mojej siostry. Weź tę kąpiel – polecił. – Zaraz poczujesz się lepiej.

Milczała, gdy odgłos jego kroków odbijał się echem w pustym domu. Po chwili usłyszała szcęknięcie zamykanych drzwi.

– Na pewno nie – burknęła. – Uszczęśliwi mnie tylko świadomość, że naprawdę nadal mnie kochasz.

A miała co do tego poważne wątpliwości. Może wcale nie powinna była iść za głosem serca. Może popełniła kolosalny błąd, poślubiając Cruza.

Początkowo bardzo się opierała, ponieważ nie chciała, aby jej małżeństwo wyglądało tak, jak związek jej rodziców. Zainicjowało go poczucie winy, później cementowała go desperacja. W końcu się rozpadł, gdy obie strony zaczęły szczerze się nienawidzić. A wszystko to zdarzyło się tylko dlatego, że matka i ojciec Savannah pragnęli postąpić właściwie. Wychodząc za mąż, jej matka była z nią w ciąży i rodzice Savannah

przypominali jej o tym dzień w dzień. W dzieciństwie nigdy nie pozwolono jej zapomnieć, że jest powodem ich udręki.

Savannah dorastała w poczuciu odpowiedzialności za fakt, że dwie bliskie jej osoby nigdy nie były ze sobą szczęśliwe. Już dawno poprzysięgła sobie, że sama zwiąże się z kimś wyłącznie z miłości.

Wielkiej miłości, która przetrwa wszystko.

I właśnie taką miłością było przepelnione serce Savannah, ilekroć spojrzała w przystojną twarz Cruza. Wiedziała, że będzie go kochać do końca swoich dni i nic nie mogło tego zmienić.

Nie od razu jednak uwierzyła, że on darzy ją równie wielkim uczuciem, które przetrwa wszystko. Początkowo obawiała się, że pragnie ją poślubić tylko z powodu poczucia obowiązku. Cruz musiał włożyć sporo wysiłku, aby ją przekonać, że naprawdę ją kocha. Długo miała co do tego wątpliwości, lecz wreszcie zdołał przełamać jej opory i sprawić, że mu zaufała.

Czyżby popełniła błąd? Może Cruz był tylko dobrym aktorem?

A może ona po prostu była głupia i uwierzyła w to, w co chciała uwierzyć. Gdyby bowiem Cruz rzeczywiście ją kochał, to chyba znalazłby trochę czasu zarówno dla niej, jak i dziecka, któremu dał swoje nazwisko?

Zawsze był szalenie wybredny, gdy musiał najać ludzi do pracy na ranczu, dlatego trzech aktualnie zatrudnieni pomocnicy byli wysokiej klasy. Dwóch z nich urządziło się na ranczu w mieszkalnej przyczepie podarowanej przez rodziców Cruza. Podobno mógł całkowicie polegać na obu robotnikach.

Czemu więc nie scedował na nich trochę odpowiedzialności? Dlaczego musiał osobiście angażować się w każdy, nawet najdrobniejszy aspekt zarządzania ranczem? Dozorował dosłownie wszystko, począwszy od

podawania paszy i trenowania koni, a skończywszy na naprawianiu ogrodzenia, aby stado składające się z dwudziestu pięciu sztuk nie zawędrowało poza granice posiadłości.

Zaczynał pracę jako pierwszy, kończył jako ostatni.

Zupełnie, jakby musiał bez przerwy coś udowadniać. Codziennie od nowa. Jakby był najmniej wartościowym pracownikiem, a nie szefem, który wręcza czeki.

Mimo letniego upału Savannah zaparzyła sobie herbatę. Może gorący napój nieco uspokoi mdłości. Chciała być w formie, gdy Luke wyskoczy z łóżka.

Usiadła przy kuchennym stole, podniosła kubek do ust i dmuchnęła na parującą powierzchnię. Następnie wypła maleńki łycalek i przymknęła powieki, czując, jak ciepło płynu powoli rozchodzi się po żołądku.

Wychodząc za Cruza, oczywiście wiedziała, że nigdy nie będzie z niego ranczer na niby. Cruz należał do ludzi, którzy nie potrafią tylko pobieżnie zajmować się codziennymi sprawami – zawsze imponująco energicznie atakował wszystkie obowiązki, pełną parą zmierzając do celu. I właśnie to tak bardzo kochała w swoim mężu – że angażował się we wszystko całym sercem.

Ale nigdy nie przypuszczała, że będzie się to odbywało kosztem jej oraz ich dziecka.

Gdy się poznali, Cruz był zaklinaczem koni. Posiadał jakąś wrodzoną, nadzwyczajną moc, dzięki której umiał porozumieć się z trenowanymi zwierzętami. Potrafił zająć się koniem kompletnie znarowionym, zachowującym się jak diabeł wcielony, i stopniowo nawiązać z nim kontakt, mocną więź, doprowadzić do tego, że koń okazywał posłuszeństwo oraz nadawał się do trenowania. Taki koń był dumą każdego właściciela.

Najpierw Cruz przełamywał bariery, następnie dostosowywał się do konia, w rezultacie czego koń dostosowywał się do niego. Piękno tego procesu zapierało dech.

Teraz wydawało się, że Cruz wołał konie od własnej żony.

Konie oraz wszystko inne, co się z nimi wiązało. Dbalność o nie, czyszczenie, karmienie, nawet usuwanie gnoju ze stajni było ważniejsze niż rodzina.

Savannah nie miała pojęcia, jak to zmienić.

Poczuła napływające do oczu łzy. Jak doszło do tego, że utraciła Cruza?

Dlaczego nie kochał jej tak, jak dawniej?

Przypomniała sobie ten przelotny moment, którym oboje się rozkoszowali tuż przed wyjściem męża. Dawny Cruz nadal gdzieś tam był. Musiała tylko jakoś go odnaleźć.

Musiała sprawić, aby znów jej pragnął.

Zerknęła na swoje odbicie w szybie okna nad zlewem. Pierwsze promienie wschodzącego słońca dopiero zaczęły rozjaśniać ciemny horyzont. Odwróciła się bokiem i popatrzyła na siebie krytycznie. Jeszcze nie straciła figury.

Może zdoła uwieść Cruza.

Uśmiechnęła się swawolnie. Ten pomysł miał sens.

ROZDZIAŁ TRZECI

Savannah zapisała kilka ostatnich wydatków i wyłączyła komputer. Zamknęła laptopa i odwróciła się do synka, który nadal z zapalem bawił się figurkami otrzymanymi wczoraj od Vanessy. Zarówno potwór, jak i jego pogromca, dzięki Luke'owi robili mnóstwo hałasu, który innym razem przyprawiłby Savannah o potężny ból głowy.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj Savannah miała inne plany. I małżeństwo do wyprostowania.

Luke właśnie wskoczył na oparcie kanapy. W każdej dłoni trzymał jedną figurkę, a akcja niewątpliwie toczyła się na szczycie jakiejś góry.

– Znasz zasady, Luke. Żadnego skakania z kanapy.

– Och, mamoo... – Chłopiec zrobił nadąsaną minę.

– Nie jęcz, tylko zejdź stamtąd. – Savannah posłała mu groźne spojrzenie.

Luke zsunął się na pupie po meblu, wylądował na dywanie i kontynuował zabawę, traktując masywny stolik o szklanym blacie jako pole walki.

Zadowolona, że synek chociaż przez chwilę będzie bezpieczny, Savannah podniosła słuchawkę i wystukała domowy numer Rosity. Zawsze mogła liczyć na pomoc teściowej. Starsza pani oraz Ruben, jej mąż, po prostu uwielbiali swego wnuczka. A gdyby oboje byli dziś wieczorem zajęci, pozostawały jeszcze do dyspozycji cztery siostry Gruza oraz, oczywiście, Vanessa. Luke przepadał za nimi wszystkimi.

Tego wieczoru pierworodny Savannah miał spać w cudzym łóżku. Ona zaś zamierzała odzyskać to, co jej się prawomocnie należało.

Jej oraz Cruzowi. On też był kiedyś szczęśliwy. Uwielbiał się z nią kochać, okazywać jej czułość, dawać niezliczone dowody miłości. Tak bardzo byli w sobie zakochani...

Każde małżeństwo miewa okresy stagnacji, pomyślała, licząc kolejne sygnały telefonu. Konflikty to rzecz normalna, należało jednak wykroić trochę czasu, który mogliby spędzić tylko we dwoje, aby w pewnym sensie doładować baterie.

Wierzyła, że jest równie zagoniona, jak Cruz. On zajmował się ranczem, ona zaś miała na głowie wszystko inne – dom, księgowość, synka i każdy nieprzewidziany problem, który wymagał natychmiastowego rozwiązania.

Cóż, kobiety to tylko z pozoru słaba płeć. W rzeczywistości były bardziej odporne niż mężczyźni, oraz umiały skutecznie zajmować się kilkoma sprawami naraz. Podobnie jak Savannah, gdy nie była w ciąży. Ostatnio jednak często czuła się słabowicie, a przyływy energii kończyły się po kilku minutach.

Nie była taka wykończona przed urodzeniem Luke'a.

Ktoś w końcu odebrał telefon i Savannah wyprostowała plecy, podekscytowana wizją realizacji swego planu.

– Halo, mama? – Teściowa zawsze chciała, aby synowa tak się do niej zwracała, a Savannah chętnie się zgodziła. Szczerze mówiąc, czuła się bardziej emocjonalnie związana z Rositą niż z własną matką.

– Savannah? – W głosie Rosity zabrzmiał niepokój.

– Co się stało?

– Nic, mamó – pogodnie zapewniła Savannah. Gdyby Rosita nabrała jakichś podejrzeń, zjawiłaby się tutaj w mgnieniu oka. Zawsze obawiała się

najgorszego, ponieważ jej zdaniem była w życiu taka szczęśliwa, że los mógł ją tylko rozczarować. – Zajęłabyś się dzisiaj swoim wnukiem?

– Zawsze i z radością, ale dlaczego dzisiaj? Wybieracie się gdzieś? Oby do raju.

– Cruz ostatnio tak ciężko pracuje... – Savannah z rozmysłem ważyła słowa, niepewna ile powinna ujawnić, aby Cruz nie miał jej czegoś za złe. Zawsze był taki niezależny. Nie chciała urazić męskiej dumy nadmierną szczerością w stosunku do jego matki.

– Prowadzenie rancza to ciężka harówka.

– Tak, wiem. On też tak twierdzi. I już zapomniał, że czasem musi odreagować.

– Odreagować?

– To znaczy zrelaksować się – wyjaśniła Savannah.

– Znowu być mężem – dodała, ponieważ naprawdę lubiła starszą panią i podejrzewała, że Rosita i tak się domyśli.

– Ach, rozumiem! Oczywiście. Ruben może zaraz do was podjechać i zabrać Luke'a. Ja spędzę więcej czasu z moim pięknym wnusiem... a ty będziesz miała więcej czasu na to, co chcesz zrobić, żeby Cruz mógł... odreagować.

– No cóż... – Savannah nie chciała sprawić wrażenia, że pragnie się pozbyć synka jak najszybciej, lecz argument Rosity miał sens.

– Załatwione – zdecydowała teściowa. – Ruben będzie u was za pół godziny. Zapakuj ulubione zabawki Luke'a. I, Savannah...

– Tak?

– Powodzenia.

– Dziękuję. – Woląła nie dodawać, że powodzenie to za mało. Gdyby polegała tylko na nim, aby odzyskać Cruza, to jej małżeństwo byłoby w wielkich tarapatach.

Cruz miał powody do zadowolenia. Cztery konie, które niedawno kupił, prezentowały się jeszcze lepiej, gdy opuszczały przyczepę, niż wtedy, gdy ujrzał je po raz pierwszy galopujące na ranchu Erica Tylera. Wszystkie cztery były wspaniałymi okazami i sprawiały wrażenie inteligentnych.

Zawsze wiedział, czy konie są inteligentne. Wystarczyło, że trochę między nimi pochodził, właśnie tak, jak teraz. W ten sposób je oceniał, a one także szacowały go wzrokiem. Cruz lubił te zapoznawcze spotkania.

Nie było niczego gorszego niż durne zwierzę. Zwłaszcza do celu, który Cruz zamierzał osiągnąć. Trenował konie uszlachetnione, aby umiały skutecznie zaganiać stado bydła. Dobrze wyszkolony koń mógł nawet zapobiec popłochowi, odseparowując jednego spłoszonego byczka od reszty stada, zanim wpadło ono w popłoch i zaczęło pędzić na oślep, trując wszystko po drodze.

Cruz potrafił jednak radzić sobie również z głupszymi końmi niż te, które teraz obserwował. Powolutku owinał lasso na przedramieniu, nie spuszczać z oka najnowszych dodatków do swego stada.

Umiał porozumieć się z końmi tak łatwo, że zdumiewało to nawet jego samego. Gdyby był Indianinem, pewnie uznałby tę więź za braterstwo. Ta myśl nie przyszła mu jednak do głowy, gdy wkroczył do kolistej zagrody, aby zmienić kolejnego płochliwego, buntowniczego zwierzaka w konia gotowego do pracy dla swego pana. Dobrze wytrenowany koń dawał z siebie wszystko człowiekowi, który go karmił i o niego dbał.

Ilekcruz przebywał sam na sam z koniem, zawsze zachodziło coś niewytłumaczalnego. Coś, co umożliwiało Cruzowi nawiązanie kontaktu ze

zwierzęciem i stworzenie duchowej więzi, dzięki której odczuwał jego emocje, rozumiał przyczyny bólu lub braku zaufania.

Gdy Cruz pracował na Ranczu „Dwie Korony”, zawsze dostawał do poskromienia najtrudniejsze konie. Takie, z którymi przedtem nikt nie potrafił sobie poradzić. Przyprawiano je do Cruza z nadzieją, że może on zdoła je odmienić.

Nigdy nie poniósł klęski. Poskramianie niekiedy trwało kilka tygodni, innym razem – kilka miesięcy, lecz liczyły się skutki, a nie czas.

Na tym polegał luksus pracy dla kogoś innego. Lecz obecnie, gdy Cruz był swoim własnym szefem, gdy jego wysiłki zapewniały byt rodzinie, wszystko wyglądało trochę inaczej. Teraz poganiało go uczucie pośpiechu, ponieważ chciał jak najszybciej wiele osiągnąć – rozbudować biznes oraz zyskać solidną reputację dobrego ranczera. Pragnął też posiadać rzeczy, o których zawsze marzył. Nie, nie dlatego, że mu na nich zależało – prawdę mówiąc, wcale nie przywiązywał wagi do ekskluzywnych samochodów lub kosztownych ciuchów. Te dobra materialne oznaczałyby jednak, że on, Cruz Perez, jest człowiekiem sukcesu.

Człowiekiem godnym szacunku.

Człowiekiem, który mógłby nie tylko konkurować z innymi w świecie ludzi pokroju rodziny Fortune'ów, lecz również wykroić w nim znaczące miejsce dla siebie.

Wymagało to poświęcenia i wytężonej pracy, a on ostatnio coraz częściej bywał znużony. Zwłaszcza wtedy, gdy po powrocie do domu musiał wysłuchiwać coraz to nowych oskarżeń pod swoim adresem lub gdy widział rozczarowanie w oczach Savannah.

Nawet wówczas, gdy mógł poświęcić jej parę chwil, nie sprawiała wrażenia szczęśliwej, co oznaczało, że w jakiś sposób ją zawiódł. Frustrowało go to bardziej niż cokolwiek innego.

Pomocnik właśnie usiłował wprowadzić do zagrody piątego konia, który gwałtownie protestował. Eric Tyler dorzucił go do kontraktu prawie za bezcen.

– Weź go, zrobisz mi tym przysługę – oświadczył Tyler, gdy omawiali szczegóły transakcji. – Starszy mężczyzna zsunął z głowy kapelusz i podrapał się po łysiejącej głowie. – Nie mam pojęcia, co z nim począć.

Cruz uważał pozostałe cztery konie za dobrą inwestycję, lecz ten piąty natychmiast go oczarował.

Było w tym karym koniu coś szczególnego, co wyróżniało go spośród pozostałych. W jego oczach malowała się nie tylko inteligencja, lecz również jakby ostrożność połączona z żarem.

Sprawiał wrażenie niemal ludzkiej istoty.

Jest nadzwyczajny, pomyślał Cruz, obserwując narowiste zwierzę, które mimo wysiłków dwóch mężczyzn nadal broniło się przed wejściem do mniejszej zagrody. Prawdziwy z niego wojownik.

Nie będzie łatwo przerobić go na konia zaganiającego stado.

Ale Cruz uwielbiał wyzwania.

– Jak ma na imię? – spytał Tylera.

– Diabło.

Czyli diabeł. Pasowało jak ulał. Diabło w końcu dał się wprowadzić, potrząsnął głową i utkwiał spojrzenie ciemnobrązowych oczu w Cruzie.

– Myślisz, że zwyciężysz? – mruknął Cruz i mimo woli się uśmiechnął. – Czeka cię spora niespodzianka, przyjacielu.

Ale poskramianie i trenowanie Diabla pochłonie dużo czasu. Cruz wiedział, że najpierw powinien zająć się czterema pozostałymi końmi, aby przed końcem miesiąca dostarczyć je – w pełni wyszkolone – na ranczo „Flying W”. Było to priorytetem, musiał więc odpowiednio zaplanować kolejne dni.

Lipcowe słońce paliło bezlitośnie.

Cruz zdjął znoszony kapelusz, otarł pot z czoła i znów włożył stetsona na głowę. Omiótł wzrokiem ogrodzony teren, aby ocenić sytuację. Jeden z pomocników nadal pracował w stajni – usuwał z niej gnój i wkrótce pewnie zamierzał pokryć podłogę warstwą świeżej słomy. Dwaj pozostali zajmowali się nowymi końmi – w tym upale należało je opłukać chłodną wodą.

Dwie klacze były żrebne. Jedna z nich w zeszłym roku urodziła nieżywego żrebaka. Czas pokaże, czy tym razem będzie miała więcej szczęścia.

Cruz przypomniał sobie uwagę Savannah na temat Hanka. Jej zdaniem powinien awansować go na swego zastępcę i scedować na innych niektóre obowiązki, zamiast borykać się z nimi samemu. Dzięki temu życie stałoby się nieco łatwiejsze, pomyślał. Tyle tylko że sam robił wszystko lepiej niż inni.

Nie, wcale nie był zarozumiały, po prostu miał imponujące doświadczenie. Został kowbojem wiele lat temu i doskonale wiedział, jak prowadzić ranczo. Od niepamiętnych czasów czekał na taką szansę.

Właśnie się pojawiła.

Rozumiał jednak, że nie może być wszędzie jednocześnie. Prawdopodobnie mógł polegać na pomocnikach w zakresie codziennych, powtarzalnych zajęć. Nie musiał stać nikomu nad głową, aby się upewnić,

że podawanie paszy, mycie koni i czyszczenie stajni jest wykonywane prawidłowo. Zajęcia te były czasochłonne, postanowił więc, że inni się nimi zajmą.

Lecz trenowanie koni, ćwiczenie ich w chodzie aż do dnia, gdy osiągną w tym zakresie perfekcję, to inna sprawa. Trenowanie wymagało subtelного podejścia i niemal zasługiwało na miano pracy artystycznej. Była to jego domena.

– Hank! – Gestem dłoni przywołał wysokiego, chudego jak tyczka pomocnika o rudych włosach. – Weź jednego z chłopaków i skocz do Red Rock. Trzeba kupić więcej maści i cztery siodła dla tych nowicjuszy. – Wyjął z kieszeni kartę kredytową i wręczył ją pracownikowi. – A przy okazji... pasza się kończy.

– Wiem... – Hank zdjął kapelusz i przeczesał włosy palcami. Patrzył na szefa pytająco, jakby nie był pewien, czy dobrze go usłyszał. Cruz, chociaż cieszył się opinią człowieka sprawiedliwego, zawsze wolał trzymać wszystko w garści. – Ja sam mam wybrać siodła?

– Czemu nie? – Na widok wahania malującego się w oczach Hanka Cruz na moment zwątpił, czy przypadkiem chłopaka nie przecenił. Teraz jednak już nie mógł się wycofać. – Poradzisz sobie?

– Jasne, szefie, ale... przedtem zawsze sam wolałeś to robić.

Cruz powoli wypuścił powietrze z płuc. Przydzielanie innym swoich obowiązków nie będzie łatwe, niezależnie od opinii Savannah. Owszem, była bystrzejsza od niego, lecz to on znał się na zarządzaniu ranczem. Jednocześnie musiał przyznać, że docenia jej twórcze sugestie. Ciekawe, jak to będzie wyglądało w praktyce.

– Ustanawiam zastępców. – Cruz niemal zadławił się tymi słowami. – Zgodnie z radą mojej żony.

– Mógłbym też pomóc trenować konie. – Bank ruchem głowy wskazał pięć nowych nabytków. Cztery konie stały blisko siebie, zaś Diabło – bardziej z boku.

Nie było tajemnicą, że Hank marzył o zostaniu trenerem. W wolnym czasie całymi godzinami obserwował Cruza, gdy uczył on konie chodzić prawidłowo. Cruz wiedział jednak, że obserwacja i instynkt to dwie różne rzeczy. Instynktu nie można się nauczyć. Cruz wzdragał się na samą myśl o tym, aby pozwolić komukolwiek trenować konie.

– Zobaczymy – odparł Cruz tonem rodzica, który nie chce kompletnie odmówić czegoś swojemu dziecku, lecz jednocześnie wie, że spełnienie prośby jest nierealne.

– Tak mi tylko przyszło do głowy... – Sądząc po jego spojrzeniu, Hank najwyraźniej zrozumiał, że przynajmniej na razie powinien zapomnieć o mrzonkach. Wsunął kartę w kieszeń koszuli, przejechał dłonią po karku i wcisnął na głowę kapelusz. – Mam wziąć mustanga?

– Półciężarówkę. – Cruz rzucił mu kluczyki. – Będziesz potrzebował dużo miejsca.

– Jasne. – Idąc w stronę zaparkowanego samochodu, Hank zawołał drugiego pracownika, z którym zamierzał jechać do Red Rock.

Cruz odprowadził go wzrokiem nieco zachmurzony.

Chłopak nawet nie poprosił o odpowiedni pojazd, a przecież miał kupić świeżą paszę oraz cztery siodła. I planował wpakować to wszystko do małego sportowego mustanga?

A Savannah sugerowała, aby uczynić z Hanka zastępcę? Wykluczone. Cruz zamierzał nadal decydować o wszystkim – chyba że chciał, aby bank, który udzielił mu pożyczki na zakup rancza, wkrótce stał się jego właścicielem.

Cruz wiedział, że pora wziąć się do roboty, lecz najpierw podszedł do Diabła, aby mu się przyjrzeć. Ogier nadal trzymał się na uboczu, jakby rozumiał, że jest nadzwyczajny.

Zdrowe ego, nie ma co, z rozbawieniem pomyślał Cruz. Wdrapał się na ogrodzenie i wychylił się w stronę konia, który uważnie go obserwował. Teraz cofnął się parę kroków, lecz nie na tyle, aby okazać strach. Cruz wyczuwał, że koń ma równie silną wolę, jak jego nowy właściciel.

A więc obaj lubili walkę.

– To twój nowy dom, Diabło. Lepiej do niego przywyknij.

Ogier najwyraźniej zrozumiał, po czym natychmiast okazał niezadowolenie. Kilkakrotnie uderzył kopytami ziemię i odrzucił grzywę gwałtownym ruchem głowy, który stuprocentowo wyrażał bunt.

Cruz w pewnym sensie identyfikował się z tym podejściem. Dawniej, jako młody chłopak, długo nie chciał zintegrować się z rodziną Fortune'ów, chociaż ich lubił

I szanował.

Integracja była dobra dla jego rodziców, nie dla niego.

– Wcale nie czuję się urażony twoim zachowaniem. Może na poprzednim ranczu byłeś najważniejszy, lecz tutaj jestem tobie równy. Zostaniemy przyjaciółmi, gdy lepiej się poznamy. Masz na to moje słowo.

Nie próbował dotknąć konia ani nawet wejść za ogrodzenie. Zwierzę potrzebowało zachować dystans i Cruz zamierzał na razie to uszanować. Diabło musiał jednak przyzwyczaić się do jego obecności w swoim świecie.

Trenowanie zacznie się jutro rano, jeszcze przed innymi obowiązkami. Pół godziny, dwa razy dziennie. Musiał jakimś cudem znaleźć na to czas. Nawet gdyby oznaczało to przekazanie innym kolejnych obowiązków.

W żyłach Cruza pulsowało podekscytowanie. Od dawna nie czuł się tak wspaniale.

Savannah popatrzyła na swoje odbicie w lustrze szafy, wygładziła boki sukienki i skonstatowała, że drżą jej dłonie. Były one również nieco wilgotne od potu.

Zupełnie jakbym szła na pierwszą randkę, pomyślała rozbawiona. Pewnie miała ze sto trzepoczących skrzydełkami motylków w żołądku i wszystkie one usiłowały wydostać się na powietrze.

Na szczęście nie czuła się słabo, mdłości też chwilowo ustały. Przyszły członek rodziny Perezów postanowił współpracować ze swoją mamą. Przynajmniej na razie.

Bogu dzięki za małe przysługi.

Teść już zabrał Luke'a i natychmiast po ich odjeździe pognąła do Red Rock. Przed zakupami w spożywczym supermarkecie wstąpiła do centrum handlowego, żeby coś sobie kupić. Nie, nie nową sukienkę, tylko nocną koszulkę. Wystarczająco przejrzystą, aby serce Cruza zaczęło bić w zdwojonym tempie.

Wybrała długą, z błękitnego, przezroczystego nylonu, którego dwie cieniutkie warstewki uroczo falowały poniżej bioder, a elegancka wstawka z koronki zasłaniała piersi tylko do połowy.

Savannah nie mogła się doczekać reakcji Cruza na ten widok.

Po powrocie sprzątnęła dom, nastawiła obiad i pomknęła na górę, aby się przebrać. Teraz posiłek był już gotowy. Ona także. Zerknęła na zegar. Pięć po siódmej. Cruz miał wkrótce się zjawić.

Wcześniej zadzwoniła na jego komórkę, którą zawsze nosił przy sobie, ilekroć był na pastwisku. Odpowiedział dopiero po ósmym sygnale.

– Cruz, przyjeźdź zaraz do domu. – Natychmiast przypuściła atak.

– Dlaczego? – spytał, najwyraźniej zaniepokojony tonem jej głosu. –

Co się stało? Coś z Lukiem?

– Nie, Luke jest u dziadków.

– Coś z tobą? Źle się czujesz? Czyżby dziecko...

– Nie, skarbie – przerwała, zanim zaczął sobie wyobrażać coś strasznego. – Wszyscy jesteśmy w formie.

– Więc dlaczego dzwonisz?

Nigdy przedtem tego nie robiła, gdy pracował. Telefon komórkowy był przeznaczony wyłącznie do kontaktów w sytuacji kryzysowej.

Ratowanie małżeństwa, które zaczęło się rozpadać, zdaniem Savannah zaliczało się do tej kategorii.

– Bo mam poważny problem i tylko ty możesz mi pomóc.

– Jaki problem? – spytał nieco podejrzliwie.

– Zrozumiesz, gdy przyjdiesz. Proszę cię, pośpiesz się.

– Dobrze – odparł z westchnieniem. – Już jadę. Czekala na niego od pół godziny. Pewnie pracował

dużo dalej od domu, niż sądziła. Znów sięgnęła po telefon i zaraz go odłożyła, usłyszała bowiem warkot silnika samochodu parkowanego przed frontowymi drzwiami. Nareszcie.

Motyłki znów zatrzepotały skrzydełkami, gdy odetchnęła głęboko, czekając, aż Cruz wejdzie do domu.

– Powiesz mi wreszcie, w czym rzecz? – Cruz wkroczył do wnętrza.

Pytanie zawisło w powietrzu, gdy ujrzał Savannah. Miała na sobie tę samą przepiękną, zieloną sukienkę, którą nosiła tamtego wieczora, gdy się poznali podczas przyjęcia na ranczu „Dwie Korony”.

Tamtego wieczora, gdy oddał Savannah swoje serce.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Cruz odniósł wrażenie, że cofnął się w czasie. Powolutku zaniknął za sobą drzwi i usłyszał dolatującą skądś muzykę, coś słodkiego i romantycznego, odpowiedniego na pierwszą randkę.

Pozdrowił Savannah ruchem głowy, nadal wpatrzony w ciemnozieloną, obcisłą sukienkę. Nieoczekiwanie zalała go fala wspomnień... sprowokowała uczucia, których nie doświadczał od bardzo dawna.

Odetchnął też z ulgą na widok Savannah, ponieważ nic jej się nie stało, a tego się obawiał, pędząc do domu. Był jednak zły, że zwabiła go przed końcem pracy pod jakimś pozorem.

– W czym problem? – Nie miał pojęcia, co o tym wszystkim myśleć.

Savannah niczego nie wyczytała z jego tonu. Głos Cruza brzmiał całkiem beznamiętnie.

Siłą woli wymazała wpływ pięciu lat małżeństwa na swoje zachowanie. Nie była teraz sfrustrowaną żoną ani zapracowaną mamą, czyli osobą, którą została tak dawno temu, że już zapomniała jak to jest mieć trochę przyjemności. Teraz przyszła na przyjęcie w domu swojej przyjaciółki Vanessy i właśnie ujrzała najbardziej przystojnego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek widziała.

Mężczyznę, który emanował zwierzęcym magnetyzmem, ilekroć się poruszył lub posłał jej spojrzenie pełne żaru. Tamtego wieczoru Cruz Perez sprawił, że za każdym razem, gdy znaleźli się blisko siebie, krew szaleńczo tętniła w jej żyłach. Dzisiaj należało odtworzyć tamte doznania.

Należało też rozniecić w sobie dawny ogień, który wtedy sprawił, że Cruz od tamtego czasu nie interesował się innymi kobietami. Zrezygnował

zarówno z tych, które były przed nią, jak i tych, które nawet obecnie chciały zająć jej miejsce.

W kilku wolnych, dobrze odmierzonych krokach, zbliżyła się do Cruza. W obcisłej sukience i rzadko, noszonych sandałkach na wysokich obcasach wyglądała jak łowczyni, która wyśledziła swoją ofiarę i wiedziała, że ją schwyta.

Owszem, była troszkę zdenerwowana. Co będzie, jeśli Cruz wyśmieje jej wysiłki? A może te więzi, które ich kiedyś łączyły, już nie istnieją?

Stłumiła obawy i spróbowała sprawić wrażenie kobiety zdecydowanej. Zdecydowanej i seksownej.

– Musimy się poznać, Cruz – odparła tonem kusicielki.

– Dobrze się czujesz, Savannah? – Cruz gapił się na nią trochę niepewnie.

– Oczywiście. – Musnęła dłonią jego twarz, przesunęła czubkami palców po jego szyi i zatrzymała je na wgłębieniu, gdzie wyczuła puls. Chyba trochę przyspieszył.

Doskonale!

– Więc o co ci chodzi z tym poznawaniem się? – Cruz chwycił jej dłoń, zanim dotarła do jego piersi. Savannah podkręcała atmosferę, a on musiał zachować jasność myślenia. – Przecież się znamy. Wiemy o sobie wszystko. – Nie miał przed nią żadnych tajemnic. Była połową jego duszy, zawsze obecna w jego myślach. Czyżby tego nie wiedziała?

– Naprawdę wszystko? – spytała słodko, a jej oddech lekko muskał policzek Cruza. Zbliżyła głowę do jego twarzy, jej wargi niemal dotykały jego ust. Cofnęła się w ostatniej sekundzie, gdy uznała, że Cruz zamierza ją pocałować. Odrobina wysiłku, trochę niepewności, tylko dodawały smaku. Nie chciała okazać się zbyt łatwa do zdobycia, nawet jeśli w rzeczywistości

pragnęła paść Cruzowi w ramiona, kochać się z nim tu i teraz aż do utraty tchu. – Skoro tak, to jakiego koloru jest bielizna, którą mam na sobie?

– Nie wiem. – Bezradnie rozłożył ręce. Co, u licha, wstąpiło dzisiaj w jego żonę? – Biała?

– Nie – odparła, jednocześnie zaprzeczając powolnym ruchem głowy, wpatrzona w oczy Cruza.

– Niebieska? – Spróbował zgadnąć jeszcze raz, bo to był jej ulubiony kolor.

– Nie.

– Więc w jakim? – Usiłował nie okazać irytacji. Zamiast odpowiedzi wzięła jego dłoń, położyła ją na

swoim biodrze i powoli przesunęła w stronę pośladków. Z zadowoleniem dostrzegła błysk zrozumienia w oczach Cruza, gdy uniósł brwi, a zdumiony, zmysłowy uśmiech zaigrał na jego wargach.

– Nie włożyłaś majteczek.

– Pora na nagrodę. – Ruchem całego ciała dała do zrozumienia, że właśnie ona nią jest.

Mimo przemożnego zmęczenia Cruz poczuł, że reaguje na bliskość Savannah. Ich życie seksualne dawniej było fantastyczne. Wszystko zmieniło się na gorsze z powodu nadmiaru różnych obowiązków, które całkiem ich przytłamsiły, zwłaszcza że niestety pojawiało się ich coraz więcej.

Mimo całej swojej niewinności Savannah okazała się najlepszą kochanką, jaką kiedykolwiek miał. Zważywszy na jego imponujące doświadczenie w tej dziedzinie, ta opinia była wielce wymowna.

Ogarnęło go pragnienie, jakiego nie odczuwał od dawna. Już niemal dotknął ustami warg Savannah, lecz natychmiast się cofnął i rozejrzał niepewnie wokoło.

– Cruz? – Czyżby już jej nie pożądał? Nie uważał za atrakcyjną? Te pytania spowodowały strach i przyprawiły ją o bolesne pulsowanie w głowie.

– A jeśli Luke nas zaskoczy?

A jednak jej pragnął. Cudownie. Powstrzymał się tylko dlatego, że jest dobrym ojcem.

– Wówczas musiałabym go spytać, jakim cudem dotarł tu na piechotę z drugiego końca miasta – odparła ze swawolnym uśmiechem.

– Nie rozumiem... – Cruz zmarszczył brwi.

Kochany biedaczek, pomyślała. Jest zanadto zmęczony, aby się połapać. Lecz nie na tyle zmęczony, aby uniemożliwić jej osiągnięcie celu. W tej dziedzinie mogła sobie pogratulować, czuła bowiem, że Cruz reaguje na nią jak mężczyzna ogarnięty pożądaniem. A więc nadal dostrzegał jej walory. Co za ulga, zaczęła bowiem już mieć wątpliwości.

– Nasz synek jest u dziadków. Twój ojciec zabrał go dwie godziny temu.

– Powiedziałaś im, co knujesz?

Dobrze rozumiała powody niebotycznego zdumienia w głosie Cruza. Nie lubił dzielić się z nikim szczegółami swego życia prywatnego.

– Tylko tyle, że potrzebujemy trochę czasu we dwoje. – Savannah ostrożnie ważyła słowa. – Może sądzą, że malujemy pokój dla dziecka.

– Moi rodzice nie są głupi – odparł ze śmiechem, najwyraźniej odprężony.

Fakt, pomyślała. Rodzice Cruza byli wyjątkowo bystrzymi ludźmi i umieli bezbłędnie interpretować to, co się wokół nich dzieje. W przeciwieństwie do jej rodziców teściowie okazywali sobie również wiele czułości. Dorastając, Savannah nigdy nie widziała, aby jej ojciec i matka wymienili między sobą coś więcej niż chłodne cmoknięcie w policzek. Gorące były tylko gniewne słowa, którymi się nawzajem obrzucali.

– Może dlatego cieszą się takim długim, zdrowym małżeństwem.

– Sugerujesz, że nasze nie jest zdrowe? – Wziął ją w ramiona i zaczął bawić się opadającymi na jej szyję kosmykami włosów. Od jak dawna nie widział jej takiej, jak teraz? Słodkiej, zrelaksowanej, podniecającej?

Nie jest w stanie beznadziejnym, pomyślała. Nie było też całkiem w porządku.

– Powiedziałabym, że zaczęło troszkę obumierać – oświadczyła szczerze, lecz jednocześnie lekkim tonem. Poruszyła się zmysłowo, rozmyślnie prowokując Cruza swoją namacalną bliskością. – Części nieużywane ulegają atrofii, ale widzę, że... – Powoli przesunęła wzrokiem po ciele męża. – U ciebie wszystko na razie funkcjonuje idealnie.

– Przekonajmy się, czy tak jest. – Ujął w dłonie twarz Savannah, aby ją pocałować, lecz ona nieoczekiwanie się odsunęła i zrobiła kilka kroków wstecz. – Nie chcesz?

– Gapił się na nią, z lekka zaskoczony.

– Najpierw coś zjemy. – Ruchem głowy wskazała jadalnię. – Ugotowałam twoje ulubione...

– To jest moje najbardziej ulubione. – Przytrzymał ją, gdy ruszyła w kierunku drzwi i przyłgął wargami do jej nagiego ramienia.

Jej skóra nagle zrobiła się gorąca.

Wszystko rozwijało się zgodnie z planem.

Cruz zachowaniem coraz bardziej przypominał swoje wcielenie z czasów, gdy dopiero go poznała. Gdy go poślubiła. Był wtedy bardziej seksowny niż George Clooney i Brad Pitt razem wzięci. Teraz znów należał do niej. Co za szczęście.

– Chcę to przeciągnąć, niech trwa jak najdłużej.

– Postaram się. – Cruz mrugnął do niej z szelmowską miną, a Savannah zachichotała.

– Dzięki temu, że najpierw zjemy obiad. To miałam na myśli. – Delikatnie musnęła wargami jego usta, jakby chciała zaznaczyć miejsce, gdzie się zatrzymali. I natychmiast się cofnęła, gdy Cruz spróbował oddać pocałunek.

– Deser będzie w sypialni. – Spróbowała się odsunąć, lecz Cruz wziął ją w ramiona i dokończył to, co zaczął. Pocałunek sprawił, że całkiem stopniała, podniecona wizją tego, co miało nastąpić później.

Nie kochali się od tak dawna, że już straciła rachubę dni. Tygodni.

Objęła go za szyję, spragniona jego ciepła, zatraciła się w oszałamiającym doznaniu wywołanym przez wargi Cruza. Do licha z jej starannie obmyślonym planem. Woląca cieszyć się chwilą.

Lecz nagle poczuła, że Cruz odsuwa ją od siebie. Niemal się potknęła, niewyobrażalnie zdumiona, i dopiero po całej długiej sekundzie zdołała skupić uwagę na jego twarzy.

Cruz uśmiechnął się z zadowoleniem. We dwoje mogli kontynuować tę zabawę zainicjowaną przez Savannah, a jej podejście prawdopodobnie miało sens. Grała trudną do zdobycia, co rzeczywiście działało ekscytująco. Wolał takie stopniowanie od natychmiastowej satysfakcji.

– To tylko zadatek – wyjaśnił. Uwielbiał obserwować rezultaty swoich pocałunków. Wargi Savannah zrobiły się jeszcze bardziej różowe i leciutko obrzmiałe.

– Oczekuję zapłaty w całości zaraz po wejściu do sypialni – odparła ze śmiechem.

– Załatwione. – Zasalutował, dotykając skroni dwoma palcami.

Gdy wchodzili do jadalni, położył dłoń na biodrze Savannah, jakby chciał bez słów potwierdzić zarówno emocjonalną, jak i fizyczną więź, która łączyła ich od lat.

Już miał usiąść, ale przypomniał sobie o czymś, podszedł do Savannah i odsunął dla niej krzesło. Jej uśmiech był dla Cruza najlepszą nagrodą za ten drobny przejaw dobrych manier.

Kiedy przestali okazywać sobie takie uprzejmości? Czy zniknęły z ich życia, ponieważ tak dobrze się znali i już nie musieli się wysilać? A może oboje byli już zanadto zmęczeni, aby się przejmować?

Uznał, że tak, jak dziś, jest lepiej.

– Wszystko pachnie wspaniale – oświadczył, siadając za stołem. – Zwłaszcza ty.

Jeszcze jest nadzieja, pomyślała Savannah. Cudownie, że zorganizowała to sam na sam z mężem. I Cruz tak dobrze to przyjął. A już zaczęła się martwić, że ich związku nie da się uratować. Była niemal pewna, że przedwcześnie stali się starym małżeństwem, dwojgiem ludzi, którzy już się nawzajem nie doceniają i tylko mieszkają razem, zamiast cieszyć się każdą chwilą tak, jak wtedy, gdy się pobrali.

– Dzięki. – Czują, jak rumieniec radości rozgrzewa jej policzki.

Na kolację przygotowała dwie odmiany naleśników z mięsno-warzywnym nadzieniem – połowa była obficie posmarowana śmietaną, a połowa – gęstym sosem z owoców awokado.

– Obawiam się, że ja nie pachnę zbyt apetycznie.

– Cruz nałożył sobie dużą porcję naleśników obu rodzajów.

– Zapach potu mi nie wadzi – oświadczyła zgodnie z prawdą. – Na tobie sprawia on bardzo męskie wrażenie.

– Łatwo cię usatysfakcjonować. – Cruz odłożył łyżkę do naczynia.

– Pod pewnymi względami tak – odparła, patrząc mu prosto w oczy.

Boże, ależ kochała tego mężczyznę.

– A pod innymi – trochę trudniej – dodała przekornie.

Na Cruza czekało schłodzone wino. Szkoda, że ona nie może pozwolić sobie nawet na łyk, pomyślał, rozkoszując się smakiem wytrawnego napoju.

– To jakaś zagadka? – Odstawił kieliszek na blat.

– Rozwiązesz ją później – zapewniła niskim, gardłowym tonem, który zabrzmiał bardzo sugestywnie.

Cruz ze zdumieniem skonstatował, że znów ogarnia go pożądanie.

Pochłonął posiłek w piętnaście minut, nawet nie myśląc o tym, co je. Wiedział tylko, że mu smakowało. Wypił jeszcze trochę wina i zauważył, że Savannah prawie nic nie jadła.

– Nie jesteś głodna?

– Dużo próbowałam podczas gotowania. – Lekko wzruszyła ramionami, a światło zatańczyło na jej nagich barkach.

Miała prawo do tego niewinnego kłamstewka. Cruz pewnie by się martwił, gdyby mu powiedziała, jak mało skonsumowała w ciągu dnia. Wiedziała jednak, że gdyby zjadła więcej niż tę odrobinę ryżu, którą dla

siebie przygotowała, to jej wielkie plany na ten wieczór spaliłyby na panewce.

Mdłości zmusiłyby ją bowiem do spędzenia nocy w łazience. Podczas tej drugiej ciąży dawały się we znaki w najmniej odpowiednich porach, zwłaszcza po każdym posiłku.

A po dzisiejszym obiedzie zamierzała spędzić z mężem niezapomnianą noc w łóżku. Nagle wypadły do muszli klozetowej nie wchodziły w grę.

Cruz wstał i sięgnął po swój talerz, aby zanieść go do zlewu.

Matka dobrze wyszkoliła swego syna, pomyślała Savannah. Ale teraz to się nie liczyło.

– Nie sprzątaj. Zmywanie może poczekać. – Ujęła go za rękę i poprowadziła w kierunku schodów. W holu Cruz raptownie się zatrzymał i wziął ją w ramiona. Następnie zaczął łagodnie kołysać się z nią w takt muzyki.

– Tańczyliśmy ze sobą tamtego pierwszego wieczoru, pamiętasz? – Zamknął jej dłoń w swojej i przycisnął do piersi.

Do swego serca, pomyślała. Z łatwością wyczuwała jego bicie.

– Na tarasie – dodał Cruz. – Muzyka dolatywała z domu przez wszystkie otwarte okna, a ty miałaś na sobie tę sukienkę.

– Tak – przyznała cicho i oparła policzek na piersi Cruza, do głębi wzruszona faktem, że zapamiętał taki drobny szczegół.

Oczekiwanie podsyczone adrenaliną spowodowało rozkoszne zamieszanie w ciele Savannah, gdy poruszała się w powolnym rytmie romantycznej melodii. Poczucie szczęścia prawie doprowadziło ją do łez. Niech лихо porwie te hormony, przemknęło jej przez głowę.

– To był świetny pomysł. – Ciepły oddech Cruza przeniknął przez jej włosy.

Uniosła głowę i spojrzała na męża. Tak bardzo go kochała, niemal do bólu.

– Cieszę się, że przypadł ci do gustu.

Ostatnie dźwięki muzyki umilkły i Cruz ją pocałował. Lekko, przelotnie, co tylko jeszcze bardziej pobudziło ich apetyt. Savannah westchnęła, ich oddechy zmieszały się ze sobą i Cruz poczuł specyficzne napięcie w podbrzuszu.

– Chyba gdzieś mnie prowadziłaś, zanim poprosiłem cię do tańca.

– Owszem. – W jej oczach migotały iskierki wesołości.

Tym razem szybko znaleźli się na piętrze.

– Pamiętam też, że coś ci obiecałem. – Przekroczyli próg sypialni i Cruz znów objął Savannah.

– Za chwilę. – Delikatnie odsunęła go od siebie.

– Czekałem już tak długo – odparł z westchnieniem. – Nie traćmy czasu.

– Chcę się w coś ubrać. – Pomyślała o błękitnej koszulce, którą tak starannie powiesiła na drzwiach łazienki. Ten rozkoszny łaszek miał Cruza oszołomić.

– Sądziłem, że będziemy się rozbierać...

– Zaufaj mi. – Cmoknęła go w usta. – Na to warto poczekać.

– Byle nie za długo. – Przesunął spojrzeniem po jej sylwetce. Nikt nie byłby w stanie się domyślić, że Savannah jest w ciąży. Wyglądała zupełnie tak samo, jak owego pierwszego wieczoru, gdy się poznali. Na wspomnienie tamtej upojonej nocy zrobiło się mu gorąco. – Nie wiem, jak długo jeszcze zdołam wytrzymać.

– Nie zaczynaj beze mnie – odparła ze śmiechem i zniknęła w łazience.

Zamknęła drzwi, błyskawicznie zdjęła sukienkę i wślizgnęła się w seksowną koszulkę.

Zrobiła krok wstecz i obrzuciła krytycznym spojrzeniem swoje odbicie w lustrze ściennej szafki.

Wszystkie kuszące krągłości są nadal na swoim miejscu, pomyślała z zadowoleniem. Jej sylwetka była bez zarzutu. Warto było gimnastykować się przez długie miesiące po urodzeniu Luke'a.

Zamierzała rzucić Cruza na kolana.

Przeczesała włosy grzebieniem, włożyła go do szuflady i otworzyła drzwi.

– Oto jestem – oznajmiła. – Co ty na to? Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Trochę ją to zdziwiło. Weszła do sypialni i popatrzyła na Cruza. Leżał na łóżku, odwrócony do niej plecami, najwyraźniej oglądając telewizję z przyciszoną fonią. Widocznie uznał, że jego żona spędzi w łazience sporo czasu.

Głuptasek, pomyślała. Ten wieczór sam na sam z Cruzem był jej tak bardzo potrzebny i to z powodów dużo ważniejszych, niż samo przypomnienie mężowi o małżeńskich obowiązkach.

– Możesz już to wyłączyć. Jestem gotowa. – Przez chwilę czekała na jego reakcję. – Cruz?

Nawet się nie odezwał.

Rozczarowanie ochłodziło ją jak dotyk zimnego, mokrego ręcznika. Obeszła łóżko i zatrzymała się między nim a telewizorem. Cruz miał zamknięte oczy. Oddychał powoli i miarowo.

Spał.

Bezwiednie zacisnęła wargi. Pochyliła się i potrząsnęła go za ramię.
Bez rezultatu.

Spróbowała jeszcze raz, trochę mocniej.

Nic z tego. Cruz był teraz stracony dla świata.

I dla niej.

Chyba tylko armatni wystrzał zdołałby go obudzić.

Z ciężkim westchnieniem wyłączyła telewizor i wróciła do łazienki, aby się przebrać. Tym razem włożyła starą koszulę, w której spała niezliczoną ilość razy.

Wychodząc z sypialni, zerknęła przez ramię na Cruza. Przez sekundę łudziła się nadzieją, że on się zbudzi. Ale nie. Spał jak zabity.

Ze łzami w oczach zesła na dół, aby sprzątnąć ze stołu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Zasnąłem wczoraj, prawda?

Głos Cruza zaskoczył Savannah, gdy nazajutrz rano weszła do kuchni. Nie spodziewała się ujrzeć męża w domu, siedzącego przy stole, z kubkiem kawy w dłoni. O tej porze na ogół już pracował. Gdy się zbudziła i zobaczyła obok siebie puste miejsce, uznała, że ten dzień zaczął się dla Cruza jak każdy inny.

Zabolał ją ten fakt. Cruz tak po prostu przeszedł do porządku dziennego nad fiaskiem, jakim okazał się poprzedni wieczór. Cóż, już niemal przywykła do jego obojętności.

– Owszem. – Podeszła do kuchenki i sięgnęła po dzbanek z kawą. Postanowiła darować sobie komentarze. Nigdy niczego nie zmieniały. Lecz zdrowy rozsądek jakoś nie zdołał powstrzymać słów, które same cisnęły się na jej usta. – Tak samo, jak każdego wieczoru w ciągu minionych trzech miesięcy – dodała z sarkazmem w głosie. – Albo dłużej.

Przeprosiny, które Cruz zamierzał wydukać, nagle rozplynęły się w powietrzu. Ostatnie trzy miesiące były wyjątkowo męczące z uwagi na nawał pracy. Jako żona i księgowa rancza Savannah chyba zdawała sobie z tego sprawę.

– To nie moja wina, że kobyła zdechła podczas porodu i musiałem niańczyć jej źrebaka – odparł obronnym tonem, usiłując nie okazać irytacji. Zacytowane wydarzenie było dodatkowym zajęciem, które wcisnął do swego dnia pracy. Posiadane stado nie zaliczało się do dużych. Składało się tylko z dwudziestu pięciu sztuk, lecz każdy koń wymagał dużo uwagi. Cruz miał co robić przez cały dzień. – Prowadzenie rancza to pracochłonne zajęcie. Sądziłem, że to rozumiesz.

– Rozumiem. To i wiele innych rzeczy, Cruz. – Starannie akcentowała każde słowo. – Na przykład to, że albo popracujemy nad naszym małżeństwem, albo ono się rozleci.

Zdaniem Cruza małżeństwa nie wymagały pracy. Przeciwnie, stanowiły oazę spokoju niezbędnego po pracy. Małżeństwo powinno być instytucją pozwalającą zachować zdrowe zmysły w świecie, który tak często atakuje ludzi z każdej strony i bezlitośnie ich przytłacza.

– O czym ty gadasz?

– O nas, Cruz. – Savannah odstawiła dzbanek na kuchenkę nieco za raptownie i ostry dźwięk rozszedł się echem po całej kuchni. – Tyle tylko, że to „nas” już nie istnieje. Jest tylko Luke i ja oraz ty i ranczo.

Cruz nigdy nie pojmował kobiecej skłonności do dramatyzowania. Owszem, było mu przykro, że wczoraj usnął. Naprawdę wolałby spędzić więcej czasu z Savannah, ale po prostu był strasznie zmęczony. Nie zasnął celowo, aby jej dokuczyć, a ona teraz robiła widły z igły.

– Pleciesz bzdury.

– Czyżby? – Jego oskarżenie bardzo ją ubodło. Korciło ją, aby mocno trzepnąć Cruza w ucho. Co w nią wstąpiło? Miała wrażenie, że się rozsypuje. – A może to cecha niezamężnych żon!

– Niezamężnych żon? Co to jest, u diabła? – Teraz naprawdę mówiła od rzeczy.

– To kobiety, które mają mężów, lecz nigdy ich nie widują. Takie, jak ja, Cruz. – Spiorunowała go wzrokiem.

– Nie widują? Więc kim jest ten facet? – Gestem dłoni wskazał na siebie.

– Prawdopodobnie hologramem – odparowała rozjątrzona. – Osobnikiem, który rano zjada grzanekę, wychodzi i wraca późnym

wieczorem zbyt zmęczony, aby spędzić trochę czasu ze mną lub z własnym synkiem.

Wiele razy spierali się na ten temat. Cruz nie miał czasu na te powtórki.

– Powiedziałem, że ci to wynagrodzę. Wam obojgu. – Odetchnął głęboko i ponownie spróbował trafić Savannah do rozumu. Nie czekał, aż ona wstanie, tylko po to, aby się z nim kłócić. Chciał oczyścić atmosferę, a nie zatruć ją gniewem. – Sprawy wkrótce się utrzęsą. Zobaczysz, będzie lepiej.

Zaśmiała się drwiąco. Słyszała te wymówki milion razy.

– Masz takie zaległości, że aby to nadrobić, musiałbyś siedzieć z nami bez przerwy aż do Bożego Narodzenia. Hej, to przecież niemożliwe! Zaraz o świcie pędzisz do swoich koników. – Spojrzała na niego, rozgniewana i bliska łez. Rozpaczliwie pragnęła znów być ważną częścią życia Cruza, odzyskać to wszystko, co stopniowo traciła. – Gdyby chodziło o inną kobietę, wiedziałabym, co zrobić. Ale nie mogę rywalizować z ranczem, z marzeniem. Nie wiem, jak.

Cruz bardzo dyskretnie sprawdził, która godzina. Już był spóźniony. Czekał dzisiaj na Savannah, ponieważ chciał ją przeprosić. Najwyraźniej nie za dobrze mu szło, więc złażał się w duchu za ten głupi pomysł.

Kobiety zawsze stanowiły dla niego zagadkę i nigdy nie próbował zgłębiać ich psychiki. Były miłe i poniekąd łatwe w użyciu, dawały mu sporo przyjemności, a on ochoczo rewanżował się w ten sam sposób. To mu całkowicie wystarczało – dopóki nie zakochał się w Savannah.

Przez całe lata układało się między nimi doskonale. Naprawdę do siebie pasowali. Nie miał zielonego pojęcia, dlaczego ich związek stracił dotychczasową spoistość.

– Nie musisz obawiać się żadnej konkurencji, Savannah – zapewnił szczerze. – Ty jesteś zawsze najważniejsza. Ty i Luke. Ale nie mogę pozwolić sobie na lenistwo. Jeśli zwolnię tempo, wpadniemy w długi. Bankierzy i cała reszta ludzi, którzy co miesiąc oczekują zapłaty, nie lubią wymówek.

– Ja też nie. Za długo ich słucham.

Cruz westchnął ciężko. Zupełnie nie wiedział, jak do niej trafić. Całym sercem pragnął, aby znów była tą kobietą, którą poślubił. Dlaczego tak bardzo się zmieniła? Obecnie miała mu za złe dosłownie wszystko.

– Daj spokój, Savannah. Potrzebuję twojego wsparcia. Przecież robimy to dla nas, dla Luke'a. – Musnął wargami jej policzek i chwycił ze stołu kapelusz. – Obiecuję, że nie zawsze będzie tak, jak teraz.

Nie, pomyślała, gdy wychodził z kuchni. Będzie jeszcze gorzej.

Jak zawsze, mimo wielu złożonych w przeszłości obietnic. Dlatego, że Cruz nie wiedział, jak zlecać innym obowiązki. Jak sobie trochę odpuścić.

Chyba że coś go do tego zmusi. Ze znużeniem przeczesła włosy palcami. Chyba powinna się ubrać i pojechać po synka.

Vanessa właśnie wzięła torebkę i kluczyki, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Przystanęła na moment, nieco zdziwiona. Tego popołudnia nikogo nie oczekiwała. Przeciwnie, zamierzała wpaść do Savannah. Bez zaproszenia, lecz ich długoletnia przyjaźń na to zezwalała.

Od paru miesięcy niestety rzadko się widywały. Podczas drugiej ciąży Savannah stała się niemal odludkiem i Vanessa trochę się o nią martwiła. Savannah wyglądała ostatnio blado i wydawała się smutna. Jeśli Cruz był tego powodem, należało zaoferować jej ramię, aby mogła się na nim wypłakać.

Nie zaszkodzi też uwolnić ją na kilka godzin od Luke'a.

W kinie grano nowy film dla dzieci. Vanessa nie była szczególnie zachwycona wizją dwóch godzin na widowni pełnej piszczących dzieciaków, ale dla Savannah była skłonna do poświęceń.

Poza tym uwielbiała Luke'a.

Mimo to nie miała pojęcia, jak Savannah daje sobie z nim radę. Chłopak był jak żywe srebro, z ciekawości rozbierał przedmioty na czynniki pierwsze i zadawał niezliczone pytania. Jego wyczyny nie raz przyprawiły Vanessę o zawrót głowy, a Savannah przecież opiekowała się synkiem dzień w dzień.

Vanessa podejrzewała, że nie przetrwałaby zbyt długo, gdyby Luke przebywał z nią dwadzieścia cztery godziny na dobę. Savannah niewątpliwie była bardziej wytrzymała.

– Chwileczkę! – Vanessa otworzyła frontowe drzwi i uśmiech zamarł na jej starannie umalowanych ustach.

Na progu stał Gabe Thunderhawk, miejscowy policjant, oraz pani detektyw Andrea Matthews, która – zdaniem Vanessy – miała o sobie zbyt wygórowane mniemanie. Co ich tutaj przyniosło?

Co prawda lubiła Gabe'a – sympatycznego człowieka, który z łatwością podjął obowiązki policjanta, choć część starszej społeczności nadal okazywała mu uprzedzenia, ponieważ był Indianinem. Rodzina Vanessy nie postrzegала go w ten sposób. Gabe doskonale wypełniał swoje obowiązki i mimo posiadanej władzy nie przewróciło mu się w głowie.

W miasteczku wielkości Red Rock lokalna policja zazwyczaj nie miała wiele do roboty. Gabe i jego dwaj zastępcy czasami łagodzą domowe spory, pośredniczyli też między dwoma stronami w przypadkach, gdy chodziło o przywłaszczenie sobie konia lub sztuki bydła – zawsze rzekomo bez złej woli.

Jedynym ekscytującym wydarzeniem było odnalezienie Sary Jenkins. Zeszłego lata staruszka w środku nocy wyszła z domu, jakimś cudem niezauważona opuściła granice Red Rock i pomaszerowała w stronę San Antonio – na bosaka i w nocnej koszuli. Gabe w końcu znalazł Sarę, czytając ślady tak samo, jak jego przodkowie, gdy tropili coś na kolację.

Tym razem chodziło jednak o wydarzenie, które nie mogło stać się kanwą zabawnej anegdoty, cytowanej w grupie przyjaciół popijających zimne drinki.

Miasteczko Red Rock i jego mieszkańcy zafundowali sobie prawdziwe morderstwo. Ciało wypłynęło na brzegu jeziora Mondo, w którym podobno przebywało jakieś trzy dni.

Na razie stwierdzono tylko, że to nikt z tutejszych mieszkańców, bowiem w Red Rock nikt nie zaginął. Jak dotąd nie udało się zidentyfikować mężczyzny, a kto go zabił, było jeszcze większą niewiadomą.

Gabe kierował posterunkiem, a Andrea prowadziła śledztwo i oboje chwilowo musieli ze sobą współpracować, co bynajmniej ich nie cieszyło.. On nie lubił wykonywać poleceń kobiety, zaś ona nie cierpiała facetów, którzy sądzą, że są zbyt dobrzy, aby słuchać jakiejś baby. Ten profesjonalny układ był więc daleki od ideału.

Determinacja, aby prześcignąć się nawzajem, popychała ich do ciężkiej, mrówczej pracy w poszukiwaniu jakiegokolwiek szczegółu pozwalającego ruszyć z miejsca. Z powodu odkrytego na ciele znamienia oboje uznali, że być może istnieje jakiś związek między ofiarą a ojcem Vanessy, co niewymownie ją rozjuszyło. Było rzeczą powszechnie znaną, że Ryan Fortune to filar tutejszej społeczności.

Już raz wywlekli go na jezioro i zasypali gradem pytań, jakby sądzili, że zdołają w ten sposób wymusić przyznanie się do winy.

Vanessa chłodno patrzyła na dwoje przybyłych. Trzymała ich na progu, choć normalnie zaprosiłaby do wnętrza przynajmniej Gabe'a, którego znała lepiej. Andrea zawsze okazywała rezerwę, sprawiała wrażenie kogoś, kto wciąż musi coś udowadniać. Vanessa była osobą innego pokroju. Ich drogi rzadko się przecinały.

Gabe miał pewne opory przed tą wizytą. Nikt nie zadzierał z rodziną Fortune'ów bez poważnych powodów, a on właśnie to robił. Cóż, tego wymagała praca, on zaś wierzył, że dzięki swoim zdolnościom i uporowi pewnego dnia sam zostanie detektywem. Na szczęście jako młody, dwudziestodziewięcioletni oficer, Gabe bez trudu poruszał się w świecie białych ludzi. Jego dziadek nadal nazywał tak wszystkich, którzy nie należeli do jego plemienia.

– Gdzieś się wybierasz? – Gabe spojrzał na torebkę i kluczyki.

– Tak. – Wskazała wzrokiem zaparkowany na podjeździe samochód. – I już jestem spóźniona – skłamała. Nie miała ochoty na przepytywanie, a chyba właśnie ono ją czekało.

– Nie zajmiemy pani dużo czasu – oświadczyła Andrea i ponad ramieniem Vanessy zerknęła w głąb domu.

– Możemy wejść?

Nie zabrzmiało to jak pytanie. Andrea po prostu wprasała się do środka i Vanessę korciło, aby odmówić. Ugryzła się jednak w język i z ostentacyjnym westchnieniem szerzej otworzyła drzwi.

Wchodząc do wnętrza za Andrea, Gabe posłał Vanesę – się przepaszający uśmiech.

Z natury serdeczna i skłonna do współpracy, Vanessa była również osobą, która zawsze jak lwica broniła swoich bliskich. A to śledztwo z jakichś dziwnych powodów skupiło się na jej ojcu, człowieku, który nie skrzywdziłby nawet muchy. Chyba że mucha wycelowałaby w niego sześciostrzałowy pistolet, a i wtedy Ryan Fortune najpierw spróbowałby ją rozbroić.

– Co mogę dla was zrobić? – Vanessa z lekka przymrużonymi oczami obserwowała dwoje intruzów, którzy znaleźli się w jej domu po raz pierwszy.

– Czy twój ojciec zachowuje się ostatnio dziwnie?

– Gabe od razu przystąpił do rzeczy. Nie lubił owijać w bawełnę.

Vanessa najpierw chciała stanowczo zaprzeczyć, lecz jej ojciec rzeczywiście był od pewnego czasu inny niż zwykle. Milczący, nawet ponury. Do tego stopnia, że wraz z rodzeństwem podejrzewała coś złego.

Ale nie udział w morderstwie! Cóż za idiotyczny pomysł. Możliwe, że małżeństwo z Lily, trzecią żoną ojca, a zarazem jego ukochaną z lat szkolnych, z jakiegoś powodu znalazło się w opałach.

Marzenia czasami są lepsze od rzeczywistości. Wiedziała to z doświadczenia.

Nie zamierzała jednak dostarczyć pożywki ani Gabe'owi, ani tej brunetce z kręconymi włosami. Małżeństwo ojca to jego prywatna sprawa.

– Zachowuje się jak mój ojciec – odparła wymijająco.

– Całkiem normalnie. – Jej ton wyraźnie sugerował, że temat został zamknięty, lecz Andrea nie dała za wygraną.

– Zdaniem niektórych jego pracowników Ryan Fortune jest roztargniony. Niekomunikatywny.

– Mój ojciec kieruje wieloma interesami – wycedziła Vanessa, gotowa do kontraktu. – I zawsze daje z siebie sto dziesięć procent. Czasami musi się to odbić negatywnie na jego kontaktach z ludźmi. – Spojrzała na Gabe'a, oczekując, że ją wesprze. Znał sprawy Fortune'ów dużo lepiej niż ta nadęta panna Matthews. – Jego jedyną winą jest fakt, że pracuje za ciężko i jest zbyt hojny. – Zmierzyła zimnym wzrokiem Andreę. – Chętnie dostarczę wam listę fundacji dobroczynnych, którymi albo kieruje, albo jest w ich radzie nadzorczej.

– To nie będzie konieczne – krótko odparła pani detektyw. – Szukamy odpowiedzi, a nie dotacji.

– Więc chce mi pani zadać jakieś konkretne pytanie?

– Vanessa zgrabnie odbiła piłeczkę.

– Nie. – Gabe zdołał ubiec Andreę. Na razie tylko próbowali ogólnie zorientować się w sytuacji. Nadal wertowali raporty o osobach zaginionych, zwracając szczególną uwagę na wszelkie wzmianki o posiadanych przez tych ludzi znamionach. Na tym etapie śledztwa byłoby głupotą żądać dokładnego sprawozdania o miejscach pobytu oraz działaniach najbogatszego i najbardziej szanowanego obywatela.

Andrea spiorunowała policjanta wzrokiem, lecz nie zaprotestowała, co go zdumiało.

– Skoro tak, Gabe... – Vanessa celowo zignorowała panią detektyw. – To może zadzwoń, gdy będę mogła na coś się przydać. A na razie...

Gabe wiedział, że Andrea dostała po nosie i jest wkurzona. Teraz postąpiła krok w stronę Vanessy i pokazała jej fotografię znalezionej nad jeziorem ciała. Umiejscowione nad prawym pośladkiem znamię było bardzo wyraźne, ponieważ zdjęcie zostało cyfrowo podrasowane.

– Rozpoznaje pani to znamię?

Vanessa nie miała najmniejszej ochoty spojrzeć na ciało, które spędziło w wodzie zbyt dużo czasu, aby przypominać człowieka. Z trudem pohamowała gniew.

– Dobrze pani wie, że tak. Dlatego jest pani teraz w moim domu i bezczelnie wypytuje mnie na temat mojego ojca. Czy przypominam sobie jakiegoś zaginionego krewnego z takim znamieniem? Nie. Czy wiem, kto to jest? Nie. I nie muszę chyba dodawać, że nie mam pojęcia, dlaczego go zabito. O ile w ogóle chodzi o zabójstwo. – Złowrogo łypnęła na Gabe'a. – Może biedak po prostu wypadł za burtę łodzi i utonął. – Zdaniem Vanessy było to całkiem prawdopodobne.

– Może i wypadł za burtę – cierpkim tonem odparła Andrea, chowając zdjęcie to foldera. – Ale najpierw go zastrzelono.

Vanessa naprawdę nie zamierzała dłużej wysłuchiwać tych głupot.

– Członkowie mojej rodziny nie strzelają do ludzi. Nawet jeśli mamy na to wielką ochotę.

– Vanessa... – W głosie policjanta zabrzmiała nuta ostrzeżenia.

– Wybacz, ale zawołane oskarżenia rzucone na moich bliskich nie wprawiają mnie w dobry humor. – Posłała Gabe'owi wymuszony uśmiech. – Proszę mi wybaczyć, ale jak już zdołaliście zauważyć... – sarkazm w jej słowach był wycelowany w Andree – właśnie wychodziłam, gdy zadzwoniliście do drzwi.

Andrea w milczeniu ruszyła do wyjścia, a Gabe pozostał nieco w tyle.

– Wykonuję tylko swoją robotę – mruknął do Vanessy.

– Wiem. – Odprowadziła wzrokiem idącą do samochodu kobietę. – Wielka szkoda, że nie możesz dobrać sobie współpracowników.

Gabe najwyraźniej też tak sądził. Świadczył o tym cień uśmiechu, który Vanessa dostrzegła na jego twarzy.

Niecałe pół godziny później Vanessa zaparkowała auto przed domem Savannah i Cruza. Nadal się gotowała po wizycie Gabe'a i Andrei. Jak mogli nawet przypuszczać, że jej ojciec miał coś wspólnego z zabitym? Gdyby cokolwiek o nim wiedział, jako człowiek uczciwy do szpiku kości natychmiast udałby się do biura szeryfa. A na dodatek zwołałby rodzinę, aby ją o tym poinformować.

Nic takiego się nie zdarzyło, więc Vanessa była pewna, że tylko dziełem durnego przypadku ktoś z takim samym znamieniem, jakie ma jej ojciec, wypłynął jako ciało na brzegu miejscowego jeziora.

Rzeczywistość zawsze bywa bardziej dziwna od fikcji, prawda?

Vanessa uniosła dłoń, aby zapukać do drzwi, i usłyszała głośny trzask oraz krzyk. Bez wahania weszła do wnętrza i na ułamek sekundy zamarła z wrażenia

Luke, z wetkniętym za kołnierz wystrzępionym ręcznikiem, który tworzył coś w rodzaju peleryny, stał na podłodze, lecz jednocześnie był w środku stolika. Tego, który jeszcze przed chwilą miał szklany blat.

Chłopcu chyba nic się nie stało, mimo wielce ryzykownej próby latania jak superbohater znanego komiksu. Natomiast Savannah wyglądała tak, jakby miała się rozlecieć na tyle samo kawałków, ile odłamków szkła leżało teraz na dywanie.

– Wezwać pogotowie? – Vanessa podbiegła do nich obojga, jednocześnie sięgając po swój telefon.

– Ciocia Nessa! – Luke najwyraźniej wcale nie przejmował się ani swoim uczynkiem, ani niebezpieczeństwem, w jakim się znalazł z własnej winy.

– Nie ruszaj się! – Matka przytrzymała go za ramiona, gdy spróbował odwrócić się twarzą do Vanessy. Jeden nieostrożny ruch i nogi jej synka

zostałyby pokaleczone ze wszystkich stron. Pośpiesznie oceniła sytuację. Luke znów okazał się szczęściarzem. Kolejna przygoda i tym razem skończyła się dobrze, ucierpiał jedynie stolik.

Savannah westchnęła. W obecności synka naprawdę powinna mieć oczy w plecach.

– Słuchaj mamy, Luke – poleciła Vanessa. Przygryzła wargi, jakby nadal obawiała się, że dzieciak zrobił sobie krzywdę. – Nic mu nie jest?

– Chyba się w czepku urodził. Nie widzę żadnych skaleczeń. – Savannah nadal nie pojmowała, jak to możliwe. – Stój bez ruchu – dodała, gdy znów zaczął się wiercić. – Jak posąg.

– Jaki posąg, mamó?

– Taki, który się nie rusza. – Omal na niego nie krzyknęła. Jej nerwy były obecnie w gorszym stanie niż wystrzępiony ręcznik, z którego synek zrobił sobie kostium do zabawy. Ostrożnie zaczęła usuwać pozostałe odłamki szkła z rozbitego blatu.

– Później pójdziemy do kina – obiecała Vanessa, aby odwrócić uwagę chłopca od wysiłków matki.

– Do kina? – zawołał podekscytowany.

– Tak, ale pod warunkiem, że przestaniesz się kręcić. Mama musi cię stamtąd uwolnić.

– Jestem Wielki Jake! – Luke zabębnił dziecięcą piąstką w swoją równie dziecięcą klatkę piersiową. – Sam mogę to zrobić!

– I cały się zakrwawisz – ostrzegła matka. Położyła kolejny kawałek szkła na książce, gdzie układała wszystkie odłamki.

– Wcale się nie boję! – Dzieciak odrzucił głowę do tyłu ruchem, który Vanessa często widziała w wykonaniu Savannah.

– A ja – tak. I to bardzo. – Vanessa uważnie śledziła wzrokiem postęp akcji ratunkowej.

– Dobrze, będę stał w miejscu. Dla ciebie, ciociu Nesso – wielkodusznie oświadczył Luke.

– Skończone – wkrótce oznajmiła Savannah. Środek dużego, szklanego blatu już nie istniał. Zastąpiła go wielka dziura.

Vanessa podniosła chłopca, starannie omijając szpiczaste brzegi. Luke miał łaskotki, więc zapiszczał i przytulił się do cioci. Savannah jeszcze raz upewniła się, że synek nie ma żadnych skaleczeń i bezsilnie klapnęła na kanapę.

– Przypomnij mi, żebyśmy nigdy więcej tego nie robili – jęknęła.

– Dobrze, mammo.

Savannah roześmiała się na widok jego niewinnej minki.

– Nie musisz brać go do kina – powiedziała do Vanessy.

– Jasne, że muszę. Po to tu przyszedłam. Chciałam też zaprosić cię na ślub.

–Czyj?

– W jesieni mój kuzyn Steve żeni się z Amy Burke—Sinclair.

Chciałam cię uprzedzić i powiedzieć, że oczywiście ty i Cruz jesteście zaproszeni.

– A ja? – Luke uniósł w jej stronę buzię jak słonecznik obracający się do słońca.

– Pod warunkiem, że nie będziesz wskakiwał na weselny tort – po chwili udawanego namysłu odparła Vanessa. – Ani na nic innego.

– Obiecuję. – Luke mocno ją uściskał.

Ślub, w myśli powtórzyła Savannah. Radosne wydarzenie, które wprawia gości we wspaniały nastrój. Ciekawe, czy za parę miesięcy ona jeszcze będzie żoną Cruza.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Savannah pomogła synkowi się przebrać, ponownie sprawdziła, czy nigdzie się nie skaleczył i pozwoliła mu zająć się grą wideo. Wracając do dużego pokoju, zobaczyła, że Vanessa już zebrała z podłogi większe odłamki szkła i wyciąga z szafy w holu odkurzacz, aby dokładnie oczyścić dywan.

Nie można mieć lepszej przyjaciółki, pomyślała.

– Ja to zrobię. – Z uśmiechem przytrzymała dłoń Vanessy i wzięła odkurzacz.

– Luke w porządku?

– Jakby nic się nie stało.

Witalność synka i jego odporność zawsze Savannah zdumiewały. Dawniej ona też taka była. Zanim życie sprzysięgło się przeciwko niej. Odetchnęła głęboko i starannie odkurzyła rejon niedawnego wypadku. Wyłączając odkurzacz, poczuła nieoczekiwany przyływ energii i dzięki niej natychmiast podjęła decyzję. Nie zamierzała się poddać. Życie jej nie pokona. To ona mu pokaże albo wyzionie ducha.

– Z radością przyjadę – oznajmiła, owijając kabel wokół odkurzacza. – Na ślub – dodała na widok pytającego spojrzenia przyjaciółki.

– Ty sama, czy wy – w liczbie mnogiej? – Vanessa otworzyła drzwi szafy, aby Savannah mogła wstawić odkurzacz.

Savannah zerknęła w stronę sąsiedniego pokoju, aby sprawdzić, czy Luke nie podsłuchuje, lecz chłopiec był całkowicie zaabsorbowany grą. Oby bawił się dłużej niż przez dziesięć minut, przemknęło Savannah przez głowę.

– Aktualnie nie mogę mówić za Cruza.

– Chcesz o tym porozmawiać? – Vanessa wróciła z przyjaciółką do salonu.

Savannah pomyślała o minionej nocy i o swoim rozczarowaniu na widok śpiącego męża.

– Nie, to zbyt przygnębiające. – Przygryzła wargi. Lojalność wobec Cruza nakazywała milczenie, lecz byłoby tak dobrze wywnętrzyć się przed kimś zaprzyjaźnionym i zaufanym. Kimś, kto okazałby zrozumienie. – Ale jedno jest pewne: nie można wierzyć w bajki. To oczywiste, dlaczego kończą się w momencie, gdy księżę poślubia księżniczkę. Gdyby bowiem towarzyszyć im w późniejszych latach, może wcale nie żyliby „długo i szczęśliwie” – ku frustracji czytelników.

Vanessa usiłowała wyczytać coś między wierszami. Ona i Devin byli ze sobą dłużej niż Savannah i Cruz, wiedziała więc, co oznacza małżeńska stagnacja.

– Musisz sprawy trochę ożywić.

– Powinam ożywić Cruza... – Savannah urwała, aby nie ukazać męża w niewłaściwym świetle. Przecież nie ignorował jej celowo, nie chciał robić jej na złość. Przeciwnie, starał się być dobrym partnerem, ale oboje niestety byli skazani na tę życiową karuzelę, która wirowała o wiele za szybko. W jaki sposób mogli zwolnić jej tempo? – Chociaż, prawdę mówiąc, powinnam przestać się go czepiać. Nie ugania się za babami, tylko haruje, aby zrobić z rancza coś imponującego.

– Znalazłaś sobie porządnego faceta, Savannah.

Savannah właśnie to lubiła w Vanessie najbardziej

– fakt, że przyjaciółka nie opowiadała się po czyjejs stronie, nie zaczęła krytykować Cruza. Po prostu słuchała.

– Wiem. – Savannah z westchnieniem przejechała dłonią po włosach.

– Ale mógłby mi okazywać więcej względów.

Luke nagle zapiszczał i Vanessa zerknęła w stronę sąsiedniego pokoju. Podejrzewała, że samo wychowywanie tego dzieciaka to praca na cały etat. Mimo całej macierzyńskiej miłości prawdopodobnie było to niezmiernie męczące.

– Może pora oderwać go od codziennego kieratu.

– Co masz na myśli?

Vanessa z uśmiechem pochyliła się w stronę przyjaciółki, jakby zamierzała zdradzić jakąś pradawną, dobrze skrywaną tajemnicę.

– Gdzieś wyjedźcie.

Gdyby to było takie proste, pomyślała Savannah.

– Nie mamy teraz czasu ani pieniędzy na wakacje.

– A kiedy to zmieni się na lepsze, może oboje już nie będą nawet ze sobą rozmawiać. Ich stosunki psuły się coraz bardziej mimo jej prób, aby je uzdrowić.

– Nie mówię o dwutygodniowym urlopie, tylko o wypadzie na parę dni. Wskoczcie gdzieś na weekend. Nigdy nie mieliście wystarczająco czasu tylko dla siebie. Luke urodził się trzy miesiące po waszym ślubie. Macie prawo to małego sam na sam. – Spojrzała w stronę chłopca, który właśnie fetował zwycięstwo w wyścigu samochodowym. – Mogę wziąć Luke'a do nas. Lubi Devina, a Devin przeciwiczy swoje rodzicielskie talenty. Wszyscy będziemy mieć frajdę. Hej, powiedz „tak”.

Ona naprawdę cieszy się na tę perspektywę, pomyślała Savannah. Sama też była skłonna przyznać, że mieliby z Cruzem wspaniałą okazję, aby wreszcie nacieszyć się sobą. Ale co on na to powie?

– Nie mogę zgodzić się w imieniu Cruza.

– Ale możesz go przekonać. – Vanessa otoczyła ją ramieniem. – Znam go dłużej niż ciebie. Wiem, jakim dawniej był podrywaczem. Kobiety dosłownie uganiały się za nim. Pamiętam, jak pewna babka wynajęła go w charakterze trenera koni. Zajmował się nimi po godzinach. – Wargi Vanessy wygięły się w uśmiechu wyrażającym rozbawienie. – Nią pewnie też się zajął. Kobiątka nie ukrywała, że chce się przespać ze wspaniałym latynoskim kochankiem.

Savannah doskonale rozumiała, dlaczego Cruz tak podobał się kobietom. Rozumiała też, że jego szacunek dla samego siebie doznawał uszczerbku, gdy Cruz był postrzegany wyłącznie jako ogier, a nie jako człowiek o kompleksowej osobowości. Może właśnie dlatego tak bardzo się starał, aby ranczo okazało się sukcesem.

– Okropność.

– Owszem – bez wahania przyznała Vanessa. – Ale wydaje mi się, że mimo tamtych uciech, które niewątpliwie lubił, Cruz był również nimi zdegustowany. Kobiety widziały w nim tylko przystojne trofeum, nagrodę, której zdobywanie jest podniecające. A on brał to, czego chciał, i świetnie się bawił. Sądziłam, że nigdy się nie ustatkuje i nie ożeni. – Vanessa zmierzyła Savannah poważnym spojrzeniem. – Wiesz, dlaczego Rosita tak cię uwielbia?

– Bo kocham jej syna? – naiwnie spytała Savannah, wzruszając ramionami.

– Bo całkiem go odmieniłaś. Z pyszałkowatego Casanovy zrobiłaś przyzwoitego mężczyznę, z którego rodzice zaczęli być dumni. Kochali go i przedtem, ale polubili dopiero wtedy, gdy ty się zjawiłaś. Dokonałaś cudu z tym facetem.

– Chyba trochę przesadzasz. – Na ustach Savannah zaigrał uśmieszek rozbawienia. Nie dopatrywała się cudów w minionych wydarzeniach. Gdy Cruz się dowiedział, że ona oczekuje jego dziecka, bardzo starał się ją przekonać do małżeństwa. Nie uczyniła niczego nadzwyczajnego. Po prostu go kochała.

– Czyżby? – Vanessa uniosła brwi. – On przeszedł metamorfozę, ponieważ zakochał się w tobie po uszy. Porzucił rozwiąły tryb życia, bo chciał być kimś, kogo ty możesz pokochać.

– Pokochałam go od pierwszego wejrzenia.

– Ale on o tym nie wiedział. – Vanessa uniosła wskazujący palec, podkreślając w ten sposób wagę swego stwierdzenia. – Cruz znał tylko fizyczną stronę miłości, ten oszalamiający pociąg seksualny. I był chodzącym dowodem na to, że sam seks to za mało, że nie ma on mocy przetrwania. Cruz pragnął, aby to, co was połączyło, okazało się odporne na upływ czasu. – Vanessa patrzyła na Savannah takim poważnym wzrokiem, jakby chciała nim ją zahipnotyzować. Była święcie przekonana, że małżeństwo przyjaciółki można uratować – oraz jeszcze je wzmocnić. – To doskonała podstawa, Savannah. Przypomnij Cruzowi, dlaczego haruje od świtu do nocy...

– Dłużej.

– No dobrze, dłużej. – Widziała w oczach Savannah wahanie, jakby zdaniem przyjaciółki chodziło o ostatnią możliwą próbę i jeśli ona się nie powiedzie, to już nic nie będzie w stanie uzdrowić sytuacji. – Jeśli go poprosisz, Cruz ci nie odmówi.

– Obecnie odmawia mi na milion sposobów.

– Ale nie werbalnie. Dam głowę, że jeśli mu powiesz, jak bardzo ci zależy na tym weekendzie we dwoje, ponieważ chciałybyś podsyć płomień waszych uczuć, Cruz cię nie odtrąci.

Savannah w milczeniu miętosila między zębami dolną wargę, analizując słowa przyjaciółki. Vanessa mówiła jak osoba święcie przekonana o słuszności swoich słów. Czy jej pomysł rzeczywiście miał sens?

– Jesteś pewna?

– Całkowicie. Wiesz, jak długo go znam. Dlatego w przeciwieństwie do ciebie zauważyłam, jak bardzo zmienił się na lepsze. – Fakt, że zakochał się tak bez reszty, wciąż Vanesę niezmiernie wzruszał. Pominąwszy przelotne zauroczenie Cruzem, gdy była nastolatką, Vanessa zawsze traktowała go jak brata. – Dla ciebie chodziłby po rozżarzonych węglach.

– Nie musi parzyć sobie pięt. Chcę tylko, żeby kochał się ze mną tak gorąco, jak dawniej.

– Otóż to! – Vanessa przelotnie ją uścisnęła. – Wreszcie mówisz do rzeczy!

– Nawet nie wiem, gdzie są nasze walizki. – Savannah w myśli zrobiła przegląd zawartości szaf i ze smutkiem w oczach spojrzała na Vanesę. Z nich dwóch to Vanessa podróżowała po świecie, zwiedzała ciekawe miejsca. Zaś ona, Savannah, zawsze wolała siedzieć w domu.

– Niby do czego są ci potrzebne walizki? – Z miną niewiniątka spytała Vanessa.

– Hotelowi goście nie przynoszą ubrań w plastikowych torbach na zakupy.

– Po co ci ubrania? – Vanessa nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. – Spędź weekend na golasa.

Savannah szybko sprawdziła wzrokiem, czy Luke ich nie słucha. Na szczęście nadal był zajęty grą wideo, najzupełniej nieświadomy niczego, co się wokół niego działo.

– Och, nie mogłabym... – mruknęła przyciszonym tonem.

– Owszem, mogłabyś – przerwała jej Vanessa. – Właśnie o to chodzi. Będziecie tylko we dwoje. Ubrania to nie opcja. Są zakazane. – Podkreśliła wagę stwierdzenia mrugnięciem. – Wierz mi, wiem, co mówię.

Savannah stopniowo nabierała przekonania do tego pomysłu. Nie miała wiele czasu, aby go zrealizować. Przecież rodzina już za kilka miesięcy powiększy się do czterech osób.

– Cruz pomyśli, że zwariowałam.

– Przeciwnie. Będzie zachwycony. – Szybkim spojrzeniem obrzuciła sylwetkę przyjaciółki. – Piąty miesiąc i ani troszkę nie przytyłaś. Jesteś równie piękna, jak wtedy, gdy Cruz ujrzał cię po raz pierwszy. Wykorzystaj to, Savannah. Dla własnej korzyści.

– Tak sądzisz? – Savannah przesunęła wzrokiem po swoich kształtach. Z wyjątkiem wczorajszego wieczora ostatnio nie zwracała specjalnej uwagi na swoją prezencję. Starła się tylko nie wyglądać jak strach na wróble. Może właśnie w tym tkwił cały problem.

– Tak. – Vanessa skinęła głową.

– Zaczyna podniecać mnie ta perspektywa. – Na myśl o spędzeniu weekendu tylko z Cruzem Savannah czuła rozprzestrzeniające się po ciele miłe ciepłko. Oczami duszy już widziała ich oboje w wersji z czasów, gdy wszystko układało się między nimi tak wspaniale. Gdy świat i cele Cruza jeszcze nie zaczęły wchodzić w drogę. – Dzięki, Vanessa! – Objęła przyjaciółkę, niezmiernie wdzięczna za radę i znów pełna nadziei. – Jesteś najlepsza!

– Wciąż to powtarzam Devinowi. – Vanessa oddała uścisk, zadowolona, że zdołała przywrócić uśmiech na twarz Savannah.

– Ja też! – Luke uznał, że pora na grupowe wyrazy serdeczności. Z głośnym okrzykiem wskoczył na kanapę obok swojej mamy.

– Tak. – Matka wzięła go na kolana. – Ty też. Nasze życie wkrótce wróci do normy, obiecała sobie w myśli. Przecież kochała ojca swoich dzieci, a on był dobrym człowiekiem. Czy nie stanowiło to najlepszej prognozy na przyszłość?

Dni zazwyczaj mijały nie wiadomo kiedy, ale dzisiaj kolejne minuty i godziny wlokły się niemiłosiernie. Savannah mogłaby przysiąc, że czeka na Cruza od wieków.

Dobrze wiedziała, gdzie on jest. W zagrodzie dla koni. Na tym etapie trenowania zawsze oddzielał jednego z nich od pozostałych i na nim skupiał całą uwagę. Indywidualne sesje treningowe były bardzo intensywne.

Wystarczyłyby krótki spacer, aby zobaczyć, co tam się dzieje. Savannah wiedziała jednak, że nie powinna Cruzowi przeszkadzać. Jego zajęcia wymagały koncentracji, więc nie byłby zachwycony, gdyby żona nagle przerwała mu pracę i oznajmiła, że na dzisiaj koniec. Mogłaby sobie na to pozwolić tylko w jakimś nagłym przypadku.

Odpowiedzialne zachowanie bywa czasami takie trudne, pomyślała sfrustrowana. Wlepiała wzrok w frontowe drzwi. Czy nie mogły wreszcie się otworzyć?!

Doczekała się tego około ósmej. Słońce już zachodziło i świat stopniowo pogrążał się w mroku, aby wkrótce zapaść w przelotną drzemkę.

Znajomy dźwięk butów na wycieracze poderwał Savannah z krzesła. Pomknęła do wejścia, aby wpuścić męża do środka.

– Co za serwis. – Cruz czule cmoknął ją w czoło i oniemiał na widok zrujnowanego stolika. Elegancki mebelek był przejawem luksusu, ponieważ wymagał bezustannej dbałości. Savannah wciąż polerowała szklany blat, aby usunąć z niego ślady palców. Mimo to uwielbiała ten stolik.

Pośluczone szkło już zostało sprzątnięte, lecz trudno było nie zauważyć wielkiej dziury.

– To nowa moda? – Zerknął przez ramię na żonę.

– Co się stało?

– Luke odkrył, że nie umie latać. – Brwi Cruza uniosły się, wyrażając nieme pytanie o szczegóły. – Próbował wystartować z kanapy – wyjaśniła.

– Coś mu się stało? – Cruz natychmiast spojrzał w stronę pokoju synka.

– Na szczęście nie. – Ruszyła w kierunku jadalni.

– Musisz bardziej na niego uważać, Savannah.

Ubodła ją ta uwaga. Sugerowała, że obowiązki matki nie były przez nią wypełniane w najlepszy sposób.

– Może powinnam wsadzić go do klatki i bez przerwy gapić się na niego. Luke ma nadmiar energii.

– Wykluczone. – Cruz uśmiechnął się szeroko na wspomnienie własnego dzieciństwa. – Spytaj moją matkę – byłem w jego wieku taki sam.

– Więc jeszcze jest jakaś nadzieja? – Savannah postawiła na stole naczynie z zapiekanką i przez chwilę w milczeniu przyglądała się mężowi. Chyba nie był dzisiaj bardzo zmęczony.

– Zawsze jest nadzieja – odparł pogodnie. Moja biedulka, pomyślał. Ma pełne ręce roboty. Zupełnie tak, jak dawniej jego matka. Z tą różnicą, że jego matka wychowywała piątkę dzieciaków i pracowała na cały etat dla Fortune'ów. – Porozmawiam z nim – obiecał. Rozmowy nigdy nie były jego

mocną stroną. Dużo lepiej przemawiały za niego działania. Może pora zapoznać chłopaka z rodzinnym biznesem. – Jeśli chcesz, wezmę go jutro ze sobą.

Pomyślała o tym, jak bardzo Cruz bywa zaabsorbowany pracą. Jego pomocnicy też zawsze byli zagonieni, wykonując miliony zajęć. W takich warunkach bardzo łatwo o wypadek.

– Nie.

– Nie? – Spojrzał na nią przenikliwie. Nigdy przedtem mu się nie sprzeciwiała. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie powinieneś zabierać Luke'a ze sobą do pracy. Jeszcze na to za wcześnie. Dziecko w tym wieku wymaga bezustannej uwagi, a ty będziesz zbyt zajęty, aby się nim zajmować. Luke miewa przygody tutaj, chociaż ja prawie bez przerwy mam go na oku. Na pastwisku może się zdarzyć Bóg wie co.

Zdaniem Cruza jej argumentacja miała sens. Mimo to uważał, że nie powinni zanadto cackać się z synkiem i bezustannie kontrolować jego każdego kroku.

– Nie chcę, żeby wyrósł na maminsynka. – Cruz nałożył sobie na talerz porcję zapiekanki.

– Nie będzie maminsynkiem. Będzie żywy – oświadczyła z lekka poirytowana, a Cruz prychnął kpiąco.

– Z tego co widzę, moje talenty wychowawcze są niewiele gorsze – odparował bez namysłu i zaraz tego pożałował. Naprawdę nie zamierzał krytykować Savannah. Po prostu był zbyt zmęczony i jego umysł nie funkcjonował prawidłowo. – Nie chciałem, aby tak to zabrzmiało.

– Chciałeś.

Czuła się zraniona i miała wielką ochotę mu wygarnąć. Powiedzieć, że powinni spędzić trochę czasu oddzielnie, aby odpocząć od siebie nawzajem. Ich małżeństwo było w poważnych tarapatach – nadal tak sądziła, choć oczywiście pragnęła je uratować.

Wiedziała jednak, że powinna ugryźć się w język, bowiem nie da się cofnąć wypowiedzianych w gniewie słów. Nie potrafiła przewidzieć, jak Cruz zareagowałby na jej gorzkie wymówki, lecz na pewno silnie zraniłyby one jego dumę. A duma była kwintesencją jego osobowości. Każde chwilowe rozstanie mogło zmienić się w trwałą separację. Nie chciała takiego rozwiązania. Nie wyobrażała sobie życia bez Cruza.

Usiadła naprzeciw niego i przykryła jego dłoń swoją. Potrzebowała jego niepodzielnej uwagi.

- Musimy gdzieś wyjechać.
- Słuchaj, jeśli to wszystko z powodu wczorajszego wieczora...
- I wielu poprzednich.
- Nie było aż tak źle. – W głosie Cruza zabrzmiała nuta samoobrony.
- Wcale tak nie twierdzę. – Woląla nie zaczynać tej rozmowy od nieporozumienia.
- Więc co twierdzisz? – Cruz zaczął jeść, lecz jednocześnie przyglądał się jej lekko przymrużonymi oczami.

Savannah usiłowała pohamować nadmierne emocje. Spokojna i opanowana miała większe szanse przekonać Cruza.

- Ostatnio jesteśmy zbyt zmęczeni, aby cieszyć się sobą nawzajem. Pracujemy do upadłego i zaczynamy odpuszczać sobie w dziedzinach, które mają zasadnicze znaczenie. Nie chcę, żebyśmy oddalili się od siebie.

- A ja to robię?

Znała ten urażony ton. I nie zamierzała dopuścić, aby rozmowa przekształciła się w kłótnię. Osiągnięcie porozumienia było zbyt ważne, aby dać się ponieść nerwom.

– Nie, i właśnie na to liczę. – W niemym błaganiu znów ścisnęła rękę Cruza. – Wyjedźmy gdzieś.

– Coś w rodzaju ucieczki we dwoje?

– Tak. – Spodobało się jej to określenie. – Zafundujmy sobie małą ucieczkę. Na cały weekend. Jedźmy do San Antonio, wynajmijmy pokój w dobrym hotelu, nie opuszczajmy łóżka i kochajmy się przez całe dwa dni – wyjaśniła pośpiesznie, aby go przekonać.

– W tym celu nie musimy nigdzie wyjeżdżać. – Zmęczony po długim, wyczerpującym dniu, Cruz posłał jej wymuszony uśmiech. – Możemy to robić tutaj.

– Rzecz w tym, że tutaj tego nie robimy. Jesteśmy zanadto pochłonięci nadmiarem spraw i pracy. Natomiast jeśli wyjedziemy, nic nie będzie nas rozpraszało. Skupimy się tylko na sobie.

– A Luke? Mogłabyś tak po prostu go zostawić? – Nie był zachwycony tym, co usłyszał.

– W twoich ustach brzmi to tak, jakbym chciała porzucić go na środku pustyni. – Dlaczego Cruz wciąż ma obiekcje? Nie mogła tego pojąć. – Vanessa zaproponowała, że weźmie go na weekend – wyjaśniła pośpiesznie. – Wypoczęta matka bardziej mu się przyda – dorzuciła w charakterze ostatecznego argumentu.

– Vanessa – wycedził Cruz. – To jej pomysł?

– Tak. – Savannah usiłowała dostrzec w jego oczach cień gniewu.

Cruz nieco się zachmurzył. Nigdy nie rozmawiał o swoim życiu prywatnym z osobami postronnymi, nie wyłączając własnej rodziny.

– Żaliłaś się przed nią na nasze życie intymne? Bardzo śmieszne, pomyślała i cofnęła dłoń.

– A jakieś mamy? – spytała kpiąco i zauważyła, że w oczach Cruza pojawił się chmurny wyraz.

– Więc narzekałaś na jego brak? – Lubił Vanesę, lecz to, co się działo – lub nie działo – między nim a jego żoną za zamkniętymi drzwiami, nie powinno nikogo innego interesować.

– Vanessa to moja najlepsza przyjaciółka – odparła, zniecierpliwiona jego uporem. Do licha, dlaczego Cruz czepia się nieważnych szczegółów? – Potrafi wyczuć, co w trawie piszczy. Znamy się tak dobrze, że nie musimy wszystkiego werbalizować. – Westchnęła, szukając odpowiednich słów. – Zresztą nie chodzi tu o twoją seksualność, tylko o nas. O czas spędzany razem. Nie chcesz być ze mną sam na sam? – Wpatrywała się w męża, nagle pełna obaw, co może odkryć.

– Jasne, że chcę. – Jak mogła nawet o to pytać? – Ale wszystko, co robię, jest dla ciebie.

Była pewna, że jeśli jeszcze raz usłyszy to stwierdzenie, to zacznie wrzeszczeć. Zdołała jednak pohamować tę chęć i w milczeniu złożyła sobie gratulacje.

– Więc uczyn dla mnie jeszcze jedną rzecz – poprosiła błagalnie. – Weź sobie wolny weekend. Twoi pomocnicy wiedzą, jak zajmować się końmi przez dwa dni. Poinformuj chłopaków, że wyjeżdżasz z żoną, bo w przeciwnym razie zapomnisz, jak ona wygląda.

– To niemożliwe. – Twarz Cruza złagodniała, gdy po raz pierwszy tego wieczora naprawdę uważnie spojrział na Savannah. – Twój wizerunek jest na zawsze wyryty tutaj. – Położył dłoń na sercu.

I to mu wystarcza? Savannah nie mogła się temu nadziwić. Czy po pięciu latach małżeństwa Cruz już nie potrzebował niczego bardziej namacalnego?

– Chcesz w ten sposób powiedzieć, że nigdzie nie jedziemy?

– Nie, w ten sposób mówię ci, że niezależnie od tego, jaki jestem zapracowany, i tak zawsze cię kocham. – Odetchnął głęboko, zastanawiając się nad sugestią żony. Jej prośba wcale nie była taka głupia. A on może zniósłby ze dwa dni z dala od pracy. Może nawet dobrze by mu to zrobiło. – Zgoda, zarezerwuj hotel i powiedz Vanessie, że dostanie na dwa dni nowego chłopaka.

– Dzięki! – Savannah zerwała się od stołu, podbiegła do Cruza i objęła go za szyję.

– Proszę bardzo – odparł ze śmiechem. – Posadził sobie żonę na kolanach i mocno ją pocałował. – A teraz pozwól mi dokończyć kolację, bo w przeciwnym razie stracę siły przed tym weekendem.

– Tylko nie to! – Wyślizgnęła się z jego ramion i z rozradowaną miną zaczęła nakładać mu jedzenie na talerz.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

– Jesteś pewna, że Vanessa może wziąć Luke'a?

Stojąc nazajutrz rano przy kuchence, Savannah z lekka zeszywniała. Aha, pomyślała. Pora na zmianę planów. Cruz szukał dziury w całym, żeby odwołać weekend we dwoje.

Zwlokła się dzisiaj z łóżka natychmiast gdy poczuła, że Cruz się budzi, aby przygotować mu śniadanie. Tak bardzo chciała, aby ten poranek zapoczątkował nową erę w ich małżeństwie. Cruz chyba też tego pragnął i pewnie dlatego zgodził się na wspólny wyjazd.

Na szczęście nie musiała pędzić z samego rana do łazienki, nie oznaczało to jednak, że czuła się doskonale. Wręcz przeciwnie, ledwie trzymała się na nogach.

Mimo to poprzysięgła sobie, że choćby nie wiem co, będzie się zachowywać jak pogodna, kochająca żona.

Lecz nie podobał się jej kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa.

Skupiła uwagę na sadzonych jajkach i zgrabnie przewróciła je na drugą stronę.

– Dlaczego nie miałyby go wziąć? – spytała najspokojniej, jak umiała.

– Z powodu tych plotek. – Cruz wypił łyk kawy.

– Jakich plotek? – Szybko posmarowała masłem grzanekę, która właśnie wyskoczyła z opiekacza, i położyła ją na talerzu.

– Podobno ciało znalezione w jeziorze ma jakiś związek z Ryanem. – Cruz obserwował, jak żona zsuwa jajka na talerz. Postawiła go przed nim na stole, lecz sama nic nie jadła. Czy nadal miewała poranne mdłości? – Może to nawet jego nieślubny syn. Dlaczego nic nie jesz?

– Nie jestem głodna. – Spojrzała na filiżankę herbaty, którą sobie zaparzyła. – Co jeszcze ludzie mówią?

– Że może facet zamierzał rozpowiedzieć prawdę o Ryaniu, jeśli on suto nie zapłaci za milczenie. – Cruz zastanawiał się, czy to prawda. Czy te długie lata, gdy Ryan Fortune był człowiekiem powszechnie szanowanym, miały na celu ukrycie, kim naprawdę jest? Nie po raz pierwszy ktoś bogaty próbował uciszyć przeszłość dobrymi uczynkami.

– Prawdę o Ryaniu? – Savannah zmarszczyła brwi.

– Jaką prawdę?

– Że nie jest on takim imponującym filarem społeczności, za jakiego go uważamy. – Cruz wiedział, że Savannah lubi Ryana. On sam także go lubił. Ryan Fortune zawsze traktował go przyzwoicie, lecz to nie zmieniłoby sytuacji, gdyby fakty świadczyły przeciwko niemu.

– Ryan jest człowiekiem, za jakiego go uważamy.

– Savannah poczuła się osobiście urażona faktem, że ktoś może wątpić w dobroć Ryana. Ci wszyscy ludzie z Red Rock i nie tylko, którzy wiedli nudne życie, najwyraźniej próbowali je ubarwić plotkami i obrzucaniem błotem innych. – Jest dobry, szlachetny i bezgranicznie hojny. Nigdy nie widziałam, aby się wywyższał. Bardzo mi pomógł, gdy nie miałam do kogo się zwrócić. – Z powodu ciąży straciła pracę nauczycielki i później nie mogła znaleźć zatrudnienia. Ryan zaoferował jej etat księgowej, dał jej szansę, choć wcale nie musiał.

Cruz uznał, że Savannah zapomina o jednej ważnej rzeczy. Ryan Fortune nie był świętym. Nikt nim nie jest.

– Zrobił to dla przyjaciółki Vanessy.

Dlaczego on tak uparcie zajmuje przeciwne stanowisko? Savannah nie mogła tego pojąć. Czyżby usiłował się z nią pokłócić, aby odwołać wyjazd? Postanowiła, że nie da się sprowokować.

– Gdyby Ryan Fortune był łobuzem, wiedzielibyśmy o tym – odparła z przekonaniem. – Miał do czynienia z tyloma ludźmi, że szydło wyszłoby z worka już dawno temu. Gdyby rzeczywiście był tym szydłem. A nie jest.

– Lojalna jak zawsze? – Cruz patrzył na nią z szerokim uśmiechem.

– To jedna z moich najlepszych cech – oświadczyła z dumą, wysuwając brodę. – Nie porzucam niczego, gdy droga staje się ciut wyboista.

Usłyszał specyficzną nutę w jej głosie, dostrzegł wyzywający błysk w oku. Nie trzeba było być geniuszem, aby zrozumieć aluzję.

– Masz na myśli mnie?

– Nas – odparła z naciskiem. A skoro już o tym mowa, pomyślała, to lepiej od razu zbić ewentualny argument, że nie ma kto zająć się ich synkiem. – A jeśli Vanessa z jakiegoś powodu nie mogłaby wziąć Luke'a, to jest jeszcze twoja mama i siostry. Więc proszę nie szukać wymówek, panie Perez.

– Wcale nie szukam, ale...

– Ale? – Była gotowa zbić każdy argument. Musieli wyjechać na ten weekend. Niemal wierzyła, że rezygnacja z wyjazdu oznaczałaby klęskę ich małżeństwa.

– Naprawdę nie mamy wolnych funduszy. – Musiał zapłacić gotówką za cztery konie. Gotówką, którą mógł odzyskać dopiero po dostarczeniu wytrenowanych koni ranczerowi, który je zamówił. – Początkowo zamierzał powiedzieć Savannah, że muszą odłożyć wyjazd na później, ale zmienił zdanie, ponieważ zrozumiał, jaką wagę przywiązywała

do planowanego weekendu. Chciał jednak, aby Savannah dobrze rozumiała ich finansową sytuację. – To nie może być drogie miejsce.

– Będzie za darmo – oznajmiła radośnie. Czyż kompromis nie jest najważniejszym warunkiem przetrwania?

– Za darmo? – Aha, już wiedział, w czym rzecz. Vanessa była autorką pomysłu i pewnie chciała zapłacić za wszystko. Wykluczone. Lubił Fortune'ów, lecz nie zamierzał być obiektem ich współczucia. – Nie przyjmę jałmużny.

– Jakiej jałmużny? – Savannah nie miała pojęcia, co on plecie.

Dobrze wie, o czym mówię, pomyślał ponuro.

– Jeśli Vanessa zamierza pokryć koszty, to jej powiedz, żeby odłożyła książeczkę czekową. Perez zawsze płaci za siebie.

Ach, więc o to chodzi. Zawsze był taki przewrażliwiony, czy też zaczynało mu odbijać z powodu przemęczenia, ponieważ usiłował stworzyć superranczo w rekordowym czasie?

– Perez – a ja także noszę to nazwisko – nie musi za siebie płacić, gdy cena jest równa zero.

– O czym ty gadasz?

Fakt, marzyła o weekendzie w luksusowym hotelu, o posiłkach dostarczanych do pokoju, o wygodzie ogromnego łóżka, w którym spędziliby bez ubrania całe dwa dni. Lecz tak naprawdę liczył się w tym wszystkim tylko Cruz. Reszta była dodatkiem, z którego można zrezygnować.

Savannah szybko skorygowała w myśli swój plan, aby Cruz mógł go zaakceptować.

– Jedziemy na kemping.

Jedno spojrzenie na jego uśmiechniętą twarz powiedziało Savannah, że podjęła właściwą decyzję. Owszem, Cruz zawsze pragnął żyć wygodnie i posiadać to samo, co mieli Fortune'owie, lecz w głębi duszy zawsze był klasycznym Perezem. Lubił biwakować, lubił czasami oderwać się od cywilizacji i zapomnieć o codziennej pogoni za sukcesem.

– Kemping? Myślałem, że wolisz usługi służby hotelowej.

– Wolę twoje usługi. – Podeszła do męża i położyła dłoń na jego policzku. – Chyba mam na to większe szanse, gdy jesteś szczęśliwy.

– Jesteś najlepsza na świecie. – Pora iść, pomyślał. Musiał jak najszybciej zabrać się za trenowanie koni, jeśli chciał dostarczyć je w terminie. Zwłaszcza że miał stracić dwa dni. Wstał i cmoknął Savannah w czubek głowy.

– Dopiero teraz się połapałeś? – Tak szaleńczo pragnęła dłużej porozkoszować się tą chwilą, zatracić się w objęciach Cruza. Wiedziała jednak, że on naprawdę musi już wyjść do pracy.

– Nie – odparł ze śmiechem. – Tylko sobie odświeżam pamięć. – Chwycił kapelusz i ruszył do drzwi.

– Mógłbyś zacząć od prawidłowego pocałunku na do widzenia – zawołała. To muśnięcie wargami jej włosów się nie liczyło.

Cruz odwrócił się na pięcie i wydmuchał powietrze, jakby szykował się do czegoś trudnego.

– To paskudna robota, ale ktoś musi ją wykonać.

– A tym kimś jest pan, panie Perez. – Ujęła klapy jego kurtki, którą wczoraj wyprasowała, i przyciągnęła go do siebie. – I zawsze tak będzie – dodała głosem lekko łamiącym się z emocji.

Cruz wziął ją w ramiona i zbliżył wargi do jej ust.

Śpieszył się, więc miał to być tylko szybki buziak. Drobną pieśczęcią, pozwalającą przetrwać do chwili, gdy nadejdzie pora na więcej przyjemności. Cruz wiedział, że wtedy będzie wreszcie mógł dać upust pożądaniu, które na co dzień, choć stale obecne, przegrywało z natłokiem, obowiązków.

Lecz w momencie gdy poczuł wargi Savannah, coś wzięło nad nim górę.

Może była to perspektywa czasu znów tylko we dwoje, bez konieczności zajmowania się milionem spraw bezustannie wymagających jego uwagi. A może tak bardzo brakowało mu tej intymnej bliskości, stale obecnej w ich życiu na początku ich małżeństwa. Wtedy zaczynał i kończył każdy dzień spojrzeniem w oczy Savannah.

Nie był pewien, co nim kierowało.

Lecz tego ranka smak jej ust spowodował reakcję, która całkiem Cruza oszołomiła. I rozbudziła w nim uczucie, które dawniej wciąż mu towarzyszyło. Polegało na tym, że nie mógł się doczekać, kiedy znów zobaczy Savannah, kiedy znów będzie się z nią kochał.

Lata małżeństwa, wraz z ich rutyną, na moment odpłynęły w niepamięć. Cruz chwilowo zapomniał też o wszystkich przytłaczających go obowiązkach. Teraz liczyła się tylko Savannah.

Zatracił się w pocałunku, poddał się fali żaru, nie próbując jej powstrzymać, gdy stopniowo ogarniała jego ciało.

Gdy sprawiała, że pragnął Savannah coraz bardziej.

Gdyby tylko nie musiał za parę minut wyjść, ponieważ ranczo i jego ludzie już na niego czekali.

Savannah nie miała pojęcia, co i dlaczego nagle wstąpiło w jej męża. Ale przez moment wydawało się jej, że całuje swego dawnego Cruza. Tego

mężczyznę, dla którego poszłaby na koniec świata, dla którego zrobiłaby absolutnie wszystko.

Właśnie tego, który zawsze przyprawiał ją o zawrót głowy i przyspieszone bicie serca, nawet szybsze niż wtedy, gdy ujrzała, jak Luke spada na szklany stolik lub gdy zlatuje z huśtawki.

Teraz puls Savannah osiągnął jeszcze bardziej szaleńcze tempo.

Zacisnęła palce na klapach kurtki i wspięła się na palce, coraz bardziej rozkoszując się tym pocałunkiem. I nadzieją, którą rozbudził.

Poczuła reakcję ciała Cruza i uśmiechnęła się radośnie, z ustami nadal na jego wargach.

Cruz siłą woli odsunął się od żony. Jeszcze chwila, a nie byłby do tego zdolny. Poza tym Luke mógł lada moment zbiec na dół i zobaczyć, co się tu dzieje.

– To tylko zadatek – obiecał, patrząc w oczy żony.

– Gdybym wiedziała, że tak zareagujesz, zaproponowałabym kemping dawno temu.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo ktoś nagle zapukał do drzwi.

– Idź. – Machnęła dłonią w ich stronę. – Hank pewnie się zastanawia, dlaczego jeszcze nie przyszedłeś się bawić.

– Bawić. – Prychnął kpiąco. – Kobieto, masz pojęcie, co ja tam robię?

– Pracujesz bardzo, bardzo ciężko – odparła zgodnym tonem. – Ale lubisz swoją robotę. Nie idziesz w garniturze do biura, aby siedzieć za biurkiem przez cały dzień. – Wiedziała, że to by go zabiło równie szybko, jak celny strzał. – Pukanie powtórzyło się, więc znów przynagliła Cruza do wyjścia. – Idź już. Spraw, że będziesz z siebie dumny. I my także.

Właśnie w tej kolejności, pomyślała, gdy wychodził. Gdyby bowiem Cruz sam nie był z siebie dumny, to żadne jej słowa nie obudziłyby w nim tego uczucia. A on potrzebował go jak powietrza.

Szkoda tylko, że tak wiele go to kosztowało.

Robiły się coraz gorsze.

Bóle głowy pojawiały się nie wiadomo skąd i atakowały bez żadnego ostrzeżenia, ściskały jego skronie, gniotły czoło. Okrutne, małe ludziki z kilofami wdzierały się do jego czaszki i zaczynały bezlitosne łomotanie.

Te bóle czasami go niemal oślepiały.

Siedząc przy biurku w swoim przestronnym gabinecie, Ryan Fortune przejechał dłonią po czole, jakby mógł w ten sposób złagodzić cierpienie. Choć trochę.

Bez skutku.

Wiedział, że to beznadziejne.

Westchnął ciężko. Usiłował sobie wmówić, że umysł musi zapanować nad materią. Że należy przeczekać ten atak. Ból w końcu zawsze mijał.

Ale teraz Ryan miał wrażenie, że górna część jego czaszki została odpiłowana.

Bóle obecnie dręczyły go coraz częściej i było mu coraz trudniej udawać, że nie dzieje się nic złego. Że chodzi tylko o przejściową anomalię, irytujący, lecz mały problem, stwarzany przez organizm bez oczywistego powodu.

Bóle i drobne niedomagania były nieodłączną częścią życia. Najpierw doskwierały w okresie dojrzewania, później dawały o sobie znać, gdy człowiek zaczynał się starzeć. Ryan z doświadczenia wiedział, że najlepiej po prostu je ignorować i dalej robić swoje. Nie wolno się poddawać.

Te zmagania dawały mu się jednak coraz bardziej we znaki.

Aktualnie całymi garściami łykał tabletki najmocniejszej aspiryny, zawartość kolejnych buteleczek znikła w zawrotnym tempie. Bezskutecznie usiłował zwolnić tę konsumpcję.

Otworzył środkową szufladę biurka, wyjął kolejny duży słoiczek kupiony zaledwie dwa dni temu. Teraz – w połowie pusty.

Zdjął plastikowy kapselek, wytrząsnął na dłoń trzy tabletki, wrzucił je do ust i połknął bez popijania. Praktyka czyni cuda.

Może powinien kupić udziały w firmie producenta. Zamknął słoiczek i odłożył go na miejsce.

Zastanawiał się, czy ta mętna sprawa z ciałem wyrzuconym na brzeg przyczyniła się do wzmożenia częstotliwości bólów głowy. Bóg jeden wie, że nie pomogła.

Ludzie plotkowali teraz bez przerwy, zerkali na niego dziwnie, ilekroć znalazł się w pobliżu. Zupełnie jakby ponosił odpowiedzialność za tę najnowszą aferę, która zburzyła spokój w miasteczku Red Rock.

Ale dlaczego miałyby zabić kogoś całkiem mu obcego?

Życie na świeczniku niewątpliwie miało swoje plusy. Minusy również. Może było to skutkiem tych migren, lecz ostatnio wydawało się, że choć ludzie go podziwiali, to jednocześnie chcieli doczekać jego upadku. Jeśli nie na samo dno, to chociaż o parę szczebli w dół.

Jakby dzięki temu sami mogli podciągnąć się wyżej.

Ryan przymknął powieki, analizując tę ponurą myśl. Była mu całkiem obca. Nigdy dotąd coś takiego nawet nie przyszło mu do głowy.

Musiało to być rezultatem tych bólów. One sprawiały, że zaczynał rozumować w taki sposób. Jak ktoś, kogo nie znał.

Policja i miejscowi mieszkańcy chyba wierzyli, że był spokrewniony z tym biedakiem, który zakończył żywot w tutejszej okolicy.

A jeśli był to kolejny potomek Camerona? Zmarły brat za życia lubił się zabawić z tyloma kobietami, na ile tylko miał czas.

Ryan otworzył oczy i westchnął. Migrena nasiliła się do tego stopnia, że wywołała mdłości. Chyba będzie musiał się poddać i iść do lekarza. Boże, ale nienawidził tego całego obsłuchiwania i szturchania.

Co gorsza, zawsze święcie wierzył, że dobra wiadomość to jej brak. Co będzie, jeśli okaże się zła? Jeśli te bóle głowy są przejawem choroby, której czas, cierpliwość i najlepsza medyczna opieka razem wzięte nie zdołają uleczyć?

Jeśli już nic nie pomoże?

Ryan znów przejechał dłonią po czole, coraz bardziej zniecierpliwiony. U licha, to zupełnie do niego niepodobne. Takie podejście nigdy nie pozwoliłoby mu osiągnąć sukcesów, którymi od dawna się cieszył.

Ani stać się mężczyzną, którym jest.

Mężczyzną, którego jego Lily kocha. Ryan skupił się na pozytywnych aspektach swojej egzystencji. Miał wspaniałą rodzinę i nareszcie był z kobietą, do której zawsze należało jego serce.

Czego więcej potrzeba człowiekowi do szczęścia?

Poza metodą skutecznie zwalczającą migrenę, pomyślał z ironią.

Usłyszał delikatne pukanie. Takie ciche, że chętnie by je zignorował. Lecz jego sekretarka nie miała zwyczaju przerywać mu pracy bez ważnej potrzeby.

– Proszę – powiedział względnie cicho, aby nie zadudniło mu w głowie.

Sekretarka miała zirytowaną i jednocześnie strapioną minę. Poirytowanie jeszcze się wzmogło, gdy kobieta zerknęła przez ramię, nadal

blokując własnym ciałem lekko uchylone drzwi. Ryan widział tylko jej twarz.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, panie Fortune, ale dwie osoby z wydziału policji chcą się z panem widzieć. Mam je odesłać? – Pytanie zabrzmiało niemal jak prośba o jego zgodę.

Ryan uśmiechnął się, wzruszony totalną lojalnością pracowniczkę. Byli tacy, którzy szeptali za jego plecami, lecz najbliższe grono oddanych pracowników, rodzina i przyjaciele tego nie robili. Tak naprawdę właśnie to się liczyło – ludzie bliscy jego sercu.

– Nie, proszę ich wprowadzić. – Ryan zauważył, że jego odpowiedź spotkała się z nieskrywaną dezaprobatą sekretarki.

– Oczywiście, panie Fortune.

Kobieta otworzyła drzwi na oścież i poczekała, aż oficer Gabe Thunderhawk i detektyw Andrea Matthews wejdą do gabinetu.

Andrea wkroczyła pierwsza i skinęła na powitanie głową. Ryan poznał panią detektyw w biurze szefa wydziału zabójstw i stwierdził, że dzisiaj jej zachowanie jest równie chłodne, jak wtedy.

– Trudno pana złapać, panie Fortune. – Andrea usiadła na wskazanym krześle.

Gabe poszedł za jej przykładem, choć zdaniem Ryana młody mężczyzna czuł się skrępowany i chyba wolałby stać.

– Jestem zapracowanym człowiekiem, pani detektyw.

Andreę mile połechtał fakt, że Ryan Fortune nie obniżył jej zawodowej rangi tak, jak robili to niektórzy ludzie, z którymi miała do czynienia. A może on tylko starał się ją zmiękczyć, żeby poczuła się swobodnie i coś przegapiła.

To wykluczone, pomyślała. Jeśli Ryan Fortune był zamieszany w zabójstwo, to zamierzała go przyskrzytnić. Wysoka pozycja w społeczeństwie na pewno go nie zbawi.

Andrea musiała w życiu wiele udowodnić. Nie mogła pozwolić sobie na klęskę.

Ryan usiłował rozmawiać, nie okazując cierpienia. Piekielny ból ani trochę nie zelżał i Ryan miał wrażenie, że jego własny głos obija się echem w jego czaszce, zawadzając o nierówności jej wnętrza. Może po prostu należało wziąć receptę na silniejszy środek przeciwbólowy. Coś na poważne migreny.

Ryan trochę się odprężył na tę myśl.

– Zdołaliśmy cyfrowo poprawić wizerunek znamienia na ciele ofiary – oznajmiła Andrea.

– Słyszałem. – Vanessa powiedziała mu o wizycie ludzi z policji. Była wściekła z tego powodu i długo nie mógł jej uspokoić.

– Więc pewnie słyszał pan również, że znamię wygląda dokładnie tak, jak pańskie.

– Zamierzam to wyjaśnić. – Nie podobała mu się idea jakichkolwiek powiązań z ofiarą zabójstwa. W przeciwieństwie do policji wiedział jednak, że jest niewinny.

– Może później podzieli się pan z nami informacjami – grzecznie zasugerował Gabe, zanim Andrea zdążyła odpowiedzieć. Teraz spiorunowała go wzrokiem.

– Oczywiście. – Sięgnął do szuflady po aspirynę i połknął dwie tabletki.

– Coś panu dolega? – Andrea spojrzała na trzymany przez niego słoiczek

– Paskudny ból głowy. – Ryan podniósł się zza biurka, podszedł do drzwi i szeroko je otworzył. – Muszę jechać na spotkanie rady nadzorczej, więc jeśli nie mają państwo innych pytań... – Znacząco zawiesił głos.

Andrea wstała i z wyraźną niechęcią ruszyła do wyjścia.

– Będziemy w kontakcie – oświadczyła.

– Nie wątpię. – Ryan ledwie dostrzegalnie skinął głową. – Do widzenia.

Starannie zamknął za nimi drzwi i głęboko odetchnął. Miał dokładnie dwadzieścia minut, aby wziąć się w garść przed zebraniem rady. Przy odrobinie szczęścia migrena może do tego czasu zelżeje.

Oby.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Dlaczego nie mogę jechać z wami?

Luke włókł się za matką, oburącz podtrzymując koniec zrolowanego namiotu, który nieśli z garażu. W pokoju chłopiec z naburmuszoną miną bezceremonialnie upuścił ciężar na podłogę. Savannah starannie przysunęła namiot do kanapy, aby nie wchodził w drogę, i spojrzała na synka.

– Ponieważ będziesz lepiej się bawił z ciocią Vanessą i wujkiem Devinem. Zabiorą cię do wesołego miasteczka i do kina, a znając ciocię Vanessę, to pewnie pozwoli ci siedzieć do późna w nocy. Nie tak, jak ja i twój tata, gdy zaganiamy cię do łóżka przed ósmą. – Wtrąciła wzmiankę o Cruze, ponieważ chciała, aby Luke uważał ich za zjednoczony front. W rzeczywistości Cruz od dawna nie uczestniczył w przygotowywaniu synka do spania, ponieważ wracał do domu bardzo późno. Zwłaszcza obecnie, gdy ranczo wymagało więcej uwagi.

Luke natychmiast dał się przekonać.

– Dobrze, pojedę do cioci – oznajmił z uśmiechem. Po nadąsaniu nie zostało ani śladu.

– Podejrzewałam, że zmienisz zdanie. – Savannah pieszczotliwie zwichrzyła mu włosy.

Wyprostowała się i przesunęła spojrzeniem po pokoju. Był wypełniony sprzętem kempingowym. Od dnia, gdy Cruz zaaprobował wyjazd, przynosiła tutaj rzeczy niezbędne podczas planowanego weekendu. Chciała, aby te dwa dni i dwie noce były naprawdę komfortowe.

W przeciwieństwie do wielu turystów, Cruz nie lubił zabierać w teren kempingowej przyczepy. Uważał to za swoiste oszustwo. Wolał biwakować tak, jak robili to jego przodkowie, z matą rozłożoną pod gwiazdami.

Savannah zdołała go jedynie przekonać, że śpiwór jest trochę lepszy od rzuconego na ziemię koca.

Dlatego teraz wiedziała, że powinna bardzo subtelnie zaprezentować ideę namiotu. Miał wielkie znaczenie, musiała więc jakoś przekonać do niego Cruza.

Usłyszała szcęknięcie otwieranych i zamykanych drzwi. Cruz, pomyślała z uśmiechem. Weekend oficjalnie zaczął się już dzisiaj, lecz Cruz chciał osobiście podać paszę nowym koniom i je wyczyścić oraz zająć się tym, którego zamierzał zatrzymać – ogierem o imieniu Diabło.

Czynności te pomagały żyć się z końmi. Savannah wiedziała, jakie to dla Cruza ważne, więc powstrzymała się od komentarzy, gdy rano wychodził z domu. Zresztą spodziewała się takiego obrotu sprawy i dlatego poprosiła Vanesę, aby nie przyjeżdżała po Luke'a przed dziewiątą.

– Savannah? – Cruz przystanął w kuchni, aby napić się wody.

– Jestem tutaj, w saloniku! – W duchu przygotowała się na reakcję męża.

Nie rozczarował jej.

– A cóż to takiego? – Czubkiem kowbojskiego buta przesunął koniec namiotu i spojrzał na nią pytająco.

Był to nowy zakup. Specjalnie pojechała po niego wczoraj do Red Rock, zapłaciła i poprosiła sprzedawcę, aby włądował go do półciężarówki. Wraz z synkiem wyjęła namiot z opakowania i schowała go w garażu za aluminiową drabiną, której Cruz używał, gdy malował dom.

– Namiot. – Wbiła ręce do kieszeni dżinsów i zaczęła kołysać się na piętach.

– Widzę. – Cruz podniósł wzrok. – Co on tu robi?

– Leży na podłodze – oznajmił Luke i zasłonił usta dłonią, usiłując powstrzymać chichot. – Mama i ja przywlokłem go z garażu.

– Przywlekliśmy. – W Savannah odezwała się nauczycielka.

– Czyj to namiot? – Cruz domagał się wyjaśnień. Savannah wzięła głęboki oddech.

– Nasz.

Cruz z westchnieniem znów popatrzył na ciasno zwinięty i nadal zapakowany w folię przedmiot takim wzrokiem, jakby był to nie namiot, lecz żywa kobra. Nigdy nie posiadał namiotu. Nigdy go nie potrzebował. I nie zamierzał niczego w tej dziedzinie zmieniać.

– Wiesz, co sędzę o spaniu w namiocie. Równie dobrze możemy spać w przyczepie. Albo w domu, w naszym łóżku.

– Niezupełnie – zaproponowała. Jej zdaniem Cruz był zwolennikiem rozwiązań ekstremalnych. Zerknęła na synka, najwyraźniej wsłuchanego w każde słowo rodziców. To, co chciała powiedzieć, nie nadawało się dla jego uszu. – Luke, może skoczysz do swojego pokoju i sprawdzisz, czy zapakowałeś wszystko na pobyt u cioci?

– Jasne! – Luke w tempie tornada pomknął na piętro. Tupot drobnych, szybkich kroków ucichł w sypialni chłopca. Luke był już poza zasięgiem słuchu, lecz mimo to Savannah zniżyła głos, zwracając się do Cruza.

– Nie będziemy w nim spać. – Ruchem głowy wskazała nieszczęsny namiot.

– Nie? – Ciemne brwi Cruza uniosły się, podkreślając jego zdziwienie. – Więc po co mamy go targać ze sobą?

Czy naprawdę musiała mu to tak dokładnie wyjaśniać?

– Możemy w nim... no wiesz...

Przez moment nie miał pojęcia, o co jej chodzi. Zaraz jednak się połąpał i na jego twarzy odmalował się wyraz rozbawienia. Byli małżeństwem od pięciu lat, a Savannah nadal się rumieniła.

– Kochać się?

– Tak. – Lekko odchrząknęła. – Pomyślałam, że zapewni nam...
poczucie prywatności.

– A kto nas będzie widział? – Cruz miał ochotę parsknąć śmiechem. –
Sowy?

– Nigdy nie wiadomo. – Savannah wzruszyła ramionami. Przecież ktoś inny mógł biwakować w okolicy, sporo ludzi wędruje dla przyjemności. Nie zamierzała ryzykować. – Sądziłam, że lubisz dyskrecję.

– Lubię. Na temat spraw, które się dzieją między nami, a nie... tego. – Przesunął wzrokiem po sylwetce żony, podszedł do niej i objął ją z tyłu, gdy odkładała kilka przedmiotów, które miały trafić do plecaków. Sam jeszcze nie załadował niczego do półciężarówki, lecz już był podekscytowany perspektywą wyjazdu na kemping. Położył dłonie na ramionach Savannah i odwrócił ją twarzą do siebie. – To, o czym mówisz, jest równie naturalne, jak same gwiazdy. Ognisko, piękna kobieta. Mężczyzna, który czekał za długo... – Z seksownym uśmiechem przedstawiał jej wizję romantycznego wieczoru.

Savannah westchnęła. Może rzeczywiście stała się trochę zanadto pruderyjna. Przypomniała sobie, jak kochali się po raz pierwszy. Zrobili to w stajni Ryana. W domu odbywało się wielkie przyjęcie i w każdej chwili ktoś mógł ich nakryć.

Wtedy wcale się tym nie przejmowała. A obecnie tak bardzo chciała cofnąć czas. Rozpaczliwie.

Poczuła usta Cruza na szyi i zadrżała z rozkoszy. A było to dopiero preludium.

Jeśli on nie przestanie, pomyślała, to nie będą musieli nigdzie jechać. Jeszcze trochę takich pieszczot, a ona zaatakuje go na środku tego zagraconego pokoju.

– Namiot zostaje w domu – oświadczyła.

– Dzielna dziewczynka. – Cruz objął ją mocniej i przygarnął do siebie. Jej bliskość działała na niego tak relaksujące – Cieszę się, że zaproponowałaś ten wyjazd.

– Ja też. – Jej oczy nabrały blasku.

Odchyliła głowę do tyłu, spodziewając się pocałunku, lecz go nie dostała, bo na górze rozległ się głośny tupot. Luke zbiegł po schodach, robiąc tyle hałasu, jakby był dwa razy cięższy niż w istocie. Odległość między swoim pokojem a salonikiem pokonał w dziesięć sekund.

– Ciocia Nessa przyjechała! – zawołał ile sił w płucach. Zatrzymał się raptownie i na widok obejmujących się rodziców zrobił zde gustowaną minę.

– Uch, ohyda – stwierdził i pognął do holu.

– Powinien być wdzięczny za tę ohydę. – Savannah niechętnie uwolniła się z objęć Cruza. – Dzięki niej przyszedł na świat. – Pośpieszyła za synkiem, który już otwierał drzwi. – Co ci mówiłam o wpuszczaniu do domu nie wiadomo kogo? – spytała karcącym tonem.

– Mówiłaś o obcych, a to ciocia Nessa. Zobaczyłem ją przez okno. Nie jest obca.

– Mały ma rację! – zawołał Cruz.

– Ale mnie wspierasz – mruknęła Savannah.

Vanessa z uśmiechem weszła do środka i czułym gestem zwichrzyła włosy chłopca.

- Wypatrywałeś mnie, przystojniaku?
- Mama kazała mi sprawdzić, czy niczego nie zapomniałem.
- To byłby koniec świata – z udawaną powagą przyznała Vanessa. –

Nie mogę pozwolić, żebyś się nudził.

- Wiesz, w co się pakujesz? – spytał Cruz pół żartem, pół serio.

Podszedł do nich i na powitanie cmoknął Vanesę w policzek.

- W dobrą zabawę – odparła bez wahania.
- Zobaczymy. – Cruz najwyraźniej miał pewne wątpliwości. –

Mówiłaś, że była tutaj, gdy rozbił stolik? – spytał żonę.

- Tak. – Savannah skinęła głową.
- Masz nerwy ze stali, Vanessa.
- Jestem z rodu Fortune'ów – oświadczyła z niewątpliwą dumą w

głosie. – Hodują nas tak, żebyśmy dawali sobie radę ze wszystkim.

– A przy okazji... – wtrąciła Savannah. – Jak twój ojciec znosi sprawę tego ciała?

– Ciała? – Luke znów okazał zainteresowanie. – Czyjego? Jakiego? – Chłopiec patrzył raz na ojca, raz na Vanesę, kręcąc głową tak szybko, że jego proste, ciemne włosy falowały wokół głowy jak jedwabista, czarna zasłona poruszana powiewem wiatru.

– Usiłujemy wychować go na reportera do spraw kryminalnych – zażartowała Savannah.

- Zauważyłam.

– Żadnego – z naciskiem w głosie powiedział do synka Cruz. Luke dobrze znał ten ton. Oznaczał on, że koniec z głupstwami lub niemądrymi dociekaniem.

Luke z nachmurzoną miną wsunął piąstki do tylnych kieszeni dżinsów.

Vanessa odniosła wrażenie, że Cruz usiłuje oszczędzić jej roztrząsania nieprzyjemnych faktów. Znając chłopca, nie miała jednak wątpliwości, że Luke tak łatwo nie da za wygraną. Zawsze drażył interesujący temat, dopóki nie uzyskał zadowalających wyjaśnień.

– Znalezione nieznajomego w jeziorze Mondo – powiedziała, aby zaspokoić ciekawość dzieciaka. I niechcący jeszcze ją podsyciła.

– Kto to taki? – Luke uznał, że ciocia zna wszystkie odpowiedzi i natychmiast przysunął się do niej.

– Nie powiedział. – Vanessa ostentacyjnie wzduszyła ramionami.

– Nie można zmusić go do mówienia? – Luke przekrzywił głowę na bok.

Robi to zupełnie tak samo, jak Savannah, gdy nad czymś się zastanawia, pomyślała Vanessa.

– Nie. – Początkowo rozbawiona uporem chłopca, Vanessa zaczęła podejrzewać, że popełniła błąd. Co zrobić, żeby porzucił temat?

– Ty byś mogła. – Radosny uśmiech rozświetlił buzię Luke'a. – Każdy powie ci wszystko, co tylko chcesz.

– On chyba ze mną flirtuje. – Vanessa ze śmiechem spojrzała na Savannah.

– To zabójczy męski urok Perezów. – Savannah zerknęła na męża. – Zaczyna się wcześniej.

– Zapominasz, że dorastałam z Cruzem. – Vanessa porozumiewawczo mrugnęła do przyjaciółki, dając do zrozumienia, że to całkiem niewinna uwaga. Za nic w świecie nie chciała dać Savannah powodów do bezpodstawnych podejrzeń. Gruz zawsze był tylko przyjacielem, również i w czasach, gdy pracował jako zaklinacz koni na ranczu Fortune'ów. – Znam te męskie sztuczki. – Popatrzyła na składany stolik do gry w karty, ustawiony

na miejscu zniszczonego mebelka. – Widzę, że usunęłaś dowody rzeczowe – dodała, zmieniając temat.

– Mój szwagier twierdzi, że może nam zrobić nowy – oznajmił Cruz. Nazajutrz po niefortunnym wydarzeniu wyrzucił zrujnowany stolik.

– To dobrze. – Vanessa dostrzegła cień zniecierpliwienia na twarzy Savannah. Przyjaciółka na pewno chciała zacząć szykować się do wyjazdu. W tych okolicznościach było to całkiem zrozumiałe. – Co ty na to, żebyśmy już poszli, przystojniaku? – spytała Luke'a.

– Super! – Luke zignorował jej rękę i chwycił walizeczkę, którą matka pomogła mu zapakować wczoraj wieczorem. Pod pachą ścisnął też kilka zabawek. Jedną z nich wyslizgnęła się, ale zdołał ją przytrzymać.

Wyglądał tak komicznie, że Vanessa serdecznie się roześmiała. Savannah podeszła do synka, aby pomóc mu wyjść.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Głośne i natarczywe, sugerujące pośpiech. Wymagające natychmiastowej uwagi.

W tej samej sekundzie, jakby ktoś naprawdę nie mógł poczekać ani chwili, drzwi zostały otwarte. Stał w nich Jaime, najmłodszy z niedawno zatrudnionych na ranchu pomocników. Chłopak miał zaaferowaną minę, a w jego niebieskich oczach malował się wyraz paniki.

– Szefie, mamy problem!

Savannah zeszywniała. Oświadczenie chłopaka podziałało na nią jak kubek zimnej wody.

– Co się stało? – spytała, zanim Cruz zdążył się odezwać.

Młody człowiek uprzejmym, choć nieco spóźnionym skinieniem głowy powitał obie kobiety. W dodatkowym geście szacunku zdjął też przeпоcony kapelusz i miętosił go teraz w obu dłoniach.

– Naprawdę nie wiemy, jak do tego doszło, ale...

– Jak do czego doszło? – huknął Cruz. Wiedział, że musi przywołać chłopaka do porządku. Nie było czasu na słuchanie paplaniny.

– Hank to dobry jeździec – kontynuował Jaime, jakby usiłował bronić wspomnianego mężczyzny.

Cruz nie miał wątpliwości, że Jaime jest przestraszony i nie wie, co robić. Dlatego chwycił go za ramiona, aby chłopak trochę się opanował i Jaime z widocznym wysiłkiem wziął się w garść.

– Jego koń się spłoszył i Hank spadł, ale jego noga została w strzemieniu. Koń galopował i włókł Hanka. Dotarliśmy do niego najszybciej, jak się dało... – Słowa nadal padały z szybkością karabinu maszynowego.

– W jakim jest stanie? – Cruz usłyszał za plecami stłumiony okrzyk Savannah.

– Chyba złamał rękę. Billy jest z nim. Musimy wziąć ciężarówkę, żeby jechać do szpitala.

– Zaraz tam będę. – Idąc do wyjścia, Cruz zauważył, że Savannah podąża za nim. Przystanął i odwrócił się. – Co robisz?

– Idę z tobą. – Patrzyła na niego ze zdziwieniem. Hank był nie tylko ich pracownikiem, lecz również przyjacielem.

– Nie ma potrzeby, Savannah. – Cruz wyraźnie się zachmurzył. Ranczo było jego domeną i on powinien zajmować się najemnymi pracownikami.

– Jeśli ręka jest złamana, mogę ją fachowo unieruchomić na czas dojazdu do szpitala. – Dlaczego Cruz próbował wykluczyć jej udział? Przecież oboje byli odpowiedzialni za to, co dzieje się na ranczu. – W przeciwieństwie do ciebie zaliczyłam kurs pierwszej pomocy – dodała na widok powątpiewającej miny Cruza.

– Jesteś w ciąży, Savannah – odparł przyciszonym tonem, chociaż Vanessa prawdopodobnie go słyszała.

– A cóż to ma oznaczać? Od dawna nie słyszałam nic głupszego... – Usiłowała pohamować irytację. – Nie będę bandażować go swoją macicą, Cruz. – Ominęła go, wychodząc na zewnątrz. – Apteczka jest w samochodzie. Zapakowałam ją wczoraj wieczorem.

– Zawsze myślisz o wszystkim, prawda? – Cruz się poddał, świadomy tego, że po prostu był nadopiekuńczy. Nie lubił wystawiać Savannah na takie doświadczenia.

– Nie zawsze – odparła, nieco ułagodzona podziwem w jego głosie. I jednocześnie sfrustrowana tym, co się stało. Jak widać, nie pomyślała o wszystkim. Nie wzięła pod uwagę nagłych przypadków, które mogłyby opóźnić planowany wyjazd. – Vanessa... – Spojrzała na przyjaciółkę.

– Nic nie mów. Jedź. – Vanessa położyła dłonie na ramionach Luke'a i lekko przygarnęła go do siebie. – Luke i ja poczekamy na wasz powrót.

– Nie pojedziemy do twojego domu, ciociu?

– Jeszcze nie, skarbie. – Vanessa wymieniła spojrzenie z Savannah. – Najpierw musimy się dowiedzieć, co z Hankiem.

Savannah pośpieszyła do samochodu. Modliła się w duchu, aby Jaime okazał się panikarzem i aby wszystko było dużo lepiej, niż wyglądało to w jego wersji.

Jej modlitwy niestety nie zostały wysłuchane.

Jaime się nie mylił. Ramię Hanka rzeczywiście było złamane. Do unieruchomienia kości Savannah użyła dwóch kupionych parę dni temu drążków. Miały służyć do podtrzymania krzaczków, które zamierzała posadzić przed domem. Teraz była zadowolona, że jeszcze tego nie zrobiła.

– Nie chciałybyś zostać pielęgniarką? – Hank obserwował jej czynności, gdy owijała jego ramię wraz z drążkami szerokim bandażem.

– Jako matka już nią jestem. – Właśnie z powodu Luke'a i jego przygód przeszła kurs pierwszej pomocy. Teraz odcięła koniec bandaża i zręcznie go zawiązała. – Jedziemy – powiedziała do Cruza.

– Jeszcze mogę podrzucić cię do domu – zaproponował, siadając za kierownicą. Jaime i Billy mieli zapędzić konie do zagrody.

– To nie po drodze. Jedź prosto do szpitala. – Została na tyle półciąężarówki wraz z Hankiem leżącym na kocu, który dla niego rozłożyła. Jakimś cudownym zrządzeniem losu kowboj nie odniósł innych poważnych obrażeń poza złamanym ramieniem. Parę siniaków i zadrapań się nie liczyło.

Cruz zaparkował samochód przed izbą przyjęć i wyskoczył z szoferki.

– Zostań tutaj – polecił Savannah i wszedł do szpitala. Wrócił po kilku minutach z pielęgniarem i fotelem na kółkach.

– Teraz przejedziesz się w wielkim stylu, Hank. – Savannah odsunęła się, aby zrobić miejsce.

– Wolałbym siedzieć w siodle. – Hank skrzywił się, schodząc na chodnik.

– Właśnie dzięki temu jesteś w tarapatach – odparła wesoło.

Kowboj posłał jej nieśmiały uśmiech i z pomocą obu mężczyzn usadowił się w fotelu.

Najgorsze było czekanie. Cruz przez prawie półtorej godziny chodził po korytarzu.

– Nie przyśpieszysz niczego, wycierając dziurę w linoleum – powiedziała Savannah.

– Nie mogę usiedzieć w miejscu.

– Zauważyłam.

W końcu zjawił się doktor Neubert. Miał optymistyczną minę.

– To proste złamanie – oświadczył, podszedłszy do nich. – Powinno się dobrze zrosnąć. Dwa miesiące i po krzyku.

– Dwa miesiące – powtórzył Cruz. Oznaczało to, że Hank niewiele zdoła zrobić na pastwisku i w stajniach, ale zapłata za ten czas będzie się należała.

Co za pech. Wydawało się, że problemom nie ma końca. Ani chwili odpoczynku, z żalem pomyślał Cruz i natychmiast zdał sobie sprawę z ironii ostatniego stwierdzenia.

– Mogłoby być dużo gorzej. – Lekarz prawidłowo zinterpretował ton Cruza. – Chciałbym zatrzymać Hanka na noc na obserwacji. Trzeba się upewnić, że nie doznał wstrząśnienia mózgu. To był paskudny upadek, a potem koń włókł Hanka po ziemi. Ale chłopak jest młody, silny.

To działa na jego korzyść. W pełni odzyska sprawność, gdy wszystko się zagoi.

– Tak... – Cruz zacisnął wargi, przytłoczony rozwojem wydarzeń. – Gdy się zagoi.

– Dziękujemy, doktorze. – Savannah przejęła pałeczkę, ponieważ Cruz najwyraźniej pograżył się w niewesołych myślach.

– Po to tu jestem. – Lekarz pożegnał ich i odszedł, wezwany do kolejnego pacjenta.

Cruz oparł się plecami o ścianę i wpatrzony w jakiś niewidoczny punkt zaczął w myśli robić obliczenia. Miał skromną polisę ubezpieczeniową dla siebie i pracowników. Z uwagi jednak na koszty, tak zwany udział własny był bardzo wysoki. I należało pokryć go z własnej kieszeni, ponieważ wypadek zdarzył się na ranczu oraz w czasie pracy.

Kolejne nieprzewidziane wydatki, pomyślał ponuro. Ale nie był to największy problem. Cruz popatrzył na Savannah i przygotował się na najgorsze.

Nie spodoba się jej to, co zamierzał powiedzieć.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Napięcie panujące w samochodzie było prawie namacalne. Cruz milczał. Nie chciał przez całą drogę do domu kłócić się z żoną.

Savannah odpowiednio interpretowała oznaki i usiłowała wypełnić czas beztróskim paplaniem. Miała nadzieję, że dobry humor ochroni ją przed tym, co spodziewała się usłyszeć. Że wyjazd na weekend został odłożony. W nieskończenie odległą przyszłość.

– Prezentował się całkiem nieźle. – Wraz z Cruzem poszła zobaczyć się z Hankiem po jego zabiegu. Młody mężczyzna został umyty i uczesany, lecz wydawał się bardzo skrepowany. Było to chyba rezultatem bardziej tego, że zmuszono go do włożenia szpitalnej koszuli niż odniesionych obrażeń.

– Jak na faceta niedawno wleczonego przez konia, to tak, wyglądał nieźle – zgodził się Cruz.

– Lekarz miał rację... mogło być dużo gorzej.

Pogodny nastrój Savannah zazwyczaj działał na Cruza jak balsam. Ale nie dzisiaj. Teraz był równie irytujący, jak żwir w bucie.

– Uhm. – Akurat, pomyślał rozjątrzony. Jak mogło być gorzej, skoro zwały się na niego dodatkowe obowiązki, a on nie miał na nie czasu.

Zajechali przed dom i Savannah zobaczyła, że samochód Vanessy nadal jest zaparkowany obok garażu. To niemal zły znak, pomyślała i zerknęła z ukosa na męża. Najwyższy czas poruszyć drażliwy temat.

– Chyba mógłbyś poprosić Jamiego lub Billy'ego o odebranie Hanka jutro ze szpitala.

Hank Jeffers nie miał w okolicy żadnej rodziny i zajmował wraz z Jaimem przewoźny domek o lekkiej konstrukcji, który Cruz trzymał na

swojej posesji. Tylko Billy wracał co wieczór do żony i córki. Mieszkał w pobliżu „La Esperanzy” i dojazdy nie zajmowały mu dużo czasu.

– Mógłbym. – Cruz wyłączył silnik i zaciągnął ręczny hamulec.

Savannah знаła Cruza wystarczająco dobrze, aby móc dokończyć przynajmniej niektóre z wypowiedzianych przez niego zdań. Zwłaszcza te, które nie przypadły jej do gustu.

– Ale tego nie zrobisz. – Odwróciła się twarzą do męża.

– Nie. – Cruz niewidzącym wzrokiem patrzył gdzieś poza przednią szybę.

Do licha. Savannah zacisnęła dłonie. Spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Możesz go sam odebrać tylko w przypadku, gdy nie pojedziemy na kemping.

– I tak już minęło pół dnia. – Cruz niefrasobliwie wzruszył ramionami, a jego mina nie wyrażała żadnych uczuć.

– Ale pół dnia jest nadal przed nami. – Nie zamierzała łatwo dać za wygraną. Dlaczego zawsze miał takie cholernie negatywne nastawienie?

– Savannah, nie słyszałaś, co mówiłem w szpitalu? – Był coraz bardziej zirytowany. Dlaczego musiała wszystko utrudniać? – Brakuje nam jednego pracownika – a nie możemy sobie na to pozwolić.

Owszem, słyszała. Również dźwięk żałobnego dzwonu.

Obwieszczał śmierć czegoś drogiego jej sercu, czegoś w co rozpaczliwie usiłowała tchnąć trochę życia. Ale nie sposób ożywić czegoś, co już jest martwe.

– I wszystko się zawali, jeśli znikniesz z rancza na...

– Zerknęła na zegarek. – Trzydzieści sześć godzin? Proszę cię tylko o tyle, Cruz. Głupie półtora dnia. – Czy nie była warta chociaż tyle? I tej

odrobiny wysiłku? Dlaczego zawsze znajdowała się na szarym końcu listy priorytetów?

Cruz wysiadł z samochodu i trzasnął drzwiczkami trochę głośniejsze, niż zamierzał. Był w parszywym humorze, gotów lada moment wybuchnąć. W warunkach idealnych ta rozmowa w ogóle nie miałaby miejsca. Na ranczu byłoby wystarczająco dużo ludzi, aby zastąpić Hankę.

Ale sytuacja była daleka od ideału. Może kiedyś będzie do niego zbliżona, lecz na razie twarda rzeczywistość dyktowała warunki. Dlaczego Savannah nie mogła tego pojąć?

Obszedł auto, aby pomóc jej wysiąść, lecz ona już to zrobiła.

– Prosisz o dużo więcej.

– Niby o co, Cruz? – Nie spodobał się jej ton męża. Jej cierpliwość była na wyczerpaniu. – O twoją męskość? Twoją dumę?

– Chociaż raz przestań się mądrzyć jak nauczycielka – odparował. – To nie lekcja filozofii, tylko dzień życia w prawdziwym świecie. W tym świecie ja muszę zarządzać ranczem i już brakowało mi jednego człowieka. Utrata Hanki jeszcze pogarsza sprawę. Nie mogę zafundować sobie urlopu, bo taką mam fantazję. Jest za dużo roboty.

Pohamował swoją frustrację. To, co się działo, nie było winą Savannah. Wyżywał się na niej, ponieważ wyprowadził go z równowagi rozwój wypadków.

– Słuchaj, nie chcę na ciebie wrzeszczeć, ale niczego nie ułatwiasz, działając mi na nerwy.

– Ja działałam ci na nerwy? – Patrzyła na niego z niebotycznym zdumieniem. W jego ustach zabrzmiało to tak, jakby była sekutnicą wyklócającą się o jakieś głupstwo. A przecież usiłowała tylko skłonić go do

zrozumienia, co się z nimi dzieje! – I kto tu plecie bzdury? Cruz, ja naprawdę staram się ratować nasze małżeństwo.

– Nie przesadzaj. – Zbył ją machnięciem ręki.

Savannah miała ochotę wykrzyknąć mu prosto w twarz, że wcale nie przesadza, że znaleźli się w kryzysowej sytuacji, a on jest zbyt krótkowzroczny, aby to dostrzec lub przyjąć do wiadomości. Wiedziała jednak, że podniesiony ton do niczego dobrego nie prowadzi. Podobnie jak sugerowanie winy Cruza. To tylko zaogniłoby sprawę.

– Przecież i tak zamierzałaś nająć jeszcze jednego pomocnika... – Rozpaczliwie próbowała przemówić mu do rozsądku.

– No właśnie. Już przedtem brakowało mi ludzi.

A czyja to wina? Savannah ugryzła się w język, aby nie zadać tego pytania. Owszem, z pieniędzmi było krucho, lecz gdyby nowy pracownik mieszkał na ranchu, to jego wynagrodzenie byłoby mniejsze i mogliby zatrudnić jeszcze jednego. Poza tym robota posuwałaby się szybciej, umożliwiając trenowanie większej liczby koni. Ale Cruz strasznie zwlekał. Sam niegdyś pracował na cudzym ranchu i nadal postrzegał świat z tej perspektywy. Pamiętał jakość swojej pracy i dlatego miał niebotyczne wymagania w stosunku do potencjalnych pomocników. Takie podejście oczywiście bardzo utrudniało rekrutację siły roboczej.

– Więc najmij kogoś. Przestań wybrzydzać i zatrudnij kogokolwiek. – Z miejsca, gdzie stała, widziała stajnie i konie za ogrodzeniem. Billy i Jaime właśnie czyścili te, które Cruz przygotowywał do sprzedaży pod koniec miesiąca. Jej zdaniem obaj pomocnicy przerośli oczekiwania, lecz Cruz nie szafował pochwałami. Zawsze był taki uparty jak osioł? Czy dawniej tego nie dostrzegała, bo miłość tak bardzo ją oślepiła? – Najwyżej ich zwolnisz, jeśli się nie sprawdzą. W przeszłości tak robiłeś.

Zapomniała o rzeczy oczywistej, pomyślał.

– To nie rozwiązuje sprawy weekendu.

– Billy i Jaime dadzą sobie radę. Nie są parą miejskich kowbojów od parady, którzy przypadkiem zabłądzili w naszej okolicy i nie mają pojęcia, co to praca na ranczu.

– Dawali sobie radę, bo Hank ich pilnował.

Aha, tu cię mam. Savannah uśmiechnęła się triumfująco.

– Myślałam, że nie nadawał się na twojego zastępcę – oświadczyła słodko.

– Wykręcasz kota ogonem.

– To ty bez przerwy zmieniasz wersję. W zależności od okoliczności. Pamiętasz, jak ci powiedziałam, żebyś awansował Hanka do rangi zastępcy? – dodała na widok niepewnej miny Cruza. – Twoim zdaniem wcale się nie nadawał. A teraz twierdzisz, że tylko dzięki niemu Billy i Jaime pracowali jak należy. – Patrzyła na niego wyzywająco. – Więc jak to jest? Może się zdecydujesz?

– Nie mam czasu na kłótnie.

– Najwyraźniej masz. – Zastąpiła mu drogę. – Bo właśnie to robisz.

Cruz spojrzał ponad jej ramieniem. Odwróciła się i zobaczyła, że Vanessa i Luke wychodzą z domu na ganek.

– Hej, co z Hankiem? – zawołała Vanessa, a Luke pognał do rodziców.

Savannah pierwsza zdołała wziąć się w garść i zamaskować dręczące ją uczucia. Dłonią osłoniła oczy od słońca, aby lepiej widzieć Vanessę i synka.

– Ma złamaną rękę.

– Ale przeżyje? – Luke miał przerażoną minę.

Savannah uśmiechnęła się. Życie bywa trudne, lecz ona przynajmniej miała Luke'a. Był dla niej czymś absolutnie najcenniejszym. Patrząc na synka, poczuła słodko-gorzki skurcz w sercu.

– Tak, skarbie. Hank na pewno przeżyje. Potrzebuje tylko trochę czasu, żeby wydobrzeć.

– Wiecie co? – Vanessa po trzech schodkach zeszła z ganku, patrząc na Cruza. – Jeśli potrzebujecie kogoś na zastępstwo, to mój ojciec na pewno mógłby podesłać paru ludzi z „Dwóch Koron”, żebyście dali sobie radę...

Ponieważ oferta została złożona przez Vanessę i Cruz wiedział, że ona ma dobre intencje, więc potraktował ją grzecznie. Nie podobało mu się jednak to, że jej zdaniem potrzebował czyjejś dobroczynności. Nawet kogoś tak zaprzyjaźnionego, jak Vanessa.

– Dzięki za dobre chęci, ale pomoc jest zbędna – odparł krótko. Temat został zamknięty.

– Ale właśnie mówiłeś... – Oczy Savannah rozszerzyły się ze zdumienia. Jak mógł odrzucić taką wspaniałą propozycję?

– Poradzę sobie.

Nikt nie będzie uważał go za biednego Meksykanina, którego Fortune'owie muszą wybawić z kłopotów. Duma nie pozwoliłaby mu przyjąć jałmużny, niezależnie od tego, w jakiej byłaby formie lub jak szlachetni są ofiarodawcy. Akceptacja czyniła z człowieka dłużnika, a on nie zamierzał nim zostać.

– Nie byłoby z tym żadnego problemu. – Vanessa podeszła do Cruza.
– Po wiosennym znakowaniu jest na ranczu mniej pracy, więc...

Wargi Cruza wygięły się w grzecznościowym uśmiechu, który znikł po paru sekundach.

– Nie. Naprawdę dziękuję. Poradzimy sobie.

Savannah wzięła głęboki oddech. Jako dobra, uległa żona wciąż łudziła się nadzieją, że Cruz przejrzy na oczy. Teraz miała już dosyć tego czekania. Wystarczająco dobrze wszystko wyłuszczyła, a on wcale nie chciał zrozumieć ani wyjść jej naprzeciw chociaż w ćwierć drogi.

A przecież tak bardzo się starała, robiła wszystko, co w jej mocy. Pomagała, prowadziła księgowość, była matką jego dzieci, a mimo to Cruz okazywał jej mniej względów niż temu żrebakowi, któremu od miesiąca matkował.

Koniec z takim podejściem.

– Nie – zaprotestowała stanowczo, choć jej głos omal się nie załamał, gdy spojrzała na męża. – Nie poradzimy sobie.

Cruz święcie wierzył w to, że mężowie i żony nie sprzeciwiają się sobie nawzajem w obecności osób postronnych, nie wyłączając najlepszych przyjaciół.

– Savannah... – Zmroził ją wzrokiem. Było to ostrzeżenie.

– Lepiej już pójdę. – Vanessa posłała przyjaciółce ciepły uśmiech.

Ruszyła do samochodu, lecz Luke zastąpił jej drogę.

– Nie jadę z tobą? – W głosie chłopca zabrzmiało rozczarowanie.

– Nie, kochanie. – Pogładziła go po policzku. – Może innym razem.

Twoi rodzice chyba nigdzie się nie wybierają.

– Przeciwnie – oświadczyła Savannah. Powiedziała to takim zdecydowanym tonem, że zdumiała zarówno Vanesę, jak i Cruza. – Jeden rodzic nie zmienił zdania.

Cruz właśnie odchodził w stronę zagrody dla koni. Teraz raptownie się zatrzymał i odwrócił na pięcie. Był tak oszołomiony słowami żony, że całkiem zapomniał o świadkach.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – wycedził.

Savannah zebrała się na odwagę. Potulne czekanie na to, aż Cruz przejrzy na oczy i obiektywnie oceni sytuację, dłużej nie miało sensu. Jak dotąd nie przyniosło pożądanych rezultatów.

– To, że chyba nie tylko Luke pojedzie do Vanessy. – Spojrzała na przyjaciółkę. – Znajdziesz miejsce dla jeszcze jednej osoby?

Vanessa szybko zerknęła na rozgniewaną twarz Cruza.

– Dla ciebie? – spytała.

Było już za późno na odwrót. Może to i dobrze, uznała Savannah.

– Dla mnie.

– Oczywiście. Ale może powinnaś to przemyśleć.

Wiedziała, że jeśli się zawaha, to przegra. Już i tak miała kolana z waty. Ale kręgosłup nadal był sztywny, więc błyskawicznie podjęła decyzję. Zwycięstwo albo śmierć.

Albo utrata męża, szepnęło coś w głębi jej duszy.

Savannah buntowniczo wysunęła brodę.

– Przemyślałam. – Odpowiedziała tym słowem Vanessie, lecz skierowała je do Cruza. I właśnie na niego patrzyła. – Może potrzebujemy trochę czasu z dala od siebie. – Odwróciła się do przyjaciółki, z niemą prośbą w oczach. – Mogłabyś iść z Lukiem na górę i zapakować dla niego więcej rzeczy?

Był to tylko pretekst, aby zabrać stąd chłopca. Nie wątpiła, że Vanessa to zrozumie. Oraz że zechce mu oszczędzić widoku kłócących się rodziców. A kłótnia wisiała w powietrzu.

– Chodź, przystojniaku. – Vanessa ujęła dłoń dziecka i lekko ją ścisnęła. – Zobaczmy, co jeszcze może ci się przydać.

Savannah nie była pewna, czy nie poniosła jej wyobraźnia, wydawało się jej bowiem, że synek ociąga się z odejściem. Na progu domu spojrzął przez ramię na rodziców, a na jego buzi wyraźnie malowało się zatroskanie.

Zupełnie jakby przewidywał coś najgorszego.

– Dobrze – zgodził się bez entuzjazmu. – Ale nie wrzeszczcie.

Ta prośba niemal złamała serce Savannah. I całkiem ją przekonała, że Cruz i ona muszą oczyścić atmosferę, zanim niezdrowa sytuacja zacznie odbijać się negatywnie na ich synku.

– Nie będziemy – obiecała z wymuszonym uśmiechem, który zniknął, gdy dzieciak wszedł do domu.

– Jesteś nierozsądna – stwierdził Cruz, gdy za chłopcem zamknęły się drzwi.

Powinna była się spodziewać, że Cruz powie coś takiego.

– Przeciwnie – odparowała. – Jestem bardzo rozsądna. Rozsądnie obserwowałam, jak pracujesz coraz więcej, a nie mniej. Rozsądnie czekałam, aż zaczniesz stawiać nas na pierwszym miejscu, a nie na ostatnim.

– To śmieszne. – Cruz usiłował nie podnosić głosu.

– Ty i Luke nie jesteście na ostatnim miejscu. Savannah, to przecież nie konkurs...

– Właśnie na to wygląda.

– ... a pięć lat to za mało na zbudowanie rancza od podstaw – kontynuował, jakby wcale jej nie usłyszał.

– Ale te pięć lat przepadło bezpowrotnie. – Czy on naprawdę tego nie pojmował? Nigdy nie będzie mógł odzyskać raz zainwestowanego czasu. – Utraciłeś pięć lat życia twojego syna. I pięć lat z naszego.

– Co ty wygadujesz? — Zaczynała go boleć od tego głowa. – Ty i Luke jesteście tutaj codziennie.

– A ty wcale tego nie doceniasz!

Zauważył, że jego pracownicy zerkają w ich stronę. Do licha... że też Savannah musiała wygarniać mu właśnie tu i teraz.

– Znowu wyjeżdżasz z tymi głupotami. Wiesz, że cię doceniam.

Potrzebuję cię.

– Nawet twoi ludzie dostają premię. – Nie zamierzała pozwolić mu tak łatwo się z tego wykreść. Same słowa nie wystarczą. Owszem, potrzebował jej, ale nie umiał okazać, że mu na niej zależy. Pragnęła czegoś więcej – oznak, że naprawdę ją cenił oraz trochę czasu spędzanego tylko we dwoje.

Gapił się na nią, jakby nagle zaczęła mówić po chińsku.

– Oddaję ci wszystkie zarobione pieniądze. Czego jeszcze chcesz? Na litość boską, przecież jesteś księgową.

– Nie chcę pieniędzy. Chcę ciebie – powtórzyła chyba po raz tysięczny.

– A jak twoja ucieczka do Vanessy pomoże ci to zrealizować?

O tym jeszcze nie pomyślała. Wiedziała tylko, że musi stąd odejść. Przebywanie z Cruzem, gdy tak bardzo ją zaniedbywał, było zbyt bolesne.

– Nie wiem. Może dzięki niej zaczniesz za mną tęsknić. A może stwierdzisz, że beze mnie jesteś bardziej szczęśliwy. – Wyprostowała plecy, jak żołnierz, który po raz pierwszy maszeruje na linię frontu. – Tak czy owak, najwyższa pora, żebyśmy się przekonali.

– Mówisz poważnie? – Wpatrywał się w nią tak, jakby nadal nie wierzył w to, co usłyszał.

– Jak nigdy dotąd. – Zacisnęła wargi, żeby nie zdradziło jej ich drżenie.

Nadal nie był pewien, czy dobrze ją rozumie. Savannah chyba nie mogłaby powiedzieć czegoś takiego.

– Chcesz ode mnie odejść...

W jego ustach zabrzmiało to tak okrutnie, lecz nie mogła teraz pozwolić sobie na wątpliwości. Byłaby zgubiona, gdyby zaczęła się wahać. Musiała być silna. Dla dobra ich obojga.

– Uważam, że potrzebujemy małej przerwy.

– Jeśli opuścisz ten dom, nasze małżeństwo jest skończone. – Nie powinien był tego powiedzieć.

Nie zamierzała się poddać z powodu pogroźek. Zawsze starała się pracować nad tym małżeństwem ciężiej niż trzy kobiety razem wzięte. Przez cały ubiegły rok wybaczała Cruzowi wszystko, znajdowała naciągane uzasadnienie dla jego zachowania, dla jego nieobecności. Ale już dosyć tego. Dosyć stawania na głowie, dosyć udawania, że wszystko będzie dobrze, gdy ich życie sypało się coraz bardziej.

Od dawna analizowała sytuację i w końcu dobrze ją zrozumiała. I już dłużej nie mogła żyć w taki sposób, krańcowo zestresowana, bez cienia perspektywy zmian na lepsze.

Może nigdy nie miała tego, czego pragnęła, i przez cały ten czas tylko sama się oszukiwała.

– No to jest skończone – oświadczyła, patrząc Cruzowi prosto w oczy.
– Bo jadę do Vanessy.

Był naprawdę rozwścieczony. Nigdy by nie uwierzył, że jest zdolna to czegoś takiego. Postawiła mu ultimatum! Wywracała do góry nogami to, w co wierzył, bo potrzebowała jakiegoś głupiego zapewnienia, że mu na niej zależy.

Zależy? Do diabła, przecież wszystko, co robił od dnia, gdy pięć lat temu się dowiedział, że ona oczekuje jego dziecka, było właśnie dla niej. To

ranczo było dla niej, dla ich synka i tego maleństwa, które miało przyjść na świat.

Dzieci powinny być dumne ze swojego ojca. A ona żądała, aby zrezygnował z tego marzenia, ponieważ czuła się w ich związku niepewnie?

Do licha, kochał ją, lecz wykluczone, żeby dyktowała mu warunki. Jaki byłby z niego mężczyzna, gdyby na to pozwolił? Jaki przykład dawałby swojemu synowi?

– Niech ci będzie. – Jego głos zabrzmiał niemal bezdźwięcznie.

Nie mogła nawet zatrzaskać za Cruzem drzwi. I wcale tego nie potrzebowała. Odgłos jego cichnących kroków długo obijał się echem w jej mózgu, choć już dawno weszła do domu.

Aby się spakować.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Jak się sprawy mają? – Vanessa stała u szczytu schodów, czekając na przyjaciółkę.

– Bywało lepiej.

Słowa z trudem wydobywały się z zaciśniętego gardła. Savannah nie chciała rozplakać się w obecności przyjaciółki. Obawiała się, że gdy zacznie chlipać, to już nie będzie mogła przestać.

Jej hormony nadal szalały, a jej oczy lada moment mogły wypełnić się oceanem łez. Zaciśnęła wargi, usiłując powstrzymać atak płaczu. Zdawała sobie sprawę z tego, co zrobiła. Zablefowała, aby skłonić Cruza do zmiany podejścia. Myślała, że on ugnie się ze strachu, że może ją utracić, i zmodyfikuje swoją listę priorytetów. Chciała tylko, żeby znów, tak jak kiedyś, stawiał na pierwszym miejscu rodzinę.

– Mogę na pewien czas zamieszkać z tobą? Natychmiast, gdy tylko padło to pytanie, Vanessa

zbiegła na dół i otoczyła przyjaciółkę ramionami. Luke nadal szukał w swoim pokoju ulubionych zabawek.

– Nawet nie pytaj. Ty i Luke możecie zostać u nas tak długo, jak chcecie. – Odsunęła Savannah od siebie i przyjrzała się jej twarzy. – Cieszę się, że znów będę mieć cię blisko, ale jesteś pewna słuszności swego posunięcia? Obie wiemy, że faceci to zakute łby, gdy w grę wchodzi ich duma.

– To prawda. – Wargi Savannah wygięły się w smutnym uśmiechu. – Ale nie mam innego wyjścia. Jeśli Cruz nie zacznie za mną tęsknić, jeśli nie zrozumie, co traci, to może od dawna żyłam złudzeniami. – Spojrzała na portret jej i Cruza, wykonany wkrótce po narodzinach Luke'a. – Może

jestem zakochana w mężczyźnie, który już nie istnieje. – Ściągnęła łopatki i przeniosła wzrok na Vanesę. – Jeśli tak jest, to równie dobrze mogę przekonać się o tym już teraz i zacząć nowe życie.

Zacząć nowe życie.

To brzmi tak nowocześnie, pomyślała. Jakby rzeczywiście mogła usunąć Cruza ze swojego serca i beztrząsco pomaszerować w przyszłość. Wiedziała, że to niewykonalne. Nigdy nie będzie w jej życiu nikogo poza nim. Nawet gdyby żyła sto lat, to nie pokocha innego mężczyzny. Mogła należeć tylko do Cruza.

Niech go diabli.

Vanessa miała wątpliwości co do planów Savannah, lecz ona najwyraźniej wierzyła, że musi uczynić drastyczny krok. I kto wie, może odpowiednio wstrząśnie Cruzem.

Istniały jednak inne metody, które mogłyby przynieść pożądany skutek.

– Nie wybralibyście się do poradni małżeńskiej? Savannah zaśmiała się gorzko.

– To wymagałoby czasu, a właśnie on jest kością niezgody między nami. Czas i zdolność do dyskusji. Cruz za nic w świecie, zwłaszcza w obecności osoby postronnej, nie przyzna, że mamy problemy. Sądysz, że wywnętrzyłby się przed kimś obcym? – Prychnęła kpiąco. – To wykluczone.

– Przed zawodowym doradcą – podkreśliła Vanessa, choć, znając Cruza, wiedziała, że Savannah prawdopodobnie ma rację. Ten facet nigdy na to nie pójdzie. Strzegł swego prywatnego życia lepiej niż rak w skorupie.

– Przed zawodowym ciekawskim. Cruz tak by to postrzegał. – Savannah spoważniała. – Nie, rozstanie to jedyny sposób.

– A jeśli nie podziała? – Pytanie wisiało w powietrzu jak groźne widmo i Vanessa musiała je zadać. – Jeśli Cruz spróbuje po prostu przeczekać ten kryzys?

Savannah też pomyślała o takiej ewentualności.

– Wtedy zrobię następny krok. – W duchu przygotowała się na dźwięk słowa, które zamierzała powiedzieć.

– Rozwód. – Na samą myśl o takiej ewentualności poczuła się słabo.

– Och, Savannah... – Vanessa doskonale rozumiała cierpienie przyjaciółki. Mogła sobie wyobrazić, jak bardzo byłoby to bolesne, gdyby jakiś sędzia z plikiem dokumentów na biurku miał zakończyć jej związek z Devinem.

– To na razie tylko teoria. – Z uwagi na Vanesę Savannah spróbowała się uśmiechnąć. Prawie bezskutecznie.

– Chodź, pomóż mi się spakować. Jestem trochę roztrzęsiona. Mogłabym zabrać wieszaki, a zostawić ubrania.

– Zostałabyś prekursorką nowej mody. – Vanessa posłała przyjaciółce ciepły uśmiech. – Kto wie, na tobie może by to dobrze wyglądało. – Otoczyła Savannah ramieniem i obie poszły na górę.

Patrzył, jak odjeżdżali.

Cruz był w drugiej zagrodzie, znajdującej się dalej od domu. Trenował w niej konie przeznaczone do sprzedaży. Usiłując oderwać myśli od niedawnej kłótni z Savannah, zajął się Płonącą Strzałą, uszlachetnioną kasztanką, z którą już wcześniej się zaprzyjaźnił.

Właśnie cesał zgrzeblem grzywę klaczy, gdy ujrzał Savannah. Luke i ona wychodzili z domu i oboje nieśli po jednej walizce.

Nadzieja na ułamek sekundy zagościła w sercu Cruza. I zaraz zrobiło się ono ciężkie jak ołów.

Ujrzał bowiem Vanesę z dwoma walizkami. Włożyła je do wiśniowego mustanga i to samo zrobiła z bagażami przyniesionymi przez Savannah i Luke'a.

A więc to naprawdę się dzieje, pomyślał Cruz. Savannah go porzucała i zabierała ze sobą ich synka.

Ścisnął w ręce zgrzebło tak mocno, że niemal złamał je w pół.

Savannah posadziła Luke'a na tylnym siedzeniu, obeszła auto, wsiadła i zatrzasnęła drzwiczki. Po chwili warkot silnika skutecznie zagłuszył wszystkie inne dźwięki.

U stóp Cruza stał kubeł z mydlinami do mycia klaczy. Cruz nigdy nie importował swego gniewu do zagrody z końmi. Znał ich wrażliwość i zdolność do wyczuwania konfliktów, które miały miejsce w pobliżu. Trenując konie, zawsze starał się stymulować pozytywne aspekty ich osobowości, aby zwierzęta dobrze nadawały się na siłę roboczą.

Lecz w tej chwili gniew o smaku żółci niemal go zadławił.

Cruz nie zdołał go pohamować i w nagłym przypływie złości kopnął wiadro. Przewróciło się, mydlana woda wsiąkła w ziemię, pozostawiając na niej szeroki krąg piany.

– Coś nie tak, szefie? – zawołał Billy.

Cruz w milczeniu znów zabrał się za szczotkowanie klaczy.

Billy, jak zwykle pogodny aż do przesady, podszedł bliżej, postawił wiadro i podniósł gąbkę, która przed chwilą z niego wyleciała. Dwudziestotrzyletni kowboj w końcu przestał rosnąć i obecnie miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu. W dni o wysokiej wilgotności powietrza przydługie blond włosy chłopaka wiły się do tego stopnia, że wyglądały jak słoneczna aureola.

Pomocnik popatrzył w stronę domu i zobaczył dwa odjeżdżające samochody.

– Myślałem, że wybieracie się z panią Savannah na kemping.

– Już nie – burknął Cruz i wzruszył ramionami. – Z powodu wypadku Hanka.

– Och. – Billy wrzucił gąbkę do wiadra i wytarł ręce o tył dzinsów.

Pełen zrozumienia ton chłopaka sprawił, że Cruz zmierzył go uważnym spojrzeniem.

– Znasz moje zdanie na temat kobiet, szefie? – Billy uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Nie. – To pojedyncze słowo miało podziałać ostrzegawczo. Cruz nie miał ochoty słuchać mądrości Billy'ego.

– Kobiety są jak róże, szefie. – Chłopak najwyraźniej nie zauważył zniechęcającego tonu Cruza. – Najładniejsze są najbardziej kolczaste i wymagają dużo... jak to się nazywa... finezji. – Billy znów się uśmiechnął, zadowolony z faktu, że pamięta takie trudne słowo. – Dzięki niej można sobie z nimi radzić bez utraty krwi. Ale one zawsze są warte zachodu.

– Tyle mądrości od kogoś, kto zaliczył na razie tylko jedną kobitkę. – Jaime zbliżył się do nich i ujął chłopaka za ramię.

– Nie wiesz wszystkiego. – Billy mrugnął do nich porozumiewawczo, jakby chciał wzbudzić ich wątpliwości.

Jaime odszedł, aby znów zająć się swoimi obowiązkami, a Billy spoważniał i popatrzył na Cruza.

– Jeśli czasem chcesz pogadać, szefie, to jestem tutaj.

– Skoro tu jesteś, Billy, to może podasz paszę źrebakom. – Cruz ruchem głowy wskazał stajnie. Uznał, że nie ma sensu gniewnie

przywoływać chłopaka do porządku. Billy nie miał zielonego pojęcia, co się dzieje, i tylko próbował pomóc.

– Już się robi, szefie. A później może pozwolisz mi patrzeć, jak trenujesz nowe konie.

– Może – niezobowiązująco odparł Cruz. Billy'emu to wystarczyło.

Bal dobroczynny, mający na celu zbiórkę funduszy dla dzieci z HIV, odbywał się w największej sali balowej najbardziej luksusowego hotelu San Antonio. Ogromna sala była wypełniona tłumem szalenie eleganckich ludzi. Wprawilo to Melisse Wilkes w przyprawiony szacunkiem podziw.

Patrzyła na znane osobistości gawędzące z miliardermi, zarówno pierwszej, jak i drugiej oraz trzeciej generacji. Obracając w palcach kolejny kieliszek wybornego wina z czyjejs prywatnej kolekcji, nie mogła się zdecydować, którą grupę lubi najbardziej.

Grupę najbogatszych, doszła do wniosku. Wielka forsa zawsze stwarzała aurę doskonałości. Melissa uśmiechnęła się na tę myśl i wypila łyczek wina.

Alkohol wcale nie szedł jej do głowy. Przeciwnie, dodawał poczucia siły i pomagał zdefiniować plany na najbliższą przyszłość.

Melissa zamierzała je zrealizować.

Jak to dobrze, że spiknęła się z Jasonem. Udawanie jego żony było jednym z jej najbardziej genialnych posunięć.

A teraz miała zrobić coś jeszcze sprytniejszego.

Postanowiła, że zdobędzie Ryana Fortune'a.

Fakt, był aktualnie żonaty, ale Lily Fortune to już trzecia żona. Melissa uznała, że facet, który zenił się trzy razy, pewnie nie miałby nic przeciwko czwartemu małżeństwu. Ona zaś z pewnością nie przejmowałaby się tym, że

nie jest pierwszą ślubną małżonką. o ile będzie tą ostatnią. Melissa Fortune. Brzmiało miłutko.

I zaczęłoby się od miłutkiego pierścionka, pomyślała, odrobinę wstawiona. Ten na lewej ręce Lily Fortune spokojnie mógłby służyć za latarnię morską. Blask tych brylantów byłby dostrzegalny na zagubionych we mgle statkach, pomagając im trafić do bezpiecznej przystani. Melissa już wiedziała, że zażąda większego, gdy nadejdzie jej pora.

Nie miała żadnych wątpliwości, że tak się stanie. Pewność siebie stanowiła czołową cechę jej osobowości. Melissa była młoda, piękna i biuściasta. Zawsze dostawała to, czego pragnęła.

A teraz desperacko chciała poprawić swój los.

Poznała Jasona, gdy knuł spisek przeciwko Ryanowi. Zamierzał go zdyskredytować z powodu jakiejś niesprawiedliwości, która zdarzyła się dawno temu. Podobno przodkowie Ryana skrzywdzili dziadka Jasona. Melissa bez wahania zgodziła się grać rolę żony, aby sprawiał on wrażenie człowieka ustabilizowanego. Wszystko było wtedy lepsze od życia, jakie wiodła.

Obecnie zakosztowała jednak czegoś bardziej ekscytującego i, podobnie jak w przypadku bajkowej żony rybaka, jej apetyty jeszcze wzrosły.

Mogła je zaspokoić tylko osoba Ryana Fortune'a.

Jason sporo ją nauczył w dziedzinie intryg. Zamierzała mu pokazać, że jest lepsza od niego.

Jason umiał zakreślić się koło swoich spraw. Zdołał się zatrudnić w Fortune TX, spółce z ograniczoną odpowiedzialnością, kierowanej przez Logana, bratanka Ryana. Firma miała kłopoty i Ryan włączył się w rozwiązywanie jej problemów. Jason wiedział o tym i stanął na głowie, aby

wyrobić sobie markę właściwego człowieka na właściwym stanowisku.

Starał się tak bardzo, że istotnie został dostrzeżony.

W końcu zwrócił też uwagę samego Ryana, który zawsze wynagradzał swoich wybitnych pracowników.

Na myśl o tym Melissa poczuła przyływ rozbawienia. Biedny Ryan. Nawet nie przypuszczał, co się święci. Ostatecznym celem Jasona było zdyskredytowanie go i doprowadzenie do upadku.

Do niedawna wcale jej to nie obchodziło, ale zmieniła podejście, gdy doświadczyła lepszego życia. Szybko zrozumiała, jakie korzyści mogłoby jej przynieść małżeństwo z człowiekiem niezmiernie bogatym i posiadającym władzę.

Jason nigdy nie będzie kimś takim. Było w jego osobowości coś destrukcyjnego, co źle mu wróżyło. Chciał zrujnować Ryana i miał na tym punkcie prawdziwą obsesję.

Melissa wołała pomyśleć o swoim sukcesie.

Od pewnego czasu przygotowywała grunt pod własną świetlaną przyszłość. Zaczęła się udzielać we wszystkich instytucjach dobroczynnych, którymi interesował się Ryan. Lawirowała tak umiejętnie, że często spotykał ją na swej drodze. Gdziekolwiek się obrócił, Melissa właśnie tam była. Pomagała.

Wykorzystywała każdą okazję, aby poflirtować z Ryanem, aby mu schlebić. Jason nie był tym zachwycony, lecz wyjaśniła mu, że tylko usiłuje odwrócić od niego uwagę staruszka. I Jason, ten głupek, całkiem to kupił.

Obecnie nie miało znaczenia, czy nadal jej wierzył. Postawiła sobie bowiem za cel uwiedzenie i zdobycie Ryana Fortune'a.

Robiła w życiu dużo paskudniejsze rzeczy, wymagające większego poświęcenia. Pięćdziesięciodziewięcioletni Ryan był nadal bardzo

przystojnym mężczyzną z masą brązowych włosów i muskularną sylwetką. Dzięki wieloletniej pracy na ranchu był w doskonałej formie.

Lecz nawet gdyby facet wyglądał jak szkaradny karzełek, i tak nie miałyby to dla Melissy znaczenia. Dzięki posiadanemu majątkowi był szczytem jej marzeń.

Wypiła resztę wina, odstawiła kieliszek i wzięła następny od przechodzącego kelnera. Piła, jak ktoś bardzo spragniony, a przyjemne ciepło rozchodziło się po całym jej ciele. Czowała się tak, jakby mogła podbić cały świat.

Lub przynajmniej jednego udanego mężczyznę.

Postanowiła podejść do sprawy z dwóch różnych stron. Po pierwsze, chciała zrobić jak najlepsze wrażenie na Rynie i to chyba już się jej udało. Co prawda nie odpowiedział pozytywnie na niezawołowane sugestie, aby spotkali się w hotelowym apartamencie, lecz to jej nie zniechęciło. Facet w końcu się podda.

Po drugie, musiała doprowadzić do dysonansu między Ryanem a jego żoną. Później mogłaby zaoferować mu swoje ramię, aby mógł się na nim wypłakać.

Zamierzała dostarczyć mu powodów do narzekań. Bezpodstawna zazdrość żony idealnie nadawała się do tego celu.

Uśmiech zaigrał na wargach Melissy, gdy kontemplowała planowany rozwój wypadków. W razie potrzeby potrafiła okazać bardzo, bardzo dużo zrozumienia.

Cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną, lecz dzisiaj Melissa trzymała się w ryzach. Grała o niebotycznie wysoką stawkę.

W końcu los zaoferował szansę na posianie niezgody. Stojąca u boku Ryana Lily, przepiękne zjawisko w sukni koloru lawendy, właśnie przeprosiła towarzystwo i poszła do łazienki.

Melissa natychmiast ruszyła w tamtą stronę. Wiedziała, że Jason jest gdzieś na sali i prawdopodobnie pracuje nad układami oraz szykuje podstawy do planowanej pułapki. Najwyższa pora zastawić własne sieci.

Łazienka dla pań znajdowała się w połowie długiego korytarza. Jego ściany były pokryte wzorzystą tapetą, która przypadła Melissie do gustu, ponieważ wyglądała na kosztowną.

Przyćmione światło w holu nie ułatwiało zadania. Szukając odpowiednich drzwi, Melissa doszła do wniosku, że powinna znaczyć drogę okruchami chleba.

W końcu dotarła do łazienki i weszła do wnętrza. Miejsce było większe i sto razy czystsze niż buda, w której Melissa dorastała. Teraz szybko sprawdziła wzrokiem, czy ktoś jest w którejś z toalet.

Były puste, więc się odprężyła. Wszystko pójdzie jak z płatka.

Lily Cassidy Fortune stała przed jedną z umywalk z przezroczystego, zielonawoniebieskiego szkła i starannie poprawiała makijaż. Nadal wyglądała doskonale, choć była w wieku męża.

Ryan Fortune niewątpliwie lubił piękne kobiety. Melissa uznała, że działa to na jej korzyść, ponieważ była młodsza od Lily i z pewnością bardziej atrakcyjna.

Położyła torebkę na blacie obok torebki Lily i skinęła głową. Lily odpowiedziała grzecznościowym uśmiechem, typowym dla ludzi, którzy przelotnie mają do czynienia z tłumem gości na oficjalnym przyjęciu.

– Witaj, Lily.

– Czy ja panią znam? – Poufałość w głosie Melissy sprawiła, że Lily ze zdziwieniem popatrzyła na młodszą kobietę.

– Jeszcze nie... – Melissa znacząco zawiesiła głos.

– Ale pani mąż mnie zna – dodała, naprawdę rozkoszując się tymi słowami.

– Ryan zna tylu ludzi, że dawno straciłam rachubę

– lekkim tonem odparła Lily i przelotnie się uśmiechnęła. Nie chciała być niegrzeczna, lecz jej Ryan naprawdę był niezmiernie zapracowanym człowiekiem. Ceniła każdą spędzoną z nim chwilę oraz fakt, że Ryan zawsze starał się jeść z nią kolację. Czasami było to nawet o jedenastej wieczorem, lecz pora nie miała znaczenia.

– W takim razie się przedstawię. Jestem Melissa, żona Jasona Wilkesa.

– Nazwisko było fałszywe, podobnie jak stan cywilny. Melissa nie miała pojęcia, jak Jason naprawdę się nazywa, ale nie zamierzała tego zgłębiać. Jej plan tego nie wymagał.

– Ależ tak, oczywiście. – Twarz Lily rozjaśniła się na wzmiankę o Jasonie. – Ryan wyraża się bardzo pochlebnie o pani mężu. – Lily przeniosła wzrok na odbicie Melissy w lustrze. – Powinna być pani bardzo z niego dumna.

– A pani ze swojego. Cóż to za mężczyzna – kontynuowała Melissa, zanim Lily zdążyła zwyczajowo podziękować. – Faceci w jego wieku na ogół są już do niczego, sprawdzają się w ograniczonym stopniu, o ile w ogóle coś im wychodzi. Rozumie pani, co mam na myśli. – Z premedytacją dobierała słowa, aby brzmiały wieloznacznie. – Ale nie Ryan. On zawsze staje na wysokości zadania, aż do triumfalnego końca. Prawdziwy z niego ogier.

– Słucham? – Lily upuściła grzebień na blat i odwróciła się twarzą do młodszej kobiety. Jej ton był obraźliwy. Owszem, większość tego, co powiedziała, było na tyle ogólne, że mogło chodzić o ocenę zawodowych talentów biznesmena. Gdyby nie jedno słowo – ogier.

– Wprowadziłam panią w zakłopotanie, Lily? – z udawaną słodyczą spytała Melissa. Mam ją, pomyślała. Co za łatwizna. – Hmm, może właśnie na tym polega pani problem. Jeśli chce pani zatrzymać przy sobie takiego mężczyznę jak Ryan, nie może pani być taka wstydliva. Prawdę mówiąc... – Melissa przychyliła się do Lily, która wyczuwalnie zeszywniała – powinna pani ochoczo wprowadzić trochę urozmaicenia w życie seksualne, bo inaczej Ryan się znudzi i zacznie skakać w bok. – Uśmiechnęła się z wyższością i uniosła brwi. – Ale to i tak będzie musztarda po obiedzie. Co za sens zamykać stajnię, gdy ogier już uciekł. – Celowo użyła tego sugestywnego porównania.

– Co pani insynuuje? – Lily stuprocentowo wierzyła w wierność męża. Nie dlatego, że wiedziała, co każdej chwili robił. Po prostu mu ufała.

Melissa celowo wygięła usta w zmysłowym uśmiešku, aby jeszcze bardziej wyprowadzić Lily z równowagi. W rzeczywistości nigdy nie miała okazji spoufalić się z Ryanem, jedyny cielesny kontakt między nimi był uściśnięciem ręki na powitanie. Ale Lily nie musiała tego wiedzieć. Przeciwnie, celem Melissy było zasianie wątpliwości.

– To chyba oczywiste nawet dla... – Melissa urwała, jakby usiłując sobie coś przypomnieć. – Zaraz, zaraz, jak Ryan panią określił? Aha, lodowa księżniczka. Właśnie tak.

– Czyżby pani i Ryan... ? – Lily zacisnęła palce na brzegu blatu.

– A jak pani sądzi? – Głos Melissy ociekał jadem. Na policzki Lily wypłynął rumieniec gniewu. Ryan był dobrym, przyzwoitym człowiekiem.

Nigdy nie oszukiwałby swojej żony. I wcale nie potrzebował szukać seksualnych przygód. Owszem, był ostatnio trochę małomówny, lecz miało to prawdopodobnie związek z nadmiarem obowiązków. Poza tym pewnie słyszał krążące w miasteczku plotki na temat wyłowionego ciała i sam musiał się zastanawiać, kim był ów nieszczęśnik. W tych okolicznościach każdy stałby się bardziej zamyślony.

– Wcale pani nie wierzę. – Lily wzięła się w garść.

– Moja droga, ma pani do tego prawo – niefrasobliwym tonem odparła Melissa. Wzięła torebkę, nawet nie usiłując udawać, że przyszła tutaj, aby poprawić makijaż. Jej misja zakończyła się sukcesem. – Podobno żona zawsze dowiaduje się ostatnia. – Melissa ruszyła do drzwi. – Cóż, prawie wszystkie żony są tak zaabsorbowane życiem w swoim małym światku, że tracą zainteresowanie swoich mężów i nawet tego nie zauważają.

– Ryan mnie kocha.

– Och, proszę nadal w to wierzyć, Lily. – Melissa patrzyła na nią niemal współczująco. – Kto wie, może nawet pani wygra. – Zamilkła na moment dla dodania efektu. – Ale osobiście w to wątpię.

Wyszła na korytarz i zachichotała, gdy coś – prawdopodobnie wieczorowa torebka Lily – walnęło w drzwi od strony łazienki.

Jeden zero dla mnie, w duchu pogratulowała sobie Melissa.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Co ty, u diabła, wyprawiasz?! – wrzasnął rozjuszony Jason Jamison, gdy tylko znaleźli się w samochodzie. Jego okna były zamknięte, więc Jason nawet nie poczekał, aż odjadą sprzed hotelu.

Ta dziwka mogła wszystko popsuć.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. – Melissa wygładziła sukienkę przyciśniętą pasami bezpieczeństwa. Nie cierpiała, gdy rujnowały jej strój.

– Czyżby? – Jason dodał gazu i sportowe auto pokonało skrzyżowanie, gdy światło już zmieniło się na czerwone. – Usiłowałam dobrać się Ryanowi do gaci. – Zauważył jej wysiłki na początku tego wieczora. Stała blisko Ryana, brała go pod ramię i przyciskała do niego swój imponujący biust.

Patrząc na to, Jason wciąż musiał sobie przypominać, że powinien zachować spokój. Nie było to łatwe, gdy przez cały wieczór bezczelnie narzucała się Ryanowi. Usiłowała go uwieść.

Nie o to mu chodziło, gdy poprzysiągł sobie pomścić swego dziadka, który z powodu Fortune'ów zmarł w prawdziwej nędzy.

Melissa skwitowała śmiechem spostrzeżenie Jasona, co jeszcze bardziej go zirytowało. Od dawna tłumił gniew, ten gniew, który już raz sprowokował go do popełnienia morderstwa. Teraz Jason znów czuł jego przyływ i wiedział, że lada chwila obiektem jego wściekłości może się stać ta kobieta, która chyba coś knuła.

Zacisnął ręce na kierownicy, wyobrażając sobie, że to szyja Melissy.

– Ależ kotku – zagruchała Melissa tym samym uwodzicielskim tonem, którym kusila Ryana. – Ja tylko próbuję ci pomóc.

Akurat, pomyślał. Przecież miał oczy. Chyba nie sądziła, że urodził się wczoraj.

– Próbujesz pomóc sobie samej.

– To chyba wpływ osoby, z którą przebywam. – Spojrzała na niego.

Wiedziała, że w jej oczach maluje się pogarda, lecz w ciemnym wnętrzu samochodu była ona niedostrzegalna. Auto znów pokonało przecznicę niemal na czerwonym świetle i jakiś pojazd z prawej strony zahamował z piskiem opon. Melissa zeszywniała i odetchnęła głęboko, aby się uspokoić. – Uważaj. Chyba nie chcesz nas zabić zanim osiągniesz swój cel? – Jej nieprzyjemny uśmiezek znikł, gdy odwróciła się twarzą do Jasona. – Jason, kochanie, naprawdę musisz bardziej nad sobą panować, bo zrujnujesz tę wspaniałą reputację, którą zdobyłeś w Fortune TX. Ryan przestanie się z tobą bawić, gdy zobaczy, jaki jesteś narwany.

Nienawidził tego jej uwłaczającego tonu. Nienawidził jej głosu. Gdyby nie on, Jason, nadal mieszkaliby w tamtej dziurze, usiłując zarobić parę dolarów. Tylko dzięki niemu żyła teraz w luksusie.

– Sam będę się martwił o Ryana – warknął. – Facet je mi z ręki – dodał z przechwałką w głosie, ponieważ miał wysokie mniemanie o sobie.

– Uważaj mnie za dodatkowe zabezpieczenie. – Melissa wyjęła puderniczkę, odchyliła klapkę z lusterkiem i poprawiła sobie fryzurę. – Przecież dlatego mnie zaangażowałeś, prawda?

– Zaangażowałem cię, bo z żoną wyglądam na człowieka godnego zaufania. Fortune chyba sądzi, że facet żonaty jest solidniejszy od kawalera. – Tym razem światło już zmieniało się na czerwone, więc niechętnie zahamował. Samochód z lekka zarzucił i zatrzymał się. – Lecz jeśli uzna, że moja żona to tania dziwka...

Jeśli zamierzał ją obrazić, to powinien bardziej się postarać. Melissa była prawie rozbawiona jego śmiesznymi inwektywami. W przeciwieństwie do Jasona umiała nad sobą panować. Nie było łatwo wyprowadzić ją z

równowagi i sprawić, aby zapomniała o przyświecającym jej celu. Aktualnie tym celem był Ryan Fortune. Lub raczej jego fortuna.

Perspektywa zostania jedną z najbogatszych kobiet Teksasu nie miała sobie równej.

– Tylko nie tania – pobłażliwym tonem poprawiła Melissa. – Nigdy nie tania. – Westchnęła i oparła głowę na zagłówek. – A że dziwka, temu nie zaprzeczę. Dlatego jestem tu z tobą, prawda, skarbie? – Lekko zwichrzyła palcami włosy Jasona i pogładziła jego ucho.

– Przestań. – Cofnął głowę, nadal bardziej zirytowany niż podniecony.

– Co tylko chcesz. – Melissa westchnęła ostentacyjnie i opuściła rękę. – Ale jestem pewna, że Ryan Fortune nie kazałby mi przestać – dodała, aby rozjątrzyć Jasona. – Wygląda na chłopca, któremu przydałoby się trochę łóżkowej uciechy. – Melissa bezwiednie się uśmiechnęła na myśl o mężczyźnie, który mógłby być jej ojcem. Nie wątpiła, że zdołałby zafundować kobiecie sporo udanego seksu, gdyby tylko się postarał. Facet jego pokroju napewno wolał stopniowanie przyjemności, a nie preferowany przez Jasona styl na łapu–capu. – Ta jego żoneczka wygląda na oziębłą.

– Nawet nie próbuj mi wszystkiego zrujnować – groźnym tonem ostrzegł Jason. Potrafił wyczuć kłopoty na odległość. – Poświęciłem dużo czasu na planowanie jego upokorzenia i śmierci.

– Tak, wiem. – Melissa przymknęła powieki, zmęczona kazaniami Jasona. Miała już dosyć zadowalania się tym, co jej dawał. Obecnie mogła zdobyć dużo więcej. – Już mi to mówiłeś. Ze sto razy. Uwielbiasz słuchać swojego własnego głosu, Jase. Ale zanim załatwisz Ryana, powinieneś nauczyć się czegoś od niego, mój słodki. Z Ryana jest dwa razy lepszy ogier, niż kiedykolwiek będzie z ciebie.

Wiedziała, że te słowa podziałają na niego jak czerwona płachta na byka. Jason i tym razem jej nie zawiódł.

– Co to, u diabła, miało znaczyć?!

Nawet nie drgnęła. Nie zamierzała dać mu tej satysfakcji, ponieważ wcale nie bała się go. Przeciwnie, miała na niego wielki wpływ i to Jason jej się słuchał. Przecież przekonała go, że powinna mu towarzyszyć, prawda?

Fakt, uzależniła swoją przyszłość od tego stukniętego psychopaty, lecz na razie to jej odpowiadało. Pozbędzie się go natychmiast, gdy tylko usidli Ryana Fortune'a.

– Coś dla ciebie do przemyślenia, skarbie. – Melissa zamknęła oczy i kompletnie się wyłączyła.

Dom wydawał się zbyt pusty. Cruz wrócił do niego wieczorem, a ona tam na niego czekała.

Samotność.

Czaiła się w czterech ścianach domu zagubionego w mroku.

Zupełnie jak moja dusza, pomyślał. Zamknął za sobą drzwi i zapalił światło. Zamiast jednak rozjaśnić wszystko, tylko pogłębiło ono ciemność panującą poza jego granicami.

Przez kilka dni życie było prawie do wytrzymania. Nazajutrz po odjeździe Savannah Cruz przywiózł Hanka i zainstalował go w gościnnej sypialni. Hank mieszkał z nim przez dwa dni, następnie oznajmił, że już może wrócić do pracy oraz do swojej przyczepy. Prawdopodobnie jemu również zaczęła doskwierać samotność.

Cruz podszedł do lodówki, choć nie był głodny. Musiał jednak dbać o zachowanie energii.

Lodówka była w połowie pusta. Savannah celowo nie zrobiła zakupów, ponieważ zamierzali pojechać na kemping.

Zamierzali.

Słowo nabrało teraz niemal urągliwego znaczenia, Postanowił nie myśleć o ostatnich wydarzeniach. Dostyc tych frustracji. Sięgnął po kawał żółtego sera przeznaczonego do tarcia i rzucił go na stół. Co za obiad.

Ukroił kilka plasterków, zmusił się do zjedzenia jednego, napełnił szklankę wodą i wypił ją duszkiem. Bez entuzjazmu zabrał się za drugi plasterek, skonsumował jego część i zostawił resztę.

Nie miało sensu się zmuszać. Nie był głodny i już.

Potrzebował czegoś innego niż jedzenie. Pragnął usłyszeć głos Savannah, dochodzące z głębi domu odgłosy świadczące o tym, że Luke znowu broił.

Zawinał ser w folię, włożył go z powrotem do lodówki i sięgnął po piwo. Otworzył puszkę i pociągnął długi łyk.

Kto by przypuszczał, że do tego dojdzie, pomyślał. On, miejscowy casanova, nie wiadomo kiedy stał się zagorzałym zwolennikiem małżeństwa. Dawniej zaliczał wszystkie kobiety, które wpadły mu w oko, czasami więcej niż jedną tej samej nocy. A później wszystko tak bardzo się zmieniło. Nagle zaczął przypominać własnego ojca.

Świadomość tego wstrząsnęła Cruzem do głębi.

Jeszcze sześć lat temu nigdy by nie uwierzył w możliwość takiej metamorfozy. Obecnie jednak nie mógł zaprzeczyć, że jest człowiekiem, który ceni rodzinę bardziej niż cokolwiek innego.

A teraz jego rodzina go opuściła.

Z puszką piwa w dłoni podszedł do łukowatego okna w dużym pokoju i wyjrzał na zewnątrz. Księżyc w pełni zalewał srebrzystym blaskiem całe ranczo. Ziemię Perezów.

Teraz ta myśl wcale Cruza nie wzruszyła. Musiał rozważyć ważniejsze rzeczy. Przeanalizować postępowanie Savannah.

Niewątpliwie całkiem go odmieniła. Inne kobiety już się dla niego nie liczyły. W dzień i w nocy mógł myśleć tylko o niej.

Lecz jeśli sądziła, że wróci do niej na klęczkach i będzie błagał ją o wybaczenie, to grubo się myliła. Przecież to on miał rację. Mógł spokojnie poczekać, aż Savannah się podda. Zwłaszcza że pozostał w ich domu, a ona żyła teraz na łasce obcych ludzi. Dlatego w końcu tutaj wróci, prawda? Przecież z powodu nadmiernej dumy nie pozbawi Luke'a ojca.

Wypił resztę piwa i zgniótł puszkę w dłoni. Chciał, aby Savannah wróciła, bo jej go brakowało. I dlatego, że obecnie czuła się równie okropnie, jak on.

Wlepił wzrok w odbicie samotnego mężczyzny w szybie okna. Kogo, u diabła, usiłował oszukać? Samego siebie? Przecież chciał, aby Savannah po prostu wróciła. Wszystko jedno, dlaczego.

Żeby tylko znów była w domu. Nic innego się nie liczyło.

Z westchnieniem wrócił do kuchni i wyrzucił puszkę. Spojrzał na telefon komórkowy. Nadal zabierał go ze sobą, wychodząc rano z domu. Na wszelki wypadek, gdyby Savannah zadzwoniła.

Ale z każdym dniem coraz bardziej tracił nadzieję. I nabierał coraz większej pewności, że nienawidzi tego życia bez swojej żony.

Minęło już dziewięć dni od jej odejścia. Dziewięć długich dni, kiedy tylko parę razy zobaczył ją z daleka. Co za uparta baba.

Sięgnął po kolejne piwo, lecz zaraz zmienił zamiar i z hukiem zatrzęsnał drzwiczki lodówki. Dźwięk rozszedł się echem po domu i zabrzmiał wręcz złośliwie. Jakby się naigrawał z biednego Cruza.

Cruz miał wrażenie, że za chwilę wyskoczy z własnej skóry. Ruszył do drzwi, po drodze upewniając się, że bateria telefonu jest wystarczająco naładowana.

Pomaszerował prosto do stajni.

Zatrzymał się przed boksem, w którym znajdował się Diabło, odseparowany od innych koni, jak składający wizytę dygnitarz lub więzień skazany na odosobnienie. Cruz nie chciał, aby buntowniczość tego zwierzęcia udzieliła się pozostałym. Ponadto Diabło powinien czuć się wyizolowany, aby łatwiej nawiązał kontakt z trenerem.

Ale tego wieczoru to Cruz czuł się wyizolowany i potrzebował towarzystwa.

Oczy konia spoczęły na człowieku natychmiast, gdy Cruz zbliżył się do boksu. A może nawet wcześniej.

– Jak leci? – Cruz ze zgrzeblem w dłoni wszedł do boksu.

Kary ogier obserwował go czujnym spojrzeniem, jakim mierzą się wrogowie tuż po zawarciu rozejmu. Zaufanie dopiero zaczynało pączkować i był to proces bardzo powolny.

Zdaniem Cruza wszystko, co dobre, wymagało czasu i cierpliwości. Z wyjątkiem tamtej pierwszej nocy z Savannah. Nocy pełnej żaru i namiętności, potrzeb zaspokojonych natychmiast, bez chwili wahania. To wszystko było dobre.

Do licha, ależ jej pragnął. Właśnie teraz. Chciał ją mieć w swoich ramionach, w swoim łóżku. Nie miał pojęcia, jak długo zdoła bez niej wytrzymać.

Zwierzę nadal uważnie mu się przyglądało. Wydawało się, że myśli i Cruz to wyczuwał.

Przyszedł tutaj, aby chwilowo zapomnieć o Savannah. Przebywanie w pobliżu koni zawsze działało na niego kojąco. W ich obecności Cruz miał wrażenie, że znajduje się tam, gdzie jest mu przeznaczone być. Gdzie jest jego miejsce. Lecz obecnie, gdy jego życie zostało wywrócone do góry nogami, czuł się obco w każdym miejscu.

– Do tej pory dawałem ci dużo swobody – powiedział do konia łagodnym tonem. – Ale to nie może trwać wiecznie. Ty jesteś koniem. Ja jestem twoim panem. Musisz do tego przywyknąć. – Cruz z każdym słowem zbliżał się do Diabła. Do niedawna zwierzę z ledwością tolerowało obecność Cruza w wielkiej zagrodzie. A tutaj przecież był jego teren domowy. Mimo to Diabło nie cofnął się, nie okazał zniecierpliwienia. A więc robili postępy.

Szkoda, że Cruz nie mógł powiedzieć tego samego o swoim ognisku domowym.

– To, że pozwalasz się trenować, wcale cię nie deprecjonuje. Nadal jesteś tym samym wspaniałym zwierzęciem. Pojmujesz, o co mi chodzi? Trenowanie to sprawa dwukierunkowa. Uczysz się czegoś nowego i jednocześnie zostajesz wynagrodzony. – Cruz czuł, że koń wsłuchuje się w każde jego słowo. Inni uważali, że konie nie rozumieją ludzi, lecz jego zdaniem to ludzie nie rozumieli koni. – Gdy cię wyszkolę, przyniesiesz niezły dochód. Będziesz uważany za nadzwyczajne zwierzę.

Przysunął się jeszcze bliżej i wyciągnął rękę. Koń ani drgnął, więc Cruz zaczął powoli gładzić jego łeb.

Dwa tygodnie zajęło obłaskawianie Diabła, aby pozwolił na taki kontakt. Cruz stopniował gesty i trwało to długo, lecz rezultaty były tego warte.

Nagle, ku jego zdziwieniu, koń pochylił łeb i jego nozdrza znalazły się blisko Cruza, zupełnie jakby koń go obwąchiwał. Cruz roześmiał się z zadowoleniem, którego nie doświadczał od wielu dni.

Dokładnie dziewięciu.

– To zabawne, że tak dobrze idzie mi z końmi, a tak źle z kobietami – pożalił się. Sięgnął po zgrzebło i zaczął powolutku przesuwając je wzdłuż grzbietu konia. – A właściwie z jedną. Tą jedyną, której pragnę.

Diabło odwrócił łeb i popatrzył na Cruza.

– No dobrze, będę szczotkował mocniej, a gadał mniej – obiecał Cruz.

Ale dotrzymał słowa tylko częściowo. Co prawda szczotkował mocniej, lecz nadal się wywnętrzał. I to mu pomogło.

Savannah nie miała pojęcia, co ze sobą począć.

Nawykła do codziennej, wielogodzinnej pracy i obecnie była sfrustrowana bezczynnością.

Oraz zdana na łaskę szalejących emocji.

Nie było domu do sprzątnięcia, rachunkowości do prowadzenia ani męża, o którego mogłaby się troszczyć. Nawet Luke zajmował jej dużo mniej czasu niż dawniej, ponieważ zawsze ktoś się z nim bawił lub gdzieś go zabierał. Vanessa i Devin chętnie spędzali z chłopcem każdą wolną chwilę. Rodzina Cruza także się włączyła, aby Luke nie czuł się zaniedbywany.

Dzieciak bawił się jak nigdy w życiu.

Savannah – wręcz przeciwnie.

– Powinnaś wykorzystać okazję, aby podładować baterie – powtarzała Vanessa, ilekroć przyjaciółka prosiła o coś do zrobienia.

– Są już przeładowane – marudziła Savannah. – Baterie muszą coś napędzać, bo inaczej energia zanika.

– Jesteś tutaj gościem – przypomniała Vanessa, gdy gospoia sprzątnęła ze stołu po obiedzie, który zjadły tylko we dwie.

– Jestem jak warzywo. – Savannah czuła się dzisiaj wyjątkowo rozstrojona. Przez cały dzień wlokła się z kąta w kąt i nigdzie nie mogła znaleźć sobie miejsca. Tęskniła za Cruzem. Chciała, aby znów był częścią jej życia, lecz nie na dawnych warunkach.

Obawiała się jednak, że on nie zaakceptuje żadnych nowych.

Po obiedzie Vanessa zaproponowała, aby obejrzały film. Natychmiast po jego zakończeniu Savannah już nie pamiętała, o czym był. Nie interesowało jej oglądanie filmów. Nie interesowało jej oglądanie niczego, gdy dotychczasowe życie powoli stawało się przeszłością.

– Chodźmy gdzieś. – Vanessa skierowała pilota w stronę odtwarzacza DVD i dysk się wysunął. – Zabiorę cię na zakupy. Jest późno, ale niektóre sklepy w centrum jeszcze są otwarte. – Usiłowała przekonać Savannah do swego pomysłu. – Może znajdziesz dla siebie jakieś nowe ciuszki. Na mój rachunek.

Savannah nawet nie próbowała powiedzieć, że jeszcze stacją na nowe ubrania. Wiedziała, że propozycja Vanessy jest przyjacielskim gestem.

– Nie mam dla kogo się stroić.

– Coś takiego. – Vanessa prychnęła z udawanym oburzeniem. – Chyba mnie obrażono.

– Wiesz, co chciałam powiedzieć.

– Tak, wiem. – Vanessa podeszła do wysokiego drewnianego stojaka wypełnionego z czterech stron płytami DVD. Włożyła obejrzany film do opakowania i wsunęła do odpowiedniej przegródki. – Spróbowałeś zadzwonić do Cruza? – Vanessa doskonale знаła upór swojej przyjaciółki.

– On nie spróbował zadzwonić do mnie. – Tuzin razy podnosiła słuchawkę. I tuzin razy ją odkładała. Po raz pierwszy w życiu tak bardzo się zawzięła. Było to nawet trudniejsze niż utrzymywanie ojcostwa jej dziecka w tajemnicy, gdy nie chciała, aby Cruz nalegał na małżeństwo wyłącznie z honorowych względów.

No właśnie, uparta jak osioł, pomyślała Vanessa, kręcąc głową z dezaprobatą.

– To nie zabawa w dzielnego kurczaka, gdzie czekasz do ostatniej chwili, zanim zrobisz coś sensownego.

– Masz rację – przyznała Savannah. – To w ogóle nie jest gra. – Gdyby chodziło o drobny konflikt, już dawno zadzwoniłaby do Cruza. Ale tym razem sprawa była poważna. Na szali ważyła się cała ich przyszłość. – On nawet za mną nie tęskni, bo inaczej już by się odezwał.

– Cruz mógłby powiedzieć to samo.

– Po czyjej ty jesteś stronie? – Savannah spodziewała się po przyjaciółce innej odpowiedzi.

– Po stronie prawdy, sprawiedliwości i amerykańskiego stylu życia. – Vanessa otoczyła Savannah ramieniem. – A tak naprawdę... – Vanessa spoważniała i odwróciła Savannah twarzą do siebie – to jestem pomiędzy dwojgiem strasznych uparciuchów, którzy usiłują przeczekać się nawzajem. Przecież on cię kocha.

– Czyżby? – To wcale nie było takie pewne. Savannah bezwiednie położyła dłoń na brzuchu. Obecnie już czuła małą wypukłość. W tej fazie ciąży większości kobiet była dużo bardziej widoczna, lecz mimo na razie niedużego brzuszka Savannah już wyraźnie wyczuwała ruchy dziecka.

Nadal niestety nie czuła się dobrze. Mdłości pojawiały się zarówno rano, jak i później, w ciągu całego dnia. Zupełnie jakby jej organizm był całkiem rozregulowany.

– Daj spokój, Savannah. – Vanessa niewłaściwie zinterpretowała jej skrzywioną minę. – Wiesz, że tak.

– Więc dlaczego jeszcze tu nie przyjechał?

– Bo to Cruz. Męska duma nie pozwala mu zrobić pierwszego kroku.

– Są rzeczy ważniejsze od dumy. – Gdyby mnie kochał, to już by tu był, pomyślała z uporem.

– Z ust mi to wyjęłaś. – Vanessa roześmiała się, ponieważ w tej sprawie podzielała zdanie przyjaciółki.

Chwileczkę, pomyślała Savannah. Czyżby Vanessa sądziła, że to ona, Savannah, jest nieustępliwa z powodu własnej dumy?

– Nie kieruję się jakimś wypaczonym poczuciem dumy, Vanessa. Chcę tylko się przekonać, czy jeszcze coś dla Cruza znaczę. Od dawną byłam na szarym końcu, a Cruz wciąż mi wmawiał, że to wszystko jest dla mnie i dla Luke'a. Powtarzał to w nieskończoność. Taka pusta gadanina. Prawda jest taka, że to Cruz Perez chce być wielkim ranczerem, nie ja. – Znow była bliska łez i z trudem je powstrzymała. – Ja pragnę tylko Cruza.

– Cóż, ambicja jest częścią jego osobowości. – Vanessa rozumiała udrękę przyjaciółki, lecz nie mogła zmienić jej męża.

– Dawniej taki nie był. – Savannah krążyła po pokoju, a obcasy jej pantofli stukały o wypolerowaną klonową klepkę.

– Owszem, był. – Vanessa zastąpiła Savannah drogę.

– Od niepamiętnych czasów. Cruz zawsze chciał dużo osiągnąć, stać się kimś. Miłość do ciebie popchnęła go do realizacji tego celu.

– Teraz to moja wina, że nigdy nie ma go w domu?

– Savannah westchnęła. – Potrzebuję tylko jakiegoś gestu. Czegoś, co pozwoli mi wierzyć, że nie jestem dla Cruza tylko częścią umeblowania.

– Jesteś w ciąży. Wątpię, czy Cruz kochałby się z meblem.

– Wcale mi nie pomagasz. – Savannah parsknęła śmiechem.

– Ale cię rozweseliłam. Moja robota skończona.

– Vanessa wyszła z pokoju. Po chwili usłyszała dzwonek i spojrzała na zegarek. Prawie dziewiąta. Nikogo nie oczekiwała. Devin wracał z delegacji dopiero jutro późnym popołudniem, a Luke był dzisiaj u dziadków. – Możesz sprawdzić, kto to? – zawołała do Savannah. – Widzisz, zaczynam się tobą wysługiwać.

Savannah wstała z kanapy, na której przed chwilą usiadła. Jej ciało, choć nadal smukłe, wydawało się dziwnie ociężałe.

Podeszła do drzwi i spojrzała na ekran pokazujący obraz z kamery nad wejściem. Przez moment nie wierzyła własnym oczom. Była pewna, że to tylko pobożne życzenia. Wyobraźnia czasami płatała figle. Szkło zniekształcało wizerunek.

Otworzyła drzwi na oścież i stwierdziła, że wizerunek był prawdziwy. Przed nią stał Cruz z kapeluszem w ręce.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się tak niezręcznie. Nigdy przedtem nie brakowało mu pewności siebie. Teraz jednak, gdy jak żebrak stał naprzeciw kobiecie będącej od ponad pięciu lat jego żoną, był skrepowany.

Nerwowo przesunął palcami po brzegu kapelusza, nienawidząc uczucia, które w nim wibrowało.

Wołałby być wszędzie, tylko nie tutaj.

Wiedział jednak, że jest tu, gdzie powinien być. Nawet gdyby jego ojciec nieoczekiwanie nie zjawił się dzisiaj u niego, aby mu wbić trochę rozumu do głowy, Cruz i tak przyjechałby tutaj. Człowiek nie może się obyć bez powietrza i, nawet gdyby nie chciał tego przyznać, Savannah okazała się właśnie czymś równie niezbędnym do życia.

Teraz wyglądała na zmęczoną. Była blada. Czy za nim tęskniła? Czy spędziła dziesięć minionych nocy, myśląc o nim tak, jak on myślał o niej?

Nie był pewien, czy chce znać odpowiedź na to pytanie.

– Mogę wejść? – Ruchem głowy wskazał wewnątrz domu.

Savannah nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie. Cruz był smutny, przygaszony. Zupełnie jakby wyssano z niego całą energię. Ten Cruz, którego znała, był ucieleśnieniem dumy, a czasami również arogancji, ponieważ wierzył w siebie i uważał, że inni go nie doceniają.

Teraz jednak sprawiał wrażenie kogoś zupełnie innego. Czy ona mu to zrobiła? A może istniała jakaś inna przyczyna? Czyżby coś złego stało się na ranczu? Coś, o czym zdaniem Cruza, powinna wiedzieć?

– Oczywiście. – Cofnęła się, aby wpuścić go do środka. – Proszę, wejdź.

– Kto to, Savannah? – z głębi domu zawołała Vanessa.

– Cruz.

– Kto?

Savannah zdała sobie sprawę z tego, że przed chwilą wymówiła jego imię szeptem. Odchrząknęła, usiłując nie poddać się czarowi nieśmiałego, lecz zarazem uwodzicielskiego uśmiechu, który zaigrał na wargach męża.

– To Cruz – powiedziała głośniej.

– Cruz? – Zdziwiona i jednocześnie zachwycona przyjaciółka wpłynęła do holu i popatrzyła na nich z zainteresowaniem. Powitała Cruza skinieniem głowy. – Moi drodzy, na mnie już czas. Do zobaczenia jutro, Savannah. Chyba że... – Zawiesiła głos i posłała Cruzowi znaczące spojrzenie.

– Uhm – mruknęła Savannah, dokończywszy w myśli zdanie Vanessy. Nie zamierzała robić sobie złudnych nadziei. Lepiej poczekać, aż Cruz sam wyjaśni swoją obecność.

Boże, wyglądał lepiej, niż go zapamiętała, lecz sprawiał wrażenie znużonego i jakby trochę przybitego. Czy to jej wina? Czyżby wywierała aż taki duży wpływ na życie Cruza? Wolą na razie nie przypisywać sobie zasługi. Gdyby bowiem okazało się, że przyjechał tu nie dlatego, że się stęsknił, tylko z innego powodu, to zaboląłoby ją to trochę mniej.

Lub przynajmniej nie cierpiałyby bardziej niż do tej pory.

Tak bardzo skupiła na nim uwagę, że nawet nie zauważyła, w jakim tempie odeszła Vanessa – szybko czy z ociąganiem.

– Jak miewa się Luke? – spytał Cruz, aby natychmiast nie wypalić, jak bardzo mu jej brakowało. Jaki świat wydawał się pusty bez niej. W domu nawet sama świadomość, że Savannah jest gdzieś w pobliżu, zmieniała dla Cruza wszystko. Zaczął sobie zdawać z tego sprawę dopiero teraz i zdumiewała go przemiana, jakiej uległ. Chyba stał się innym człowiekiem.

– Luke ma się świetnie. – Savannah w końcu zamknęła drzwi. – Jest dzisiaj u twoich rodziców.

– Wiem. Ojciec mi powiedział.

Właśnie dlatego tu przyszedł? Bo Ruben kazał mu się z nią pogodzić? Teść zawsze okazywał jej wiele ciepła, jakby rozumiał, z jakim uporem jego syna musiała sobie radzić.

– Zadzwoił do ciebie?

Cruz zaśmiał się cicho. Jego ojciec zastał go przy piwie sączonym w charakterze obiadu. Wyjął puszkę z ręki syna i odstawił ją na blat stołu. Zrobił to z impetem. Następnie oświadczył, że Cruz to idiota postępujący obecnie bardziej po kretyńsku niż kiedykolwiek przedtem.

– Nie. Zjawił się osobiście, żeby mi wygarnąć. – Cruz uśmiechnął się żałośnie. – Po raz pierwszy od czasu, gdy skończyłem czternaście lat. – Przez chwilę patrzył na Savannah, zastanawiając się, czy wyznać całą prawdę. – Ojciec uważa, że wszystko spieprzyłem.

– Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że twój ojciec użył tego słowa.

– Wyraził to bardziej cenzuralnie. Ale sens był ten sam. – Cruz wszedł do dużego pokoju. – Luke o mnie pyta?

– Bez przerwy. – Musiała zająć czymś ręce, więc ułożyła czasopisma na stoliku w równiutki plik. – Ale sądzi, że jesteśmy tu na wakacjach, a ty nie mogłeś przyjechać, bo pracujesz.

– Sam to wymyślił?

– Ja mu tak powiedziałam. – Zauważyła, że rzucił kapelusz na kanapę. Czyżby zamierzał zostać? Chociaż na trochę? – To lepsze, niż gdybym mu oznajmiła, że mama i tata muszą odpocząć od siebie nawzajem.

– Więc to są wakacje? – Podeszedł do niej, spragniony jej bliskości.

Savannah wzruszyła ramionami. Nie cierpiała takiego krążenia wokół tematu, zamiast od razu go poruszyć. Najchętniej padłaby Cruzowi w ramiona i skłoniłaby go do przyznania, że kocha ją przynajmniej w połowie tak bardzo, jak ona jego.

– Powiedzmy, że sens jest ten sam – odparła, używając wcześniejszego stwierdzenia Cruza.

– W takim razie to najgorsze wakacje w moim życiu.

– Doprawdy? – Poczowała przyływ nadziei. Wybijała męska duma, która powstrzymała go od

przyjechania tutaj już tamtego pierwszego wieczoru, nagle gdzieś się rozplynęła. Już nie miała znaczenia. Liczyła się tylko Savannah. Jej obecność w jego życiu, w jego łóżku.

– Dom jest pusty bez ciebie. – Przesunął między palcami kosmyk jej jedwabistych włosów i prawie się rozkleił.

Inna kobieta, może nawet Vanessa, pewnie poczekalaby na więcej słów, pomyślała Savannah. Inna kobieta może rozkoszowałaby się własnym triumfem lub milcząco domagałaby się bardziej rozwiniętych, werbalnych deklaracji.

Lecz inna kobieta może nie cierpiałaby tak, jak ona, nie miałyby wrażenia, że jej druga połowa nagle została utracona. A Savannah właśnie tak się czuła przez te dziesięć dni z dala od Cruza.

Dlatego teraz uczyniła to, na co miała ochotę od momentu, gdy otworzyła drzwi i zobaczyła Cruza. Padła w jego objęcia.

Zdumienie trwało tylko przez chwilę, natychmiast zastąpione falą gwałtownych emocji. Aż do teraz w ogóle nie miał pojęcia, że w nim buzowały.

Zamknął Savannah w ramionach i przytulił ją do siebie. W momencie, gdy ją pocałował, uczucia przerwały tamę i porwały ich oboje wraz z sobą.

Jak wygłodniały człowiek, któremu ofiarowano kromkę chleba, Cruz już nie mógł się pohamować. Całował Savannah bez końca, całował jej usta, powieki, jej nosek i znów powracał do ust. Jego głód wcale nie zmalął. Przeciwnie, coraz bardziej się potęgował.

– Ale za tobą tęskniłem.

Słowa zabrzmiały w jej uszach równie wspaniale, jak dźwięk kościelnych dzwonów w dzień Bożego Narodzenia. Była teraz bardziej zachwycona, niż gdyby Cruz podarował jej brylantowy naszyjnik.

Jej ciało natychmiast rozgrzało się pod dotykiem Cruza. Otoczyła ramionami jego szyję i przylgnęła do niego, znów ogarnęły ją pragnienia, których jak dotąd nie zdołała wykorzenić.

Domagały się zaspokojenia.

Oboje wiedzieli, że już za późno na odwrót. Pożądanie, które oboje odczuwali, nie mogło zostać usatysfakcjonowane samymi uściskami i kilkoma gorączkowymi pocałunkami.

Cruz nie chciał przestać jej całować i obejmować. Nie mógł jednak dać się ponieść temu, co Savannah w nim rozbudziła, dopóki znajdowali się tutaj.

Nie zaprotestowała, gdy wziął ją na rękę. Przeciwnie, wtuliła się w niego, bez słów dając mu do zrozumienia, że pragnie go tak samo, jak on jej.

– Gdzie jest twój pokój?

– Po prawej stronie telewizyjnego – wydyszała i parsknęła śmiechem na widok zakłopotanej miny Cruza, bowiem jej ukochany mężczyzna uniósł brew dokładnie tak samo, jak robił to Luke.

Sypialnia znajdowała się niedaleko, lecz zanim do niej dotarli, moc oczekiwania jeszcze się spotęgowała. Gdy Cruz wreszcie przekroczył próg i zaniknął za nimi drzwi, Savannah była gotowa zedrzeć z niego ubranie.

Kto by pomyślał, że zacznie tak doceniać cielesne przyjemności? Jej rodzice rzadko okazywali sobie czułość, nie mówiąc o namiętności. Dorastając, nabierała przekonania, że wszystkie małżeństwa ulegają rozpadowi i dlatego postanowiła sama nigdy nie znaleźć się w takiej sytuacji. Nie wyobrażała sobie życia pod jednym dachem z kimś niemożliwym do zaakceptowania.

Dopiero miłość do Cruza uświadomiła jej istnienie morza emocji, o których przedtem nie miała pojęcia.

Jej życie rozpoczęło się w ramionach Cruza.

I teraz znów zaczynało funkcjonować jak należy.

Cruz postawił ją na dywanie, ujął jej twarz w dłonie i lekko pocałował w usta. Tak delikatnie, jakby sobie usiłował przypomnieć tę pieszczotę.

Zamierzał być łagodny i powolutku stopniować przyjemności, lecz zbyt długo obywatł się bez Savannah i dlatego teraz czuł się nienasycony.

Słodki pocałunek rozwijał się jak roślina podlewana magicznym środkiem, który sprawia, że jej kwiat w krótkim czasie potraja swoją wielkość.

Cruz pośpiesznie uwolnił Savannah z jej ubrań, a ona zrobiła to samo dla niego.

Wiedziała, że powinna trochę się pohamować. Skoro Cruz tak bardzo jej pragnął, pewnie mogłaby wynegocjować odpowiednie warunki. Zażądać, aby mniej pracował i pojechał na wakacje z nią oraz ich synkiem. Mogłaby poczekać, aż Cruz się na to zgodzi.

Ale nie była zdolna do żadnych negocjacji, nie mogła nawet jasno rozumować. Myślała jedynie o tym, że Cruz jest tutaj, że wreszcie zszedł z piedestału swoich zasad i wrócił do niej.

Oraz że tęskniła za nim bardziej, niż wydawało się jej to możliwe.

Ich ubrania leżały rozrzucone na podłodze, oni zaś zaczęli cieszyć się wzajemną bliskością, gdy ich ciała coraz bardziej spletały się ze sobą.

Krew tętniła w żyłach Cruza, gdy całował Savannah, dotykał jej i od nowa zaznajamiał się z każdym centymetrem kwadratowym jej gładkiej skóry. Te minione dziesięć dni wlokło się bardziej niż całe długie życie. A od czasu, gdy się kochali, chyba upłynęły wieki.

Dojmujące poczucie braku sprawiło, że Cruz starał się nadrobić zaległości. I robiąc to, miał wrażenie, że wreszcie powrócił do domu po długim, pełnym udreki wygnaniu.

Aż do momentu, gdy pocałował swoją żonę, gdy które oboje odczuwali, nie mogio zostać usatysfakcjonowane samymi uściskami i kilkoma gorączkowymi pocałunkami.

Cruz nie chciał przestać jej całować i obejmować. Nie mógł jednak dać się ponieść temu, co Savannah w nim rozbudziła, dopóki znajdowali się tutaj.

Nie zaprotestowała, gdy wziął ją na ręce. Przeciwnie, wtuliła się w niego, bez słów dając mu do zrozumienia, że pragnie go tak samo, jak on jej.

– Gdzie jest twój pokój?

– Po prawej stronie telewizyjnego – wydyszała i parsknęła śmiechem na widok zakłopotanej miny Cruza, bowiem jej ukochany mężczyzna uniósł brew dokładnie tak samo, jak robił to Luke.

Sypialnia znajdowała się niedaleko, lecz zanim do niej dotarli, moc oczekiwania jeszcze się spotęgowała. Gdy Cruz wreszcie przekroczył próg i zamknął za nimi drzwi, Savannah była gotowa zedrzeć z niego ubranie.

Kto by pomyślał, że zacznie tak doceniać cielesne przyjemności? Jej rodzice rzadko okazywali sobie czułość, nie mówiąc o namiętności. Dorastając, nabierała przekonania, że wszystkie małżeństwa ulegają rozpadowi i dlatego postanowiła sama nigdy nie znaleźć się w takiej sytuacji. Nie wyobrażała sobie życia pod jednym dachem z kimś niemożliwym do zaakceptowania.

Dopiero miłość do Cruza uświadomiła jej istnienie morza emocji, o których przedtem nie miała pojęcia.

Jej życie rozpoczęło się w ramionach Cruza.

I teraz znów zaczynało funkcjonować jak należy.

Cruz postawił ją na dywanie, ujął jej twarz w dłonie i lekko pocałował w usta. Tak delikatnie, jakby sobie usiłował przypomnieć tę pieszczotę.

Zamierzał być łagodny i powolutku stopniować przyjemności, lecz zbyt długo obywatł się bez Savannah i dlatego teraz czuł się nienasycony.

Słodki pocałunek rozwijał się jak roślina podlewana magicznym środkiem, który sprawia, że jej kwiat w krótkim czasie potraja swoją wielkość.

Cruz pośpiesznie uwolnił Savannah z jej ubrań, a ona zrobiła to samo dla niego.

Wiedziała, że powinna trochę się pohamować. Skoro Cruz tak bardzo jej pragnął, pewnie mogłaby wynegocjować odpowiednie warunki. Zażądać, aby mniej pracował i pojechał na wakacje z nią oraz ich synkiem. Mogłaby poczekać, aż Cruz się na to zgodzi.

Ale nie była zdolna do żadnych negocjacji, nie mogła nawet jasno rozumować. Myślała jedynie o tym, że Cruz jest tutaj, że wreszcie zszedł z piedestału swoich zasad i wrócił do niej.

Oraz zatęskniła za nim bardziej, niż wydawało się jej to możliwe.

Ich ubrania leżały rozrzucone na podłodze, oni zaś zaczęli cieszyć się wzajemną bliskością, gdy ich ciała coraz bardziej spletały się ze sobą.

Krew tętniła w żyłach Cruza, gdy całował Savannah, dotykał jej i od nowa zaznajamiał się z każdym centymetrem kwadratowym jej gładkiej skóry. Te minione dziesięć dni wlokło się bardziej niż całe długie życie. A od czasu, gdy się kochali, chyba upłynęły wieki.

Dojmujące poczucie braku sprawiło, że Cruz starał się nadrobić zaległości. I robiąc to, miał wrażenie, że wreszcie powrócił do domu po długim, pełnym udręki wygnaniu.

Aż do momentu, gdy pocałował swoją żonę, gdy poczuł jej bliskość, niezupełnie zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo brakowało mu Savannah.

Zatracił się w jej smaku, w jej dotyku, w jej zapachu, całkiem przeświadczony o tym, że nigdy się nią nie nasyci. Wydawało mu się, że prędzej umrze, pokonany przez pulsujące w nim pożądanie.

Potrzeba ostatecznego spełnienia była niesłychanie silna, lecz miała podłoże czysto fizyczne. Cruz odkrył, że jego dusza domaga się czegoś więcej – czegoś bardziej wartościowego, co mógł otrzymać tylko będąc z Savannah.

Okrywał jej ciało drobnymi pocałunkami, błędził ustami po jej twarzy, szyi, brzuchu. Działo to na nich oboje w magiczny sposób, przyprawiało ich o brak tchu.

Savannah z jękiem wymówiła imię Cruza, niemal kompletnie upojona rozkosznymi doznaniem. Jej odczucia były cudowne i jednocześnie takie oczywiste – zupełnie jakby ta chwila była zwieńczeniem wszystkich poprzednich w ciągu całego dotychczasowego życia.

Savannah czuła, że cała płonie. Ujęła w dłonie pośladki Cruza i przyciągnęła go do siebie, ugniatając jędrne mięśnie. Jej podniecenie sięgnęło zenitu.

Wiła się tak sugestywnie, że doprowadzała go tym do szaleństwa. Musiał ją mieć tu i teraz.

Przygarnął Savannah jeszcze bliżej, przykrył swoim ciałem i patrząc w jej przepiękne oczy, wszedł w nią gwałtownie i bardzo głęboko. Przynaglony drgnięciem jej bioder zaczął miarowo się poruszać.

Tempo, w jakim falowały ich ciała, stawało się coraz szybsze, w niewiarygodny sposób wzmagając odczuwaną przez nich rozkosz.

Gdy nadeszła pora spełnienia, Savannah z jękiem wyszeptała imię męża i Cruz poczuł jej ciepły oddech na swoich wargach. W tym momencie zrozumiał, że nic na całym świecie nie liczy się bardziej niż ta cudowna kobieta, którą było mu dane kochać.

Jej serce łomotało tuż przy jego sercu. Oba nadal były jak oszalałe.

Dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy byli ze sobą po raz pierwszy. Gdy nawet o tym nie wiedząc, zakochali się w sobie. Teraz wszystko wydawało się idealną powtórką. W jeszcze lepszej wersji.

Cruz wiedział, że to nie będzie trwać wiecznie, lecz na razie cieszył się każdą sekundą, dopóki się nie skończyła, i tulił Savannah w ramionach.

Spadek energii oczywiście dał o sobie znać zaczął tłumić dotychczasową euforię.

Aż całkiem ją przytłamsił.

Cruz miał ochotę rozplakać się z żalu.

Obrócił się na bok, lecz zanim się odsunął od Savannah, poczuł na piersi szybkie bicie jej serca. Obudziło to iskierkę nadziei.

Savannah wtuliła się w niego tak, jak robiła to, gdy kochali się we własnym domu, we własnym łóżku. Zupełnie jakby nigdy nie odeszła, zabierając ze sobą ich synka.

Oraz dumę Cruza.

Postanowił na razie tego nie roztrząsać. Liczyła się tylko dana chwila.

Mimo niedawnego odejścia Savannah wciąż nie potrafił emocjonalnie odsunąć się od niej. I w głębi duszy pragnął wierzyć, że to dobra prognoza na przyszłość. Może najgorsze już było za nimi.

Może znów byli mężem i żoną.

Savannah z westchnieniem odwróciła się twarzą do Cruza. Nadal była zadyszana i znów poczuła tępy, fizyczny ból, który nie miał nic wspólnego ani z Cruzem, ani z tym, co właśnie się zdarzyło. Zignorowała swoje pogarszające się samopoczucie, aby nic nie zrujnowało nastroju.

Najważniejsze było to, że Cruz do niej wrócił. Znów mogli stać się rodziną i poczucie bezmiernej pustki odeszło w przeszłość.

Delikatnie przesunęła czubkami palców po brzuchu Cruza. W porównaniu do jej jasnej karnacji, jego skóra wydawała się niemal brązowa. Zawsze wyglądam przy nim jak Śnieżka, pomyślała, zadowolona, że ich synek odziedziczył złotawy odcień skóry po ojcu.

– Jak jazda na rowerze – zażartowała, a w jej oczach zamigotały figlarne ogniki. – Tego się nie zapomina.

– To nie było aż tak dawno. – Splótł palce jej dłoni ze swoimi.

Jeśli liczyć w minutach i sekundach, to było strasznie dawno temu, pomyślała,

– Kilka egzystencji muchy owocówki – odparła ze śmiechem.

Cruz nie był pewien, co chciała przez to powiedzieć. Rozpocząć dyskusję o przyczynach ich rozstania? Subtelnie zarzucić, że niedostatecznie zaspokajał jej potrzeby? Znow mu wypomnieć, że stawiał ranczo na pierwszym miejscu i dlatego był zbyt zmęczony, aby być modelowym mężem?

Starał się zachować spokój, lecz słowa Savannah podziały irytująco.

Usiadł i opuszczając nogi na podłogę, przeczesał włosy palcami. Zdumiewające, jak bardzo dał się ponieść emocjom. Logika kompletnie wyparowała z jego mózgowicy. Pożądanie całkiem nad nim zapanowało i prawie się tego wstydził, ponieważ wydawało mu się, że już wyrósł z tej fazy.

– I mgnienie oka dla morskiego żółwia, który żyje ponad sto lat – mruknął.

Usłyszała ostrzegawczą nutę w jego głosie i z lekka zeszywniała. Po czym zaraz spróbowała zbagatelizować ton Cruza. Przecież właśnie się kochali. To oznaka, że sprawy między nimi miały się lepiej.

– Najwyraźniej wszystko jest względne.

– Chyba tak. – Głos Cruza zabrzmiał obojętnie i bezdźwięcznie.

Savannah nagle poczuła się zanadto naga i wyeksponowana, więc przykryła się kocem. Nie była zachwycona ani tym, co usłyszała w tonie Cruza, ani dziwną żołądkową sensacją, która dawała się coraz bardziej we znaki.

Dlaczego Cruz zjawił się tutaj? Bo miał ochotę na trochę seksu i uciecha z żoną była łatwiejsza niż wypad z chłopakami do miasteczka, aby kogoś poderwać?

– Dlaczego przyjechałeś? – Musiała poznać prawdę, nawet jeśli była ona gorzka.

Szybko spojrział na nią przez ramię. Czyżby sugerowała, że wolałaby go dzisiaj wcale nie widzieć?

Ale przecież była taka ciepła, taka rozkoszna... zaledwie parę minut temu...

I może już tego żałuje, przemknęło mu przez głowę. Żałuje, ponieważ nie pozostała silna, nie zmierzyła się z nim jak równa z równym. Nie chciał tu zostać, aby potwierdzić swoje przypuszczenia. Aby usłyszeć, jak ona rujnuje to wszystko, co właśnie między nimi zaszło.

– Nie dlatego, że samochód zabłądził. – Żartem wykręcił się od odpowiedzi. Podniósł rozrzuconą odzież z podłogi i zaczął się ubierać.

– Co robisz? – Mimo okrywającego ją koca Savannah poczuła się okropnie naga. Cruz włożył dzinsy i wepchnął swoją bieliznę do kieszeni.

– Ubieram się – odparł po chwili, gdy założył koszulę.

– Już idziesz? – Miała nadzieję, że spędzą tę noc razem. Przecież początkowo wszystko na to wskazywało.

– Chcesz, żebym poszedł? – Postanowił odejść, bo wolał się nie dowiedzieć, że ona żałuje tego, co tutaj się stało. Nie miał ochoty poczuć się jak głupiec. Lecz gdyby tylko poprosiła, aby został, zrobiłby to bez wahania.

Nie zamierzała go błagać, aby został, skoro najwyraźniej wolał odejść. Wymuszanie nie dawało satysfakcji.

– Nie chcę do niczego cię zmuszać.

Patrzył na nią, analizując jej słowa, pragnąc, aby kazała mu zostać. Niestety nie rządził jej myślami.

– Więc chyba pójdę. – Powoli zapiął guziki koszuli.

– Dlaczego przyjechałeś? – Savannah miała wrażenie, że jej serce rozdziera się na strzępy.

Cruz bez słowa podszedł do drzwi i tuż przed wyjściem odwrócił się, aby na nią spojrzeć. Najchętniej znów zrzuciłby ubranie i kochałby się z nią jeszcze raz, lecz świadomość muru, jaki ich dzielił, była zanadto bolesna.

Musiał zachować chociaż resztę dumy, więc nie mógł paść Savannah do stóp i błagać, aby zakończyli te nonsensowne rozgrywki, aby znów byli razem, zanim on zwariuje.

– Niech mnie licho, jeśli wiem. – Wyszedł z pokoju i zniknął za sobą drzwi.

W ten sposób odseparował się od niej.

Zrozumiała jego intencje. Bez trudu. Cruz już nie chciał z nią być. Zaspokoił potrzeby seksualne i uznał, że noc we dwoje jest zbędna.

Savannah miała wrażenie, że ktoś zatopił w jej sercu nóż. Myśl, że dzisiaj była dla Cruza tylko swoistym wentylem bezpieczeństwa, bolała ją prawie fizycznie.

Gdyby Cruz ją kochał, to zostałby tutaj. Aby porozmawiać. Aby wyprostować sprawy między nimi.

Aby po prostu trzymać ją w objęciach, dopóki noc nie odejdzie w przeszłość, a światło dnia nie rozjaśni mroku.

Teraz Savannah czuła się tak, jakby wielki mrok spowijał jej duszę.

Nie mogła już dłużej się pohamować, więc podciągnęła kolana pod brodę i głośno się rozszlochała.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Cruz zamrugał, ocierając pot z czoła dłonią w roboczej rękawicy.

Czyżby miał przywidzenia?

Samochód w wyblakłym wiśniowym kolorze nadal tam był.

Cruz właśnie krążył z Diabłem po wewnętrznej stronie ogrodzenia. Do niedawna podjazd był pusty. A w tej chwili – już nie. Czerwony mustang, pierwsze auto Cruza, które od lat bezustannie reperował, stało przed domem.

Tak, jak dawniej. Dopóki Savannah nie odeszła, zabierając ze sobą całą światłość.

W żyłach Cruza zatętniło podniecenie, pulsujące jak roponośne źródło na polu naftowym. Zachłannie wypełniło wszystkie zakamarki, jakby do tej pory Cruz był wewnątrz całkiem pusty.

Podczas trenowania skupiał uwagę wyłącznie na koniu. Teraz rozejrzał się wokoło, szukając wzrokiem swoich ludzi. Gwizdnął, aby zwrócić uwagę Hanka i przywołał go ruchem dłoni.

– Hej, zajmij się tym.

Nawet z ręką w gipsie Hank ze zręcznością kota przeskoczył przez płot i pytająco popatrzył na Cruza. Było rzeczą powszechnie znaną, że trenowanie koni to wyłącznie j ego domena. Nigdy nie pozwalał nikomu na nic innego poza podawaniem paszy oraz sprzątaniami stajni.

Ale teraz coś się zmieniło. I na dodatek chodziło o konia–ulubieńca.

– Czym mam się zająć?

– Trenowaniem. – Cruz wręczył Hankowi wodze. Właściwie niemal musiał wepchnąć mu je do ręki. – Chyba wystarczająco się napatrzyłeś, jak ja to robię, prawda?

– Tak, ale... – Na kościstej twarzy Hanka pojawił się szeroki uśmiech.
– Nigdy nie myślałem, że nadejdzie taki dzień.

– Tylko niech ci się nie przewróci w głowie. – Cruz już był za ogrodzeniem. – Powtarzaj z nim to, co ja robiłem – rzucił przez ramię, pędząc w stronę domu. Czuł się w tej chwili jak uczeń.

Zbliżając się do podjazdu, popatrzył na ganek otaczający cały budynek. Zaraz po ślubie często siedzieli na nim i snuli plany na przyszłość.

Nie robili tego już od dawna.

Jak, u diabła, ich życie mogło tak się pochrzanić? Tak skomplikować?

W okolicy było kilkanaście wiśniowych mustangów—antyków, lecz tylko jeden miał to szczególne wgniecenie nad prawym błotnikiem. Cruz dla pewności zerknął na tablicę rejestracyjną. Numer się zgadzał.

Serce Cruza zaczęło bić jeszcze szybciej.

Wbiegł po schodkach na ganek, uśmiechając się od ucha do ucha. Już po wszystkim. Ta cała durna niezgoda była już za nimi. Przecież wiedział, że po prostu trzeba Savannah przetrzymać, aby się ocknęła. Aby zrozumiała, że są dla siebie stworzeni.

– Savannah? – zawołał, otwierając drzwi na oścież. Zamykał je na klucz tylko przed pójściem spać. – Savannah, jesteś tutaj?

Było to retoryczne pytanie. Wiedział, że ona musi tu być. Przecież samochód nie przyjechał samodzielnie.

Jak dzieciak usiłujący znaleźć schowane w domu gwiazdkowe prezenty, Cruz gorączkowo zastanawiał się, gdzie zacząć poszukiwania.

Zajrzał do kuchni, ale tam jej nie było. Zawołał ją jeszcze raz, a w każdej sylabie dało się słyszeć zniecierpliwienie. W końcu jakiś ruch na piętrze zwrócił jego uwagę. Uśmiech zamarł na ustach Cruza. Światło, które

rozbłysło w jego duszy, nagle przygasło i zaczęło migotać jak płomień świecy pod wpływem przeciągu.

Savannah stała u szczytu schodów, trzymając dużą walizkę.

– Co ty wyprawiasz? – Zacisnął palce na poręczy, aby nad sobą zapanować. Kolana nagle zaczęły odmawiać mu posłuszeństwa.

Savannah od wielu godzin powtarzała sobie, jaka z niej idiotka, ponieważ do niedawna jeszcze łudziła się nadzieją. Rozpamiętywała każdą chwilę spędzoną z Cruzem, lecz on prawdopodobnie już wcale o niej nie myślał. Ona postawiła wszystko na jedną kartę, a Cruz dokonał wyboru. Nie wątpiła, że wybrał ranczo, a nie ją. A nie rodzinę.

Musiała więc pomyśleć o swojej przyszłości.

Gdyby tylko tak bardzo nie cierpiała. W tej chwili miała wrażenie, że ktoś zatopił w jej ciele tysiąc noży o zębatych ostrzach.

– Przyjechałam po więcej rzeczy.

Wiedział, że powinien się odsunąć i pozwolić jej przejść. Ale nie mógł się do tego zmusić. Przytrzymał ją za nadgarstek, gdy zeszła na podest.

– Zamiast wozić rzeczy do Vanessy, może lepiej przywieź siebie do swoich rzeczy?

– Odchodzę od ciebie, Cruz. – Nie zamierzała zareagować na ten cień jego uśmiechu, na czar Cruza. Kiedyś sobie na to pozwoliła i proszę, dokąd ją to zaprowadziło. Została porzucona przez ranczera, który ożenił się z ranczem. Nawet gosposiom okazywano więcej względów i bardziej je doceniano niż ją.

– Savannah, już raz odegraliśmy tę scenę, pamiętasz? – Powietrze ze świstem przedostało się między zębami Cruza, gdy usiłował pohamować gniew.

– Nie w tej wersji. – Wysłwobodziła rękę. Gdyby tylko mogła zrobić to samo ze swoim sercem. Może kiedyś, za sto lat... – Tym razem odchodzę na dobre. Lub raczej na złe. To znaczy na zawsze.

– O czym ty, u diabła, gadasz, kobieto?! Przecież przyszedłem do ciebie. Kochaliśmy się.

Wielkie rzeczy, pomyślała. Czy tylko to się dla ciebie liczy? Seks? Miała ochotę wykrzyknąć Cruzowi te pytania prosto w nos. Boże, ależ była niedoceniana. Lub może sama się nie ceniła.

– Pięć dni temu! – Podkreśliła to stwierdzenie, unosząc dłoń z rozcapierzonymi palcami. – Kochaliśmy się pięć dni temu, Cruz. A potem nawet się nie odezwałeś. Żadnego słowa, żadnego telefonu. Nic.

– Byłem zajęty – odparł, usiłując nie podnosić głosu. Machnął dłonią w kierunku stajni i zagrody. – Gdybyś tu była, sama byś zobaczyła...

Zobaczyłabym, że jak zwykle wszystko inne liczy się dla ciebie bardziej niż rodzina, dokończyła w myśli. Miała już tego dosyć.

– Nie muszę tu być, aby wiedzieć, że nie masz dla mnie czasu.

– Do licha, Savannah, szkoda, że wcześniej nie przyjechałaś. – Korciło go, aby nią potrząsnąć. Nigdy jednak nie był agresywny wobec kobiet i nie zamierzał zacząć od matki swoich dzieci. Zaciśnął dłonie w pięści i wepchnął je do kieszeni dżinsów.

– Do czego? – Prychnęła gniewnie. – Do tego samego, co było przedtem?

– Do mnie.

Miałaby wrócić do niego? Tak po prostu, bez wcześniejszego rozwiązania problemów? Oczywiście, to by mu się podobało, pomyślała, coraz bardziej zirytowana.

– Cruz, nie możemy żyć tak, jak dawniej.

– Dlaczego? Co ci się w tym nie podobało? – zawołał rozjątrzony. Walnął pięścią w drewnianą poręcz i niemal złamał sobie rękę. Wsunął ją znów do kieszeni, a tępy ból rozszedł się aż do ramienia. – Ja zarabiałem na życie, ty pomagałaś...

– I wciąż byliśmy oddzielnie. – Położyła nacisk na ostatnie słowo. Czy naprawdę musiała tak wszystko Cruzowi klarować? Czy sam tego nie pojmował? A może próbował złamać jej opory, ponieważ potrzebował swojej księgowej? Sam nie miał głowy do liczb.

– Jeśli chciałaś być bliżej, wystarczyło otworzyć okno i zaraz byś mnie zobaczyła. Zawsze tam jestem!

– To żadna bliskość i dobrze to rozumiesz. – Wiedziała, że nie jest taki tępy. Przecież nie zakochałaby się w półgłówku. Teraz tylko udawał głupiego – był uparty jak osioł i nie chciał przyznać jej racji. – Odeszłam, bo miałam nadzieję, że dzięki temu uświadomisz sobie, co przecieka ci między palcami. – Miała świadomość przegranej. – Ale tobie chyba to bardziej odpowiada. Możesz spędzać nieograniczoną ilość czasu ze swoją panienką.

– Jaką panienką?! – Czy ona całkiem straciła rozum? – Savannah, co ty pleciesz? Nie ma żadnej innej kobiety.

– Zdarzało się, że przez wiele dni z rzędu była jedyną kobietą, z którą miał okazję rozmawiać.

– Jest „La Esperanza”. Okazujesz jej znacznie więcej względów niż mnie. – Czyżby nawet nie zdawał sobie z tego sprawy? Nie była tego pewna.

– Ale przyjechałem do ciebie – przypomniał. Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć.

– I zaraz znów mnie zostawiłeś – odparowała. Właśnie, wykorzystał ją i porzucił. Nie został na noc i w ten sposób zrujnował całą radość. – Nie

przyjechałeś porozmawiać, obiecać, że rozwiążemy problemy. Zjawiliś się tylko po to, aby zaspokoić fizyczną potrzebę.

– Aż tak bardzo się nie doceniasz? – Nie wierzył własnym uszom.

– Czemu nie? – Zmierzyła go chłodnym spojrzeniem i sięgnęła po walizkę. – Ty nie potraktowałeś mnie lepiej.

– Do licha, kobieto! Co ci mam powiedzieć? Z tobą w ogóle nie da się teraz rozmawiać!

– Nigdy nie próbowałeś tego robić.

Obawiała się wyjść za drzwi, wiedziała bowiem, że tym razem już nie będzie powrotu. A nie chciała egzystować na tym świecie bez Cruza.

Kochała go. Co jednak mogła zyskać, zostając? Nic. Wahanie do niczego nie prowadziło. Wszystko znów wróciłoby do dawnych norm i ona znów byłaby stroną, która zawsze się poddaje. Nie mogła dłużej tak żyć.

Cruz dokonał wyboru. Wolał ranczo niż ją, niż ich synka i dziecko, które miało się urodzić. Oni we troje zasługiwali na lepszy los, a ona już nie miała siły zмагаć się ze wszystkim, czego nie akceptowała. Zwłaszcza gdy zmiany wydawały się nierealne. Potrzeba było dwojga zgodnych ludzi, aby je skutecznie wprowadzić.

Ściągnęła łopatki, ominęła Cruza i podeszła do frontowych drzwi.

– Stałaś się kimś obcym. – Z lekka oszołomiony Cruz gapił się na jej plecy.

– Może nigdy mnie nie znałeś. – Przez ramię spojrzała na niego po raz ostatni. Serce bolało ją tak bardzo, że niemal pękało w piersi.

Odeszła.

Noc spowiła wszystko swoim mrokiem. Była gorąca i parna, uniemożliwiała ludziom zasłużony odpoczynek. Przez cały dzień zbierało

się na burzę, która prawdopodobnie jeszcze pogorszyłaby warunki, zwielokrotniając wilgotność powietrza.

Pierwsza błyskawica była zapowiedzią większego spektaklu. Na ułamek sekundy rozjaśniła niebo jak złocisty trójnóg, który wbił się w ziemię, a potężny grzmot przetoczył się echem po całym ranczu.

Lecz deszcz na razie tylko obiecywał swoje nadejście. Na razie nie spadła jeszcze ani jedna kropla.

Cruz nie mógł zasnąć. Otworzył wszystkie okna, aby łatwiej mu było oddychać. Czuł się fatalnie – może z powodu pogody, a może po prostu był straszliwie przygnębiony.

Savannah odeszła. Naprawdę go porzuciła.

Co, u licha, miał zrobić? Czołgać się przed nią? Błagać? Gdyby był równie bogaty, jak jeden z Fortune'ów, mógłby najać pomocników i zabrać rodzinę na długie, wspaniałe wakacje. Rozmawialiby przez całe noce, bawiliby się w dzień.

Lecz był Perezem, nie Fortune'em. Oznaczało to długie godziny codziennej harówki, aby móc związać koniec z końcem. Kiedyś, w przyszłości, prawdopodobnie będzie mógł pozwolić sobie na wszystko, czego pragnęła Savannah. Ale jeszcze nie teraz.

Nie cierpiał za nią tęsknić.

Nie cierpiał czuć się taki wyalienowany.

W końcu zapadł w niespokojny sen, w którym obrazy z rzeczywistości przeplatały się z urojeniami. Był zbyt zmęczony, aby je rozróżnić, gdy bezlitośnie dręczyły jego umysł.

Aż przyniosły na swoich skrzydłach jego najgorszy koszmar.

Savannah odchodziła. Wciąż od nowa. Podobno popełniła błąd, marnując czas na miłość do takiego mężczyzny, jak on.

A później zniknęła, a wraz z nią – wszystko inne. Jego ranczo, jego życie. Nie zostało mu już nic.

Huk pioruna najpierw zawibrował w jego umyśle.

Stał się nie do wytrzymania, gdy dołączył się do niego inny przeraźliwy dźwięk wydawany przez śmiertelnie przerażone konie, które teraz rżały jak oszalałe. Ktokolwiek usłyszał to straszliwe rzenie, nigdy nie był w stanie całkiem wymazać go z pamięci.

Oślepiający blask rozjarzył wszystko do tego stopnia, że wydawało się, jakby cały świat stanął w płomieniach.

Cruz zerwał się na równe nogi. Ten grzmot i światłość nie były częścią sennego koszmaru. Konie rzeczywiście zachowywały się tak, jakby wpadły w panikę.

I zaraz zobaczył, dlaczego.

Stajnia położona najbliżej domu była w ogniu. Niewątpliwie uderzył w nią piorun.

A wewnątrz znajdowały się konie.

Cruz wciągnął dzinsy, chwycił buty i pognął na dół.

Wybiegł przez drzwi na tyłach domu i pędem ruszył w kierunku stajni. Jaime i Hank także biegli w tamtą stronę. Nie było potrzeby wydawać żadnych poleceń. Wszyscy wiedzieli, że priorytetem jest ratowanie koni. Cruz aktualnie posiadał dwadzieścia dziewięć, włączając źrebaki i karmiące klacze. Prawie połowa tych koni była właśnie w tej stajni.

Cruz wyciągnął z kieszeni bawełnianą chustę i owiązał ją wokół twarzy, zasłaniając nos. Potrzebował obu rąk, aby uspokoić zwierzęta i wyprowadzić je na zewnątrz. Niczego nie bały się bardziej niż ognia.

– Jeśli będą się opierać – zawołał do pomocników – zasłońcie im oczy!

Nawet z tej odległości zar parzył skórę prawie nie do wytrzymania. Cruz zacisnął szczęki i dał nura prosto w piekło.

Płomienie na razie pochłaniały tył stajni, lecz nie ulegało wątpliwości, że za kilka minut strawią wszystko, co zastąpi im drogę. Nie było ani chwili do stracenia. Cruz zarzucił uzdę na jedną z klaczy, wskoczył na grzbiet drugiej, wyprowadził obie na zewnątrz i pędem wrócił do środka.

Kolejna oślepiająca błyskawica przecięła rozgniewane niebo, lecz tym razem piorun uderzył gdzieś daleko. A po nim zaraz rozpadał się deszcz.

Wyprowadzając następne dwa konie, Cruz odetchnął głęboko i na moment przymknął powieki. Miał ochotę paść na kolana i zmówić dziękczynną modlitwę. Nie musiał wzywać straży pożarnej ani gnać po gumowe węże, żeby napełnić wiadra wodą do umycia koni. Wreszcie nadeszła ulewa, przynosząc upragnioną ulgę. Nie uratowała ich od gorąca lub duchoty, lecz od czegoś dużo gorszego. Od ognia.

Płomienie syczały w gniewnym proteście, przygasały, stopniowo się poddawały, aż całkiem zostały pokonane.

Po dziesięciu przerażających minutach kryzys został opanowany. Cruz usiłował wyregulować swój oddech, jednocześnie oceniając straty.

Gdyby nie spłoszone zwierzęta, które narobiły tyle hałasu, mogłoby być dużo gorzej.

Zsiadł z konia, rzucił wodze Jaimiemu i podszedł do zrujnowanej stajni. Deszcz siekł go w nagą klatkę piersiową, przykleił dzinsy do jego nóg, atakował oczy i twarz, gdy Cruz usiłował oszacować szkody wyrządzone przez pożar.

Konie będą wymagały dużo pracy. Bardzo się spłoszyły i poniekąd cofnęły w rozwoju. Trenowanie, które już prawie się skończyło, zajmie wiele dodatkowych dni. Cruz wiedział, że czeka go ciężka praca, lecz wcale

się tym nie przejmował. Po odejściu Savannah nie zostało mu nic oprócz harówki. Spokojnie mógł się z nią zmierzyć.

Poszedł na tyły stajni, gdzie deszczówka mieszała się z popiołami, tworząc grząskie błoto. Dając powody do desperacji. Żadna praca nie mogła przynieść tyle pieniędzy, aby zdołał odbudować część budynku zniszczoną przez pożar. Powinien zająć się tym niezwłocznie, lecz nie miał na to funduszy.

Utracił żonę i synka, a teraz jeszcze i ranczo zostało dotknięte nieszczęściem. Cruz czuł się niemal jak biblijny Hiob.

A więc tak to jest, gdy człowiek musi pokonywać nieprzewidywane przeszkody.

Przejechał dłonią po mokrych włosach, aż woda spłynęła mu po plecach. Następnie ruszył w stronę koni, aby się nimi zająć.

Ranek nie poprawił Gruzowi humoru. Co prawda nie stracił żadnego zwierzęcia, lecz szkody okazały się naprawdę poważne. A zasoby finansowe były na wyczerpaniu, bowiem zapłacił gotówką za cztery konie, które zamierzał szybko wytrenować i sprzedać.

Jeden z miejscowych ranczerów miał co prawda wkrótce się zjawić, żeby popatrzeć na Maximilliana, najlepszego rozplodowego ogiera i ewentualnie użyć go do zapłodnienia swojej klaczy. Lecz nawet opłata w wysokości tysiąca dolarów była kroplą w morzu potrzeb, gdy w grę wchodziła odbudowa stajni.

Cruz z zasepioną miną analizował sytuację. Może należało zmodyfikować życiowe marzenie.

Nie, u licha, przecież pragnął je zrealizować od czasu, gdy miał pięć lat. Gdy po raz pierwszy porozumiał się z koniem. Nie mógł zmienić tego, kim był. Pozbawiony koni i rancza utraciłby swoją tożsamość.

Z westchnieniem powlókł się do drugiej stajni. Na razie podwoili liczbę koni w każdym boksie, lecz nie było to dobrym rozwiązaniem. Większość koni nie lubiła aż takiej bliskości.

Zbliżając się do budynku, usłyszał za plecami warkot silnika. Przez moment łudził się nadzieją, że może Savannah zmieniła zdanie.

Boże, oby tak było. Naprawdę potrzebował jakiejś przyjaznej twarzy.

Lecz gdy raptownie się odwrócił, ujrzał przyjazną twarz Vanessy, a nie swojej żony.

Vanessa krzywo zaparkowała auto na podjeździe i szybkim krokiem ruszyła w stronę Cruza. Bolało ją cierpienie przyjaciółki i dlatego wczoraj wieczorem postanowiła zainterweniować. Najwyższy czas, aby tych dwoje wreszcie się ocknęło i przestało się zachowywać jak para dzieciaków. Mało kto tak należał do siebie nawzajem, jak Cruz i Savannah. Vanessa miała już dosyć tego trzymania się na uboczu.

Tak bardzo skupiła uwagę na swojej zaplanowanej misji, że dopiero teraz zauważyła częściowo zniszczoną stajnię. Śwąd spalonego, mokrego drewna niemal przyprawiał o mdłości.

– Co się stało?! – Patrzyła na Cruza rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

– Może to skutek gniewu bożego – odparł, wzruszając ramionami. – Wczorajsza burza urządziła sobie grillowanie moja stajnia posłużyła za podpałkę.

Vanessa powoli obeszła stajnię wokół. Z przodu nie wyglądało to tragicznie.

– Część jeszcze stoi.

– Uhm – mruknął, z lekka urażony jej pogodnym tonem. Zupełnie jak Savannah, pomyślał z przekąsem. Jakoś nie mógł wykrzesać z siebie typowego dla żony optymizmu.

Vanessa podjęła decyzję jeszcze w drodze na ranczo. Jeśli ograniczone fundusze były główną przeszkodą na drodze do szczęścia przyjaciółki, to zamierzała pożyczyć Perezom pieniądze. Do diabła, wepchnie je Cruzowi do gardła, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Ze skrzyżowanymi na piersi ramionami wróciła przed najbardziej uszkodzoną część stajni.

– Cruz, ile potrzebujesz, żeby znów stanąć na nogi? – spytała bez ogródek. – Dziesięć tysięcy? Czterdzieści? Musisz mi powiedzieć, bo nie umiem tak dobrze szacować, jak Savannah.

– Oferujesz mi pożyczkę? – Cruz jeszcze bardziej się zachmurzył.

– Coś w tym stylu. – Niech licho porwie tę jego dumę, pomyślała.

– Nie potrzebuję twoich pieniędzy – odparł cierpkim tonem.

Zabrzmiało to niemal uprzejmie w porównaniu do słów, które cisnęły mu się na usta. Pohamował się tylko dlatego, że Vanessa zaliczała się do grona najbliższych przyjaciół i miała dobre intencje.

Vanessa skinieniem głowy wyraziła, że akceptuje jego odpowiedź. Ale tylko częściowo.

– Jakichś pieniędzy na pewno będziesz potrzebował, więc dlaczego nie miałbyś przyjąć ich ode mnie? Przynajmniej wiesz, że nie zażądam niebotycznego oprocentowania. Dla mnie nie stanowisz ryzyka finansowego, natomiast bank może postrzegać to inaczej. Bankierzy nie znają cię tak dobrze, jak ja. – Cruz zrobił ruch, jakby zamierzał odejść, więc chwyciła go za ramię, aby wysłuchał ją do końca. – Jeśli nie jesteś w finansowych tarapatkach, to ty i Savannah znów możecie zachowywać się jak

para zakochanych, zamiast codziennie drzeć ze sobą koty. Unieszczęśliwiasz troje ludzi, Cruz. Czworo, gdy urodzi się dziecko.

– Nie zamierzam pożyczać od przyjaciół. – Nie znosił, gdy ludzie wtykali nos w jego sprawy prywatne. Nawet ludzie, których lubił.

– To dużo lepsze, niż pożyczanie od wrogów. Przestań być zadufany w sobie do tego stopnia, że odrzucasz wszelką pomoc. Do licha z tą twoją dumą, Cruz. – Vanessa próbowała czytać w jego myślach. – Uważasz, że przyjęcie pożyczki ode mnie zdegraduje cię jako mężczyznę? Nie rozumiesz, że prawdziwy mężczyzna ma wystarczająco dużo pewności siebie, aby pozwolić przyjaciołom na pomoc, gdy jej potrzebuje? – Jakoś nie mogła trafić mu do rozumu. – Gdybym ja potrzebowała pieniędzy, pomógłbyś mi?

– Jasne, że tak.

– Więc czemu ja nie mogę pomóc tobie? – Zauważyła, że jego mina mówi sama za siebie. – Dlatego, że ja nazywam się Fortune, a ty – Perez? – Nie zamierzała dać za wygraną. – Nie przypuszczałam, że jesteś facetem, który ma uprzedzenia.

– To nie sprawa uprzedzeń – skłamał. Trafiła dokładnie tam, gdzie go bolało.

– Więc jak to nazwiesz? – Znów skrzyżowała ramiona i patrzyła na niego wyzywająco.

– No dobrze – przyznał z westchnieniem. – Może mam uprzedzenia.

– Paskudny wyraz. – Vanessa uznała, że zapach zwycięstwa zaczyna brać górę nad odorem spalonego drewna.

– Owszem.

– Czyli umowa stoi? – Wyciągnęła do niego rękę, aby przypieczętować transakcję.

– Jakie oprocentowanie? – Ujął dłoń Vanessy, lecz jeszcze jej nie uściskał.

– Ty i Savannah macie znów się zejść z sobą. To jedyny warunek, jaki stawiam poza zwrotem kwoty pożyczki.

– Czy twój ojciec wie, jaka z ciebie beznadziejna kobieta interesu?

– Przeciwnie, jestem utalentowaną kobietą interesu, a znając fakty, mój ojciec tylko by mi przyklasnął. A teraz do rzeczy, akceptujesz warunki umowy?

– Chyba tak. – Skinął głową.

– Widzę, że nie. – Vanessa wyczuła w jego głosie brak entuzjazmu. – Chcesz tylko, aby Savannah wróciła na opuszczone przez siebie miejsce. Lecz ona potrzebuje od ciebie trochę więcej. I zasługuje na więcej. Wiesz, że mam rację.

Wrodzony upór nie pozwalał Cruzowi się zgodzić. Lecz te minione dwa tygodnie były okropne właśnie z powodu jego uporu. W porównaniu do tego nawet kłótnie z Savannah wydawały się lepsze.

– No dobrze, masz – przyznał w końcu.

– W takim razie jedź ze mną do domu i sam jej to powiedz. Do licha, Cruz! – zawołała, gdy spojrzał przez ramię w stronę zagrody. – Savannah naprawdę poważnie myśli o rozwodzie. Gdy wychodziłam, dzwoniła do adwokata.

– Co takiego? – Rewelacja Vanessy podziałała na niego jak uderzenie drągiem w głowę.

– Słyszałeś. Chciała złożyć pozew o rozwód. Cały czas płakała. Powtarzała, że zabija ją to czekanie na ciebie i łudzenie się nadzieją na twój powrót.

– Zajmę się paroma sprawami i zaraz jadę. – Nienawidził być źródłem cierpienia Savannah. Nienawidził też tego, że ktoś postronny musiał otworzyć mu oczy.

– Cruz...

– Przysięgam, będę tuż za tobą.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem i w końcu się poddała.

– Wziąwszy pod uwagę, co tu się stało, dam ci trochę czasu. Pojadę do domu i powiem Savannah, że ma się spodziewać skruszonego mężusia.

Otworzył usta, aby skorygować ten wizerunek i zaraz zdał sobie sprawę z tego, że słowa Vanessy były bardziej trafne, niż jakakolwiek wersja w jego wydaniu.

– Tak, powiedz jej właśnie to. I że ją kocham.

– Sam jej to powiedz. – Vanessa ruszyła w stronę samochodu i zaraz przystanąła. – Przeleję fundusze zaraz po powrocie do domu.

– Nie znasz numeru mojego konta.

– Ty pewnie też go nie znasz. Savannah mi pomoże. I nie martw się o sumę – dodała, spodziewając się jego odpowiedzi, ponieważ nie ustalili kwoty. – Z pewnością wystarczy na pokrycie wszystkich wydatków.

– Savannah, odwołaj tego prawnika! – zawołała Vanessa natychmiast po wejściu do holu. – Góra przyjdzie do Mahometa.

Vanessa odniosła wrażenie, że jej głos powrócił do niej jak echo. W domu panowała zastanawiająca cisza.

Wydawało się to dziwne. Savannah zazwyczaj nerwowo chodziła po saloniku.

Vanessa zajrzała do pokoju, w którym lubił się bawić Luke, a później do pokoju telewizyjnego. Oba były puste.

– Savannah, jesteś u siebie? – Pomknęła do sypialni przyjaciółki.

Drzwi były zamknięte i Vanessie wydało się, że słyszy stłumiony szloch.

– Savannah, wszystko w porządku?

Cóż za głupie pytanie, pomyślała. Nic nie było w porządku, bo Savannah sądziła, że czeka ją rozwód. Vanessa bez pukania otworzyła drzwi.

– Kochanie, nie martw się o... Zamarła na widok tego, co ujrzała.

To nie szloch przyjaciółki usłyszała przed chwilą. Płakał Luke.

Chłopiec klęczał na podłodze, przyciskając dłoń matki do swojego policzka. Savannah była nieprzytomna.

Łazienkowy dywanik, na którym leżała, był zaplamiony krwią.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Cruz naprawdę zamierzał pojechać zaraz za Vanessą. Potrzebował tylko paru minut, aby wydać polecenia.

Ale jedna sprawa prowadziła do drugiej i musiał zająć się lokowaniem koni. Umieszczenie ich po dwa w jednym boksie było źródłem potencjalnych kłopotów. Co prawda w lecie zwierzęta mogły zostawać na zewnątrz, wołał jednak, aby nocowały pod dachem. W okolicy czasami pojawiały się wilki i rysie, nie wspominając o grzechotnikach. Nie chciał, aby jego konie zostały nocą zaskoczone przez groźnych intruzów.

Wręczył Billy'emu kartę kredytową, jedną z pierwszych rzeczy, które sobie załatwił po nabyciu rancza.

– Jedź do miasta i kup deski do zabezpieczenia tyłów stajni. – Miało to być tylko tymczasowym rozwiązaniem, dopóki Ike Cannon i jego syn Russ nie zbudują nowej ściany. Oczywiście mógłby sam dokonać niezbędnych napraw, lecz musiałby całkiem zrezygnować ze spania na najbliższy miesiąc.

Człowiek nie mógł przeskoczyć sam siebie. W pewnym momencie należało trochę odpuścić. Cruz uznał, że najwyższa pora to zrobić.

– To zajmie sporo czasu. – Billy zdjął kapelusz i podrapał się po głowie, szacując wzrokiem uszkodzoną ścianę.

– Wiem. Na razie zabij wszystko deskami, żeby w nocy konie nie wy dostały się na zewnątrz i żeby nic tam nie wlaźło. – W myśli dokonał szybkiej kalkulacji. Po tym, co się wczoraj stało, Savannah na pewno się z nim pogodzi. Kochała ranczo tak samo, jak on. Zamierzał szybko z nią pogadać i przywieźć ją wraz z Lukiem najpóźniej za godzinę. – Wrócę wcześniej niż ty z miasta.

– A co z Purdue? – zawołał Billy, gdy Cruz poszedł do samochodu. – Mam powiedzieć Hankowi, żeby go odesłał?

Cruz zatrzymał się w pół kroku.

– Do licha, całkiem o tym zapomniałem Nie, nie możemy sobie pozwolić na taką stratę. – Właśnie zobaczył zbliżające się wielkie, czarne auto klienta.

Biznes przed przyjemnościami.

Co prawda nie uważał czekającego go spotkania z Savannah za przyjemność. Zabawne, jaka ta baba ostatnio zrobiła się uparta. A może zawsze taka była, lecz on tego nie dostrzegał?

Sięgnął po telefon. Postanowił zadzwonić do Vanessy i poprosić, aby wyjaśniła Savannah, co się dzieje, i przeprosiła ją w jego imieniu. Nie chciał utracić żony, lecz gdyby pozwolił sprawom wymknąć się spod kontroli, to wkrótce straciłby ranczo i rodzina nie miałaby gdzie mieszkać. Nie mógłby też jej utrzymać. I co to byłoby za życie? Musiał więc zostać i sfinalizować umowę, zanim wpływowy i zamożny Purdue zwróci się do kogoś innego.

Otworzył srebrzystą komórkę, a ona w tej samej sekundzie zadzwoniła.

– A to ci sztuczka. Jak to robisz, szefie? – Billy wyciągnął szyję i ponad jego ramieniem popatrzył na telefon.

Cruz gestem dłoni nakazał chłopakowi milczenie, nacisnął małe przycisk i przyłożył komórkę do ucha. W duchu przygotował się na wyrzuty. Dzwoniła Vanessa i na pewno zamierzała przynaglić go do przyjazdu.

– Słuchaj, coś mnie zatrzymało i zostałem w tyle... – powiedział szybko obronnym tonem, zanim zdążyła się odezwać.

– Lepiej przywieź tu swój tył jak najszybciej.

– Co się stało? – Cruz wyczuł w jej głosie jakieś niepokojące brzmienie, jakby dzwoniła nie po to, aby go pogonić.

– Jestem w szpitalu.

– W szpitalu? – Cruz natychmiast pomyślał o synku, który już raz omal nie spadł z dachu. Wtedy, na szczęście, ojciec zdołał go złapać. Ale dzisiaj? – Luke zrobił sobie krzywdę?

– Nie...

– Nie? Więc dlaczego...

– Chodzi o Savannah.

Cruz na moment stracił oddech. Czuł się tak, jakby koń kopnął go prosto w żołądek. Z trudem wziął się w garść, a przez głowę szaleńczo przelatywały mu myśli o niezliczonych wypadkach, które mogła mieć Savannah.

– Jest w szpitalu? Dlaczego? Co jej się stało? – W gardle mu zaschło, język był jak drewniany kołek.

– Problem z dzieckiem, Cruz. – Vanessa sama jeszcze nie знаła odpowiedzi na te pytania. – Znalazłam Savannah nieprzytomną. Leżała w łazience na podłodze. Krwawiła. Nie wiem, co... – Vanessa nie dokończyła, bo emocje wzięły nad nią górę.

– Odzyskała przytomność? – Usiłował sobie wmówić, że Savannah jest silniejsza, niż wskazywałby na to jej wygląd. Wszyscy uważali ją za wątłą, ale tak nie było.

– Nie – odparła Vanessa po długiej chwili milczenia, gdy Cruz umierał z niepokoju.

– W którym jest szpitalu? – Cruz ledwie mógł oddychać, ponieważ coś bardzo boleśnie ścisnęło jego serce. Vanessa podała nazwę placówki. Znał to miejsce – niedawno zawoził tam Hanka. – Już jadę.

Miał wrażenie, że to wszystko jest jakimś koszmarem. Wsunął telefon do kieszeni koszuli i odwrócił się, aby powitać pana Purdue.

– Musimy zmajstrować trochę dzieciaków, Perez. – Ranczer podszedł do niego i z szerokim uśmiechem zatarł ręce. – O ile cena jest odpowiednia.

Cruz nie chciał odesłać pana Purdue z niczym. Ranczer uniósłby się honorem na samą myśl, że potraktowano go niewłaściwie. Więcej by się tu nie pojawił i Cruz nie mógł do tego dopuścić. Zadowolenie pana Purdue oznaczało bowiem, że wielu ranczerów poszłoby w jego ślady, co przyniosłoby spore dochody.

Cruz bardzo potrzebował tych zarobków. Nie mógł jednak stać tutaj i negocjować opłat za zapłodnienie, gdy Savannah leżała nieprzytomna w szpitalu. Musiał teraz być z nią, na wypadek, gdyby...

Po prostu musiał być z nią, poprawił się w myśli. Nie zamierzał martwić się na zapas.

– Obawiam się, że nastąpiła mała zmiana planów, panie Purdue.

– Zmiana planów? – Krzaczaste brwi zmarszczyły się nad nosem złamanym dwukrotnie, zanim jego właściciel osiągnął wiek dojrzewania. – Perez, jeśli usiłujesz się droczyć, to nie ze mną takie numery. Maximillian ma wspaniały rodowód, ale są też inne ogiery. Zawsze mogę...

– Nie próbuję się droczyć, panie Purdue – przerwał mu Cruz. Nie miał czasu na dyskusje. – Moją żonę zabrano do szpitala i muszę tam jechać. – Błyskawicznie podjął decyzję. – Ale mam tu kogoś, kto ustali z panem wysokość opłat. Hank! – Gestem przywołał pomocnika.

– Tak, szefie? – Dzięki swym długim nogom Hank zjawił się w jednej chwili.

– Panie Purdue, oto mój nadzorca, Hank Jeffers.

– Cruz w geście wyrażającym zaufanie położył rękę na ramieniu Hanka. – Wie o tym ranczu tyle samo, co ja. Hank, chcę, abyś wynegocjował opłaty za usługi Maximilliana. Ja muszę jechać do szpitala zobaczyć, co z Savannah.

Hank odwrócił się od przysadzistego ranczera i niepewnie spojrzął na Cruza.

– Kiedy zostałem nadzorcą? – spytał przyciszonym tonem.

– Dwie minuty temu. A teraz zajmij się interesami. – Cruz posłał ranczerowi wymuszony uśmiech i szybko podszedł do Billy'ego, który przyglądał się im z zaciekawieniem dziecka. – Daj mi kluczyki do swojego samochodu, a ty weź półciązarówkę i jedź po drewno.

Obaj odjechali prawie w tej samej chwili.

Cruz nawet nie pamiętał, jakimi słowami pożegnał się z panem Purdue. Nie udzielił żadnych rad Hankowi, lecz był niemal pewny, że młody kowboj sobie poradzi.

Po prostu muszę Hankowi zaufać, pomyślał, zwiększając szybkość. Po przejechaniu paru mil skonstatował, że ręce mu drżą, więc zacisnął je mocniej na kierownicy. Był też przerażony, jak nigdy dotąd. Nawet wtedy, gdy w dzieciństwie zgubił się, biwakując z rodzicami. Spędził wtedy całą noc skulony u wejścia do jaskini, szczękając zębami z zimna i modląc się o nadejście poranka.

W tej chwili modlił się o coś znacznie bardziej niepewnego. Poranki nadchodziły codziennie, natomiast teraz nie miał pojęcia, z czym przyjdzie mu się zmierzyć. Umierał z niepokoju o Savannah i błagałby los o cud, gdyby wiedział, jak. Cuda nie zdarzały się w życiu takich ludzi, jak on.

Fakt, nie miał pozytywnego nastawienia Savannah.

Savannah.

Do licha, dlaczego do tego wszystkiego dopuścił? Dlaczego nie dał jej czasu, na który zasługiwała? Przecież doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że była najlepszą rzeczą, jaka mu się kiedykolwiek przydarzyła. Zrozumiał to już tamtej nocy, gdy kochali się po raz pierwszy. Odniósł wtedy wrażenie, że doświadcza czegoś niezwykłego. Nigdy przedtem, z żadną inną kobietą, nie przeżył niczego podobnego.

Cofnął się w myśli o ponad pięć lat i wspomnienia odżyły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Znów był z Savannah w stajni na ranchu Fortune'ów. Obserwował twarz tej pięknej dziewczyny, gdy za jego zgodą podeszła bliżej do konia imieniem Hellfire. Złocisty koń, który początkowo dawał mu się we znaki, później stał się jego ulubieńcem. Vanessa dała go Cruzowi na dwudzieste piąte urodziny. Nigdy przedtem ani nigdy później nie dostał prezentu, który kochałby w połowie tak bardzo, jak tego konia.

Cruzowi podobał się zmieszany z szacunkiem podziw, malujący się w oczach Savannah, gdy patrzyła na zwierzę.

– I co ty na to? – spytał.

– Jest piękna. – Savannah delikatnie pogładziła łeb konia, szepcząc coś czule.

– To on, a nie ona. – Cruz parsknął śmiechem. – Różnica polega na...

Savannah zarumieniła się i zrobiła krok wstecz. Była najwyraźniej zakłopotana, gdy spuściła wzrok i lepiej przyjrzała się koniowi.

– Dobrze wiem, na czym polega różnica – zapewniła pośpiesznie, a Cruz znów miał ochotę się roześmiać.

– Wychowałam się na farmie. Nie śmieję się ze mnie. – Rumieniec na jej policzkach jeszcze się pogłębił i Cruz był tym zafascynowany.

– Wcale nie śmieję się z ciebie. – Poprowadził ją w stronę pustego boksu. – Po prostu wydajesz się taka słodka i niewinna.

– Nie jestem niewinna. – Savannah buntowniczo wysunęła brodę.

Zaprzeczyła, więc Cruz pomyślał, że może ona wcale nie udaje. Może naprawdę była niewinna.

– Wybacz mi. – Na jego ustach pojawił się zmysłowy uśmiech. – Oczywiście jesteś bardzo światowa.

– Cóż... – Odwróciła wzrok i wzruszyła ramionami.

– Może nie tak bardzo, ale... – Urwała, gdy położył dłonie na jej ramionach, aby znów popatrzyła na niego.

Cruz przyglądał się jej z uwagą. Savannah niewątpliwie była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie kiedykolwiek widział. Jej uroda w połączeniu z niewinnością stwarzała fascynującą kombinację.

– Jako kobieta światowa chyba nie poczujesz się obrażona, jeśli cię pocałuję? – Czubkiem palca muskał kosmyk jasnych włosów, który opadł na jej policzek.

– Jeśli co... ? – Jej głos zabrzmiał bardzo cicho.

Jej oczywiste zakłopotanie było takie słodkie i ekscytujące. Cruz odrobinę mocniej zacisnął palce na ramionach Savannah i lekko przygarnął ją do siebie.

– Wolę ci pokazać, niż mówić. – Jego dłonie przesunęły się w górę jej szyi i ujęły twarz Savannah. Natychmiast poczuł ogarniające go podniecenie, akcentowane każdym miarowym uderzeniem serca.

Dotknął wargami jej ust, a ona natychmiast stopniała, jak płatek śniegu, niezdolny do utrzymania swego kształtu, gdy zostanie rozgrzany przez promień słońca.

Jęk, który wydała, był wyrazem poddania.

Zarówno ten rozkoszny dźwięk, jak i smak jej oddechu sprawił, że pożądanie odczuwane przez Cruza stało się bardziej intensywne niż kiedykolwiek przedtem. Cruz pohamował się z wysiłkiem.

Uwielbiał podboje, z przyjemnością zaspokajał seksualne potrzeby bogatych kobiet, które często udawały, że wcale tego nie chcą. Lecz tak naprawdę spotykały się z nim tylko dlatego, że marzyły o namiętym seksie z pomocnikiem na ranchu. Chętnie dawał im to, czego pragnęły, chociaż wiedział, że używały go do swoich celów, aby móc później chwalić się swymi przygodami. Właśnie to dawało mu satysfakcję – fakt, że zdawał sobie sprawę z tego, kim one są i czego potrzebują. Nigdy nie pozwalał sobie na emocjonalne zaangażowanie, gdy w grę wchodziły wyłącznie uciechy cielesne.

Lecz słodycz i niewinność pocałunku Savannah dały mu dużo do myślenia. Zburzyły dotychczasową klasykę uwodzenia, do której Cruz przywykł dawno temu. Sprawily, że na moment się zawahał.

I natychmiast pojawiło się coś, co wzięło go pod swoją kontrolę, choć nigdy by nie przypuszczał, że to możliwe.

Ta sama niewinność, nad którą właśnie się zastanawiał, zarzuciła na niego łąso i usidlila go równie łatwo, jak spłoszonego żrebaka. Pocałunek Savannah ujawnił niepewność połączoną z ciekawością. Cruz wyczuł również rosnącą namiętność dziewczyny. Jedno i drugie razem wzięte stanowiło upajającą mieszankę. Przez moment usiłował się przed nią bronić, ponieważ podziałała na niego tak silnie. W końcu jednak się poddał i postanowił cieszyć się tą chwilą.

Lub tylko mu się wydawało, że sam podjął tę decyzję.

Jeśli miałby być ze sobą szczery, to przyznałby, że wszystko zostało zdecydowane, gdy poczuł miękkie ciało Savannah wtulające się w niego.

Zostało dla niego stworzone przez jakąś zewnętrzną siłę, która teraz z satysfakcją obserwowała go, gdy wpadał w identyczną pułapkę, jaką tyle razy zastawiał na kobiety.

Cruz szybko wmówił sobie, że wyjątek tylko potwierdza regułę. Podniesiony na duchu tym wnioskiem przestał udawać obojętność i pozwolił sobie na smakowanie doznań, które już dały o sobie znać.

Pogłębił pocałunek, lecz to już nie wystarczało, ponieważ z każdą kolejną pieścizną pragnął coraz więcej. Savannah zadrżała, gdy sięgnął do suwaka na plecach jej sukienki. Rozpiął go do samego końca i poczuł, że sukienka opada na ziemię. Ujrzał w oczach Savannah wyraz świadczący o tym, że ją zdobył.

Zdobył zarówno ją, jak i całkiem nową, nieoczekiwaną nagrodę. Było nią oszałamiające uczucie nadzwyczajnego podniecenia, jakiego nie doświadczał od bardzo, bardzo dawna. Ogarnęło ono i ciało, i duszę.

Nie był przygotowany na coś takiego.

Przywykł do kobiet, które w jego objęciach zachowywały się jak dzikie kocice. Pochlebiał sobie, że zawsze potrafi wydobyć z nich ten element, ujawnić ich skrywany sekret. Że zawsze mógł udowodnić, kim są naprawdę – gorącymi kociołkami, w których buzuje pożądanie. Ta definicja pasowała do nich wszystkich – biednych i bogatych, niezależnie od powłoki dobrych manier i osobistego wyrafinowania.

Ale nigdy przedtem nie wydawało mu się, że właśnie przekroczył próg świeżej niewinności i jednocześnie pomógł ujawnić tajemnicę, o której istnieniu ta niewinność sama nie miała pojęcia. A właśnie takie odniósł wrażenie, całując Savannah. Była chyba jeszcze bardziej niż on zdziwiona głębią własnych reakcji, bogactwem uczuć wywołanych przez jego mistrzowskie pieścizny.

I w ten sposób uwodziciel został uwiedziony. Oczarowany. Zdobyty. Przez kobietę, z którą tylko zamierzał się zabawić.

To, co oboje właśnie przeżywali, bardzo szybko przestało przypominać zabawę, a stało się doświadczeniem, przesyconym słodczą gorącą namiętności. Cruz wiedział, że pozostanie ono w jego pamięci na zawsze.

Otoczenie nagle przestało istnieć. Stajnia, konie, siano w boksie – wszystko to wyparowało ze świadomości Cruza. W tej chwili istniała tylko ta kobieta, delikatna jak szklarniowa orchidea, która zredukowała go do masy stopionego pożądania.

Był niemal spokorniały, gdy dotykał Savannah, gdy czuł zar jej ciała pod swoją dłonią. To wszystko było nowe i inne, lecz jednocześnie wydawało się Cruzowi, że czekał na taką kobietę od zawsze. I że zna ją od zawsze.

Każde dotykane miejsce na drżącym ciele Savannah było dla Cruza objawieniem, które budziło nowe pragnienia i sprawiało, że oczekiwanie miało nadzwyczajny smak.

Błądzące po jej skórze dłonie Cruza działały tak podniecająco, że Savannah reagowała na każdą kolejną pieszczotę tak gorąco, jakby cała płonęła i tylko on mógł ugasić ten pożar.

Lecz Cruz jeszcze z tym zwlekał. Na razie każdym ruchem tylko podsycił ten ogień.

Z perfekcją będącą skutkiem lat praktyki, Cruz pieścił ją palcami, wargami i językiem, uświadamiając Savannah możliwości jej własnego ciała. Udowadniał jej, że żaden kawałeczek skóry, żaden najmniejszy zakamarek nie jest odporny na dotyk kochanka. Każde z tych miejsc pozwalało rozbudzić namiętność.

Całował skórę z tyłu jej kolan, w zgięciu łokcia, zagłębienie u nasady szyi, słodko dręczył Savannah, podniecając ją coraz bardziej. A gdy dotarł tam, gdzie wszystko miało się sfinalizować, gdy wreszcie w nią wszedł, emocje prawie pozbawiły go tchu.

Cruz potrząsnął głową, powracając do rzeczywistości. Wciągnął w płuca haust powietrza, aby wyregulować oddech, przyspieszony z powodu wspomnień o pierwszej nocy z Savannah. Nie pora na wycieczki w przeszłość.

Nie mógł stracić Savannah. Po prostu nie mógł. Byłoby to jak utrata połowy duszy.

– Trzymaj się, kochanie – powiedział na głos, prawie nie zdając sobie z tego sprawy. – Musisz to przeżyć, żebym zdołał wszystko ci wynagrodzić.

Łzy zebrały mu się pod powiekami, na moment go oślepiły. Otarł oczy rękawem i zobaczył we wstecznym lusterku tańczące światło. Usłyszał też wycie syreny.

Zamrugnął, usiłując się skupić. Tańczące światła były w kolorze czerwonym, niebieskim i bladożółtym. Pulsowały na dachu samochodu.

Policyjnego radiowozu.

Cruz uznał, że widocznie już wjechał w granice miasta i nawet tego nie zauważył. I najwyraźniej przekroczył dopuszczalną prędkość. Również nieświadomie.

Tak bardzo się śpieszył, że najchętniej zignorowałby policję, ale nie miało to sensu. Z wyrażającym irytację westchnieniem zjechał na pobocze.

Miał wyostrzoną świadomość upływającego czasu i teraz z niecierpliwością obserwował w bocznym lusterku policjanta, który wolnym krokiem zbliżał się do samochodu.

Gabe Thnderhawk właśnie rozkoszował się zasłużoną przerwą w śledztwie. Oraz chwilą z dala od pani detektyw Andrei Matthews, która strasznie działała mu na nerwy.

Miał jej tak dosyć, że musiał przewietrzyć umysł.

Gdy ciemnoniebieski, zakurzony samochód ze stłuczonym migaczem przeleciał obok z szybkością światła, Gabe uznał, że śni. Nikt nie mija radiowozu w takim tempie.

Nikt, z wyjątkiem jakiegoś rozwydrzonego nastolatka, który ma w nosie przepisy. W Red Rock nie brakowało takich bachorów.

Dlatego Gabe ruszył w pościg. Po paru przecznicach musiał włączyć syrenę, bo kretyn ani myślał zwolnić.

Teraz Gabe sięgnął po książeczkę z blankietami mandatów, odsunął na tył głowy policyjny kapelusz i powoli podszedł do auta. Mógł się spodziewać Bóg wie czego.

– No dobrze, gdzie się pali... Cruz? – Gabe jeszcze raz spojrzał na grata. Znał oba auta Cruza i ten gruchot nie był żadnym z nich. – To nie jest twój samochód.

– Mojego pomocnika. – Cruz nie miał czasu na opowieści o pożarze oraz wyjaśnianie, dlaczego zamienił się z Billym pojazdami. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że liczy się każda sekunda. Że jeśli on się nie pośpieszy, to może być za późno. Do licha, dlaczego od razu nie pojechał za Vanessą, gdy o to poprosiła? Już dawno byłby u boku Savannah. – Gabe, Savannah zabrano do szpitala. Muszę tam jechać.

– Coś poważnego? – Gabe nagle przestał być policjantem. Teraz obaj byli sąsiadami. Przyjaciółmi. Wszyscy w miasteczku uwielbiali Savannah.

– Tak. – Słowo z trudem przeszło przez zaciśnięte gardło Cruza i zabolalo jak cięcie noża.

– No to jazda. Dam ci eskortę. – Gabe pobiegł do radiowozu.

Cruz dojechał do szpitala w piętnaście minut. Z dzwierzącymi w uszach słowami Gabe'a „Mam nadzieję, że Savannah czuje się lepiej”, wpadł do izby przyjęć.

– Nie może pan tam iść! – Recepcjonistka zerwała się z biurka, gdy pognął w głąb korytarza.

– Moja żona tam jest! – rzucił przez ramię. – Savannah! – Wiedział, że pewnie wygląda jak wariat, biegnąc od drzwi do drzwi i wołając ją, ale guzik go to obchodziło. Po prostu musiał ją znaleźć. Jak najszybciej. Tylko to się liczyło.

Oraz to, by była zdrowa.

Poczuł, że ktoś chwyta go za ramię i raptownie się odwrócił.

– Właśnie zawieźli ją do jej pokoju – powiedziała Vanessa.

Poprowadziła go w stronę wind. – Spakowałam jej rzeczy, żeby zabrać je na górę. – Spróbowała się uśmiechnąć, ale niewiele z tego wyszło. – Twój głos jest nadzwyczaj donośny.

– Co z Savannah? Lepiej? – Wpił się wzrokiem w twarz Vanessy. Miał nadzieję, że zdoła rozpoznać kłamstwo, gdyby je usłyszał.

– Na razie. – Nadjechała winda, więc oboje weszli do środka i Vanessa nacisnęła przycisk drugiego piętra.

– Co to znaczy „na razie”? – Cruzowi nie spodobała się ta odpowiedź. Serce zamarło mu w piersi i gniotło jak kawał lodu. – Co jej jest? Co się stało?

– Nie jest taka silna, za jaką się uważa. Ta druga ciąża kosztuje ją więcej niż poprzednia. Organizm chyba się poddał.

Nie, to nieprawda, pomyślał Cruz. To niemożliwe.

– Muszę porozmawiać z jej lekarzem.

– Właśnie jest z nią. Przed chwilą się z nim widziałam. – Wzięła Cruza pod ramię i spojrzała na niego ze zdumieniem. – Cały się trzęsiesz.

Normalnie jego męska duma zmusiłaby go do zaprzeczenia, ale w tej chwili Cruz nie był ucieleśnieniem twardego faceta. Czuł się jak zwyczajny człowiek, który się boi, że może stracić wszystko, co nadaje jego życiu sens.

– Nigdy nie było mi tak zimno.

– Wszystko będzie dobrze.

– Gdzie jest Luke?

– Zostawiłam go z moją gosposią. Zadzwoiłam też do twojej mamy.

Pewnie teraz jedzie po niego.

– To dobrze.

Lepiej, że matka miała zająć się jego synkiem, niż gdyby przyjechała tutaj. Cruz nie był pewien, czytrzymałby się tak dobrze, będąc obiektem jej współczucia. Na razie panował nad sobą tylko dzięki stalowej determinacji, którą przywołał na pomoc po telefonicznej rozmowie z Vanessą.

Stal rozpadła się w proch, gdy Cruz wszedł do szpitalnego pokoju i ujrzał żonę. Nadal leżała nieprzytomna, a jej ramię było podłączone do kroplówki. Savannah wyglądała blado i krucho. Nigdy przedtem nie widział jej w takim stanie.

Dlaczego tego nie przewidział? Dlaczego nie zauważył, że ona pracuje za ciężko? Że obecnie dźwigała na swoich barkach zbyt wiele?

Bo nigdy mnie tam nie było, pomyślał gniewnie. A kiedy już wrócił do domu, pozwalał jej sobie usługiwać, jakby był jakimś dyktatorem lub zadufanym w sobie jaskiniowcem. Czuł się też zazwyczaj tak bardzo wykończony, że nigdy nie zauważał jej zmęczenia.

Ale z niego mąż.

Nie zastali lekarza w pokoju i Vanessa poszła go poszukać. Cruz podszedł do łóżka i wziął Savannah za rękę.

– Zbudź się, dziecinko. Proszę cię, zbudź się.

Lecz Savannah nawet się nie poruszyła.

Strach chwycił go w swoje szpony i trzymał nieubłaganie. Cruz ciężko klapnął na krzesło obok łóżka, nadal ściskając dłoń żony.

RS

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Cruz zerwał się na równe nogi natychmiast, gdy doktor Miller wszedł do pokoju. Była już dziesiąta wieczorem i Cruz spodziewał się zobaczyć lekarza dopiero jutro rano.

Odruchowo pomasował bolący na skutek długotrwałego napięcia krzyż. Szpitalne krzesło nie poprawiło samopoczucia, było równie wygodne, jak narzędzie tortur z czasów świętej inkwizycji.

Wstrzymał oddech, gdy lekarz wziął kartę i zaczął czytać notatki pielęgniarek.

– Minęło dziesięć godzin. Nie powinna już odzyskać przytomności?

– Teoretycznie tak. – Doktor Miller powiesił kartę na haczyku w nogach łóżka. – Lecz w praktyce ludzki organizm wie najlepiej. Pańska żona wiele przeszła. Jej organizm usiłuje pokonać przeciwności, czyli mówiąc krótko – wrócić do normy. Jeśli na razie jest nieprzytomna, to jej organizm nie musi zajmować się niczym innym poza odzyskiwaniem zdrowia.

– Lecz ona wyzdrowieje, prawda?

Cruz musiał to usłyszeć jeszcze raz. Wcześniej doktor Miller dokładnie wyjaśnił mu, jakie są prognozy, lecz Cruz rozpaczliwie potrzebował jeszcze jednego zapewnienia, że Savannah wkrótce dojdzie do zdrowia. Owszem, wiedział, że nie można tego zagwarantować, lecz tak bardzo pragnął podbudować swój optymizm jakąś pozytywną informacją. Nawet kłamstwem.

– Tak. – Lekarz z wyrozumiałością skinął głową i powtórzył to wszystko, co już raz Cruzowi wyjaśnił, pominąwszy tylko zawodowy żargon. – Podaliśmy pańskiej żonie środek powstrzymujący przedwczesny poród. Wydaje się, że to, co zaszło, nie odbiło się w żaden niekorzystny

sposób na dziecku. – Doktor Miller spojrział na Savannah. – Ona po prostu musi dojść do siebie. – Położył dłoń na ramieniu Cruza. – Nie sposób przewidzieć, ile to zajmie czasu. Może pojedzie pan do domu, panie Perez? Poproszę, żeby ktoś pana natychmiast zawiadomił, gdy tylko pańska żona otworzy oczy.

Cruz wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze z płuc. Patrzył na Savannah niemal hipnotycznym wzrokiem, jakby chciał ją skłonić do uchylenia powiek.

– Jestem w domu, doktorze. Ona nim jest. Nie ma innego miejsca, gdzie teraz chciałbym być.

Doktor Miller wielokrotnie słyszał podobne zapewnienia z ust innych współmałżonków. Rzeczywistość miała jednak swoje wymagania.

– Potrzebuje pan wypoczynku.

– Wszystko, czego potrzebuję, doktorze, jest właśnie tutaj. – Cruz zacisnął wargi, patrząc na żonę. Usiłował powstrzymać czarne myśli. Nigdy nie zaliczał się do optymistów. Słoneczna pogoda ducha była domeną Savannah.

Lekarz zrozumiał, że nie zdoła Cruza przekonać, więc skinął głową i poklepał go po ramieniu.

– Zajrzę tu jutro rano – rzekł, ruszając do drzwi.

– Rano? A jeśli ona będzie pana potrzebować w środku nocy?

Lekarz na moment przystanął.

– Jeden z moich najlepszych współpracowników jest na nocnym dyżurze. A pielęgniarki tutaj nie mają sobie równych. – Na wargach doktora Millera pojawił się blady uśmiech. – W zeszłym roku przekonałem się o tym osobiście. – Popatrzył na pacjentkę, a potem na Cruza. – Gdyby chodziło o moją żonę, w tej sytuacji wołałbym, żeby była tutaj.

– Ja tylko chcę, aby ona już wróciła do domu – mruknął Cruz.

– To zrozumiałe. – Lekarz wyszedł z pokoju.

Cruz niespokojnie krążył po niewielkim pomieszczeniu. Usiłował poskromić swoją wyobraźnię, aby nie wzięła nad nim góry. Vanessa pojechała na noc do siebie. Jego rodzice już tu byli – najpierw ojciec, a później matka, aby Luke nie został w domu sam. Podobno zapewnili chłopca, że jego mama jest zdrowa i tylko musi trochę odpocząć. Rosita powiedziała jednak Cruzowi, że dzieciak nadal ma wątpliwości.

– Jest równie przenikliwy, jak ty w jego wieku – oznajmiła. Głaskała dłoń Savannah, z trudem powstrzymując łzy. – Będziecie mieć z nim pełne ręce roboty.

Już mamy, przemknęło mu przez głowę. I każdą sprawą zajmowała się Savannah. Cruz poczuł wyrzuty sumienia na myśl o liście obowiązków, z którymi Savannah codziennie musiała sobie radzić. Robiła to bez słowa skargi. Nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki jej nie zabrakło. Od niedawna usiłował robić wszystko sam i już nagromadziły się kolosalne zaległości. Księgi rancza leżały odłogiem.

Niespokojny i sfrustrowany, Cruz znów podszedł do łóżka i popatrzył na bladą twarz Savannah. Nie poruszyła się ani razu od rana, gdy przywieziono ją tu z gabinetu lekarskiego. Nie otworzyła oczu. Wiedział to na pewno, bo przecież był przy niej przez cały czas. Czekał. Miał nadzieję.

Wcześniej Vanessa nalegała, aby coś zjadł. Nawet przyniosła mu kanapkę ze szpitalnego kiosku. Kanapka nadal leżała na półce przy oknie, zawinięta w celofan. Ale Cruz nie miał apetytu.

Nie miał niczego bez Savannah.

O, Boże, a jeśli... ?

Ujął jej dłoń i ukląkł przy łóżku. Przez chwilę szukał w myśli słów, którymi mógłby się modlić, ale nie pamiętał niczego odpowiedniego.

– Tak, to ja – zwrócił się w końcu do swego stwórcy. – Wiem. Od dawna nie rozmawialiśmy. – Miał teraz wrażenie, że nie istnieje miejsce, gdzie mógłby się ukryć przed cierpieniem. Przed rozpaczliwą bezradnością wypełniającą jego duszę. – To nie z braku szacunku. Po prostu byłem zajęty. Ale Ty już to wiesz. – Zaśmiał się krótko. – Przecież Ty wiesz wszystko. – Cruz spojrział w stronę sufitu. – Na przykład to, że nie mógłbym bez niej żyć. Uczynię wszystko, co zechcesz – kontynuował błagalnym tonem. – Tylko proszę, nie zabieraj mi jej. Proszę, spraw, aby się zbudziła. Potrzebuję jej, Boże. Dużo bardziej niż Ty. Spraw, aby otworzyła oczy i mnie wysłuchała. Proszę.

Przez łzy patrzył na Savannah, lecz jej oczy nadal były zamknięte.

Z ciężkim jak kamień westchnieniem ukrył twarz w szpitalnym kocu i się rozszlochał.

Wszystko ją bolało.

Im bardziej usiłowała wydostać się na powierzchnię, tym bardziej przeraźliwy stawał się ból. Może wcale nie powinna się z nim tak zmagać. Może lepiej pozostać w tym kokonie, w którym teraz się znajdowała.

Było w nim całkiem miło.

Bezpiecznie.

Jego miękkie, niemal jedwabiste ścianki działały tak kojąco. Dopóki była nimi otoczona, odseparowana od świata zewnętrznego, nic jej nie groziło.

Niczego tutaj od niej nie wymagano. Nie istniało cierpienie ani stres. Nie było dni wypełnionych nieskończonymi zadaniami, bezustannymi wymaganiami, które drenowały jej energię, a pozostawiały frustrację.

Ale nie było tutaj Luke'a. Ani Cruza. I czuła się taka samotna.

Tak bardzo pragnęła być z nimi.

Zebrała się na odwagę, aby dokonać nadludzkiego wysiłku. Musiała przeciwstawić się tej chęci kuszącej ją poczuciem bezpieczeństwa. Ciepłem i brakiem cierpienia. Niemal wbrew sobie spróbowała uwolnić się z kokona.

Aby odnaleźć ludzi, których kochała nad życie.

Dźwięk czyichś słów okazał się jej przewodnikiem. Głos Cruza dochodził z oddali... Cruz o coś ją pytał... coś do niej mówił...

Targował się z kimś o nią.

A może ten głos należał do kogoś innego. Nie była tego pewna. Ale wmawiała sobie, że to Cruz i to przeświadczenie dodawało jej sił. Umożliwiało ratunek. Wiedziała, że zwątpienie znów pośle ją na samo dno, gdzie będzie musiała zostać już na zawsze.

Powoli, jak głębinowy nurek starający się nie dopuścić do skurczów wywoływanych przez zmianę ciśnienia, zaczęła oddalać się od dna. Pokonywała głębiny z wielkim trudem, lecz w końcu wydostała się na powierzchnię. Zgrzytając zębami, stawiała czoło atakowi bólu.

Jej powieki ważyły chyba tonę, ale starała się je uchylić. Kilkakrotnie już sądziła, że jej się udało, ale było to tylko złudną nadzieją.

Nie zamierzała się poddać.

Miała wrażenie, że te zmagania trwały przez całą noc. Straszliwie ją to wyczerpało. Ale kontynuowała swoje wysiłki.

Gdy wreszcie zdołała otworzyć oczy, światło dnia rozjaśniało pokój, skutecznie przegoniwszy dotychczasowy mrok.

Nie miała pojęcia, gdzie jest. Nic nie wyglądało znajomo.

Jej wzrok stopniowo zaczął funkcjonować jak należy. W polu widzenia znalazły się przezroczyste, plastikowe przewody podłączone do

jej przedramienia, biały koc okrywający łóżko, na którym leżała. Mężczyzna śpiący na krześle obok niej.

Cruz.

To, co pozostało z jej serca, zabiło raptownie. Jej gardło było takie suche. Dokonała nadludzkiego wysiłku, aby powiedzieć jedno słowo.

– Cruz?

Natychmiast otworzył oczy. Tej nocy słyszał z tuzin razy, jak Savannah wymawia jego imię, lecz ilekroć na nią spojrzał, nadal była nieprzytomna.

Lecz teraz było inaczej.

– Savannah, zbudziłaś się. – Omal nie padł na kolana, chwytając jej dłoń.

– Oczywiście. – Odchrząknęła, bo jej głos zabrzmiał chropawo. – Przecież już rano. – Rano. Powinna więc zająć się różnymi sprawami.

Ale gdzie się znajduje? I gdzie jest Luke?

Co Cruz tutaj robi i dlaczego ma taką smutną minę?

– O, Boże, skarbie, obudziłaś się...

– Uhm. – Przecież już ustalili ten fakt. Usiłowała nie dopuścić, aby znów otoczyły ją mgliste obłoki. Ależ była obolała. Zupełnie jakby parę razy przejechała ją ciężarówka. – C... co ja tutaj robię?

– Vanessa znalazła cię nieprzytomną w łazience.

– Cruz oblizwał spierzchnięte wargi. Nawet mówienie o tym, co się stało, było przerażające. – Krwawiłaś...

– Krwawiłam? – Gdy po chwili pojęła znaczenie tego słowa, natychmiast spróbowała usiąść. – Dziecko... ?

– W jej głosie zabrzmiała panika.

– Z dzieckiem wszystko w porządku – zapewnił pośpiesznie i delikatnie ją przytrzymał, aby pozostała w leżącej pozycji. Nie musiał włożyć w to wiele wysiłku, ponieważ Savannah była słaba jak mały kociak.
– Vanessa wezwała doktora Millera.

To Vanessa pamiętała nazwisko ginekologa Savannah. Gruzowi wyleciało ono z głowy. Kolejna dziedzina, w której się nie sprawdził. Postanowił, że od dzisiaj wszystko, co dotyczy jego żony i dzieci, dotyczy również jego samego.

– Dał ci coś, żeby powstrzymać poród. – Cruz nie mógł się na nią napatrzeć. Odzyskała przytomność. Wyzdrowieje, powtarzał w myśli. – Ale napędziłaś mi stracha.

Uśmiechnęła się blado i powoli przypomniała sobie, co zaszło. Najpierw atak przeraźliwego bólu, a później wszystko pociemniało.

– Z tej strony też nie wyglądało to najlepiej. – Pamiętała, że zanim zemdląca, Luke coś do niej wołał.

– Luke... ? – Znowu wpadła w panikę.

– Jest z moimi rodzicami. – Nie wiedział, czy ona zdaje sobie sprawę z tego, że Luke wtedy z nią był. Ale chyba nie było potrzeby mówić jej o tym teraz. Znajac Savannah, pewnie zadrećzałyby się faktem, że przestraszyła synka.

– Już poranek, Cruz. – Savannah trochę się zasepiła. –Dlaczego...

– Tak. – Rzeczywiście już poranek, pomyślał. Dla nich obojga. – Trzymał jej dłoń tak mocno, jakby nigdy nie zamierzał jej puścić.

– Dlaczego nie jesteś na ranczu?

Cruz już wczoraj otrzymał sprawozdanie na temat aktualnej sytuacji. Hank zadzwonił, aby powiedzieć, jak udały się negocjacje z panem Purdue oraz jak Billy poradził sobie z zakupem drewna. Trzej pomocnicy spędzili

większość dnia, przybijając deski na tyłach stajni. Konie podobno zostały do niej zagnane na noc bez problemów.

– Zostawiłem Hanka na posterunku. – Z przyjemnością zauważył radosne zdumienie na twarzy Savannah.

– Miałaś rację. – Zdawał sobie sprawę z tego, że już dawno powinien był bardziej liczyć się ze słowem żony.

– Hank zna się na robocie. Awansowałem go na stanowisko mojego zastępcy. Dogląda napraw.

– Napraw? – O ile pamiętała, nic nie wymagało reperacji.

– Stajni. Ta najbliższej domu częściowo się spaliła.

– Spaliła?! – Savannah zakręciło się w głowie. – Dokładnie jak długo byłam nieprzytomna?

– Za długo. – Odgarnął włosy z jej czoła, pogłaskał gładki policzek. W duchu podziękował Bogu za wysłuchanie jego modlitwy, zwłaszcza po tak długim milczeniu. – Zemdlałaś wczoraj około dziesiątej.

– I byłeś tu przez cały czas? – Niewiarygodne, pomyślała. Kim jest ten facet i gdzie podział się jej mąż?

– Tak.

– Umarłam i jestem w niebie? – Tak, to by wyjaśniało sprawę.

– Nie, skarbie. – Śmiech Cruza wyrażał całą jego ulgę. – Ale bałem się, że możesz z tego nie wyjść. – Znów wziął ją za rękę i popatrzył w oczy. Te piękne oczy, które tak bardzo kochał. – I dlatego zrozumiałem wiele rzeczy. Na przykład to, że jesteś dla mnie najważniejsza na świecie.

– Może powinnam umierać trochę częściej. – Nadal miała wątpliwości, czy może wierzyć własnym uszom.

– Nawet tak nie żartuj. – Cmoknął ją w czoło. – Musisz wydobrzeć. Lekarz twierdzi, że na razie musisz mniej pracować.

Łatwo lekarzowi tak mówić, pomyślała. Nie miał pojęcia, że jej mąż ma stałą pomoc domową.

– Mniej pracować?

– Właśnie. Czyli sobie odpuścić.

– Sobie odpuścić? – To ciekawe, pomyślała. Ostatni raz, gdy sobie odpuściła, zdarzył się tuż po narodzinach Luke'a. A później jej życie przypominało nieustający kołowrót, było bowiem wypełnione po brzegi milionem zajęć.

– I przestać powtarzać każde słowo.

Już zastanawiała się nad czymś innym, więc prawie Cruza nie usłyszała. Sprawy wymagały koordynacji.

Oraz kooperacji. Będzie musiała korzystać z uprzejmości innych ludzi, a nie znosiła tego robić.

– Jeżeli zostaną u Vanessy aż do porodu... i trochę później...

– Będziesz na ranczu.

Powrót na ranczo nie rozwiąże problemów, pomyślała. Przeciwnie, zwielokrotni je. Ale musiała przyznać, że wizja życia z dala od Cruza była nie do zniesienia. Zgodnie ze słowami znanej piosenki, chyba lepiej być nieszczęśliwą, kochając go, niż szczęśliwą, kochając kogoś innego.

– A kto mi pomoże zajmować się Lukiem?

– Ja. – Powiedział to z takim przekonaniem, jakby rzeczywiście wierzył, że sobie poradzi. Oboje wiedzieli, że nie jest to takie oczywiste.

– Nie masz nawet czasu na oddychanie.

– Wciąż mi powtarzasz, że powinienem scedować na kogoś część obowiązków. Już zacząłem. A z tymi pieniędzmi, które Vanessa nam pożyczka, mogę odbudować stajnię i najać więcej ludzi. Będę mógł ci pomagać. Są jeszcze moje siostry i matka. Nie będziesz się przemęczać.

– Vanessa pożyczka nam pieniądze?

– Tak. – Dopiero teraz skonstatował, że zapomniał jej o tym powiedzieć.

– I pozwalasz jej? – Nie, to nie był jej mąż, lecz jego ulepszona kopia.

– To już załatwione.

– Na pewno nie jestem w niebie? – Popatrzyła na kroplówkę. – Albo nadal nieprzytomna? To, co mówisz, bardziej przypomina halucynacje.

– To żadne halucynacje – odparł ze śmiechem. – Siedząc tu przy tobie, zdałem sobie sprawę z czegoś ważnego. Nieważne, czy będę mieć najlepsze ranczo w Teksasie, jeśli ty nie będziesz dzielić ze mną sukcesu. Poza tym chyba polubiłem cedowanie obowiązków. Hank wytargował wyższą opłatę za usługi Maximilliana, niż ja chciałem zaproponować. A Purdue poleci nas przyjaciołom. Spłacimy Vanesę już wkrótce, i to z procentem. Nawet jeśli ona nie zechce go wziąć.

– Mówisz poważnie?

– Jak nigdy dotąd. – Rozsadzała go radość. Savannah z nim rozmawiała. Na pewno wróci do zdrowia.

– Byłeś tu wczoraj wieczorem? – Jej umysł nadal pracował wolniej niż zwykle.

– Oczywiście. – Ucałował jej dłoń. – Czemu pytasz?

– Więc to ciebie słyszałam przez sen.

– Kiedy?

– Gdy byłam nieprzytomna, słyszałam czyjś głos. Jego dźwięk pomagał mi wydostać się z otchłani. Myślałam, że to głos Boga. – Uśmiechnęła się, z sercem przepelnionym miłością. – Chyba się pomyliłam.

– To byłem tylko ja. Naprawdę mnie słyszałaś?

– Tak. – Dotknęła dłonią jego twarzy. Kochała go chyba jeszcze bardziej niż przedtem. – Przykro mi z powodu tego wszystkiego.

– Nie powinno ci być przykro. Jedyne powód do żalu to może fakt, że wyszłaś za takiego głupka jak ja.

– Kocham tego głupka – zapewniła z radosnym uśmiechem.

– Nie zmieniaj zdania. – Delikatnie pocałował ją w usta.

– Tylko na to cię stać? Byle jakie muśnięcie warg?

– Na razie, gdy jesteś podłączona do tych rurek. – Chciał, aby dzięki powadze w głosie słowa brzmiały przekonująco, lecz rozsadzała go radość. Dostał drugą szansę. Mógł wszystko wyprostować. – Ale po powrocie do domu postaram się dużo lepiej.

– Dla czegoś takiego warto żyć.

– Jeszcze jak! – Powoli przesunął kciukiem po jej dolnej wardze. Uwielbiał to, że uśmiech Savannah zawsze najpierw pojawiał się w jej oczach.

– To nie obiecanki cacanki? – Wszystko wydawało się jej zbyt dobre, aby było prawdziwe.

– Nic z tych rzeczy – zapewnił. – Pokażę ci, co potrafię, gdy tylko wejdiesz do domu.

– Więc lepiej zostawmy Luke'a u dziadków. – Tak bardzo pragnęła objąć Cruza. Na razie musiała jednak zadowolić się obietnicą.

– To dobry plan.

– Dostanę chociaż odrobinę na spróbowanie? – Wyznaczyła małą odległość między kciukiem a palcem wskazującym.

– Tylko troszeczkę. – Pochylił się i pocałował ją jeszcze raz.

Marie Ferrarella

Ma na swoim koncie kilkadziesiąt świetnie sprzedających się romansów. Lubi mówić o sobie, że urodziła się, by pisać. Rodzice Marie są Polakami, jednak ona urodziła się w Niemczech. Gdy miała cztery lata, cała rodzina przeniosła się do USA ostatecznie zamieszkała w Nowym Jorku. To właśnie tam czternastoletnia Marie poznała swego przyszłego męża Charlesa Ferrarellę.

Jako dziecko spędzała dużo czasu przed telewizorem, do jej ulubionych programów należał serial „Bonanza” i program „Klub Myszki Miki”. Wieczorami z zapalem dopisywała nowe wątki do serialu lub próbowała rozwiązać na papierze zapamiętane z seriali zagadki kryminalne.

Pierwsze opowiadanie napisała w wieku jedenastu lat, chociaż nie miała pojęcia, że to romans.

Marzyła o karierze aktorki, ale podczas studiów w Queens College ten zawód stracił w jej oczach całą romantyczną otoczkę. Ostatecznie ukończyła literaturę angielską. Zaraz potem cała rodzina przeniosła się do południowej Kalifornii. Tam też odbył się ślub Marie z Charlesem Ferrarellą.

Marie stawia sobie za cel "pisać tak, by ludzie dobrze się bawili". Wyznaje też: „Jestem najbardziej szczęśliwa, gdy mogę pisać i spędzić kolejny romantyczny wieczór z moim mężem”.

Wywiad z redaktorką

Marsha Zinberg, redaktorka w wydawnictwie Harlequin, odpowiada na pytania najczęściej zadawane przez czytelniczki i zdradza kulisy powstawania wielotomowych sag rodzinnych.

Kto wpadł na pomysł sagi o rodzinie Fortune?

W Harlequinie wszelkie decyzje dotyczące planu wydawniczego podejmowane są kolektywnie, przede wszystkim na kolegiach redakcyjnych. Szukamy inspiracji w mediach – produkcjach telewizyjnych, filmach kinowych, a nawet artykułach prasowych.

Potem zostaje powołany zespół redakcyjny, który pracuje nad koncepcją sagi i rozwija najbardziej obiecujące pomysły. Po zbadaniu opinii czytelników wybieramy te wątki, które wzbudziły największe zainteresowanie. Zespół opracowuje końcową koncepcję sagi i zaczyna rozmowy z naszymi najlepszymi autorkami, proponując im udział w projekcie.

Kto decyduje o wyborze autorek?

Zwracamy się do tych autorek, którym nie przeszkadza praca w zespole – proszę pamiętać, że pisanie książek to proces, który wymaga skupienia i skazuje twórcę na pewnego rodzaju izolację. Kierujemy się również zainteresowaniami autorek oraz ich dotychczasowym dorobkiem. To oczywiste, że nie poprosimy autorki piszącej przeważnie o Teksasie, by wzięła udział w tworzeniu sagi osadzonej w Nowym Jorku. Nie ma też sensu namawiać kogoś specjalizującego się w thrillerach do pisania komedii romantycznej.

Czy autorki dostają jakieś wytyczne?

Oczywiście dbamy o spójność akcji, ujednolicenie imion, nazwisk i innych nazw własnych. W tak szeroko zakrojonym projekcie łatwo o pomyłkę, dlatego na wzór scenarzystów seriali telewizyjnych tworzymy

dokument zwany biblią. Autorki znajdą tu charakterystykę głównych bohaterów, historię rodziny oraz dokładne streszczenie wszystkich tomów. Dołączamy również opis wszystkich ważnych budynków, a nawet mapy. O ile w trakcie pisania autorka uzna za niezbędne dokonanie pewnych zmian, musi poinformować o tym redaktora naczelnego, który z kolei przesyła te informacje do pozostałych autorek biorących udział w projekcie.

Kto czuwa nad spójnością akcji i faktów?

To rzeczywiście ciężkie zadanie, ponieważ wszystkie tomy sagi powstają niemal równocześnie. Prosimy autorki, by były w stałym kontakcie, informując się nawzajem o postępach pracy oraz istotnych faktach, które mogą mieć znaczenie w kolejnych tomach. Oczywiście nad całością czuwa redaktor, który nie tylko sprawdza zgodność faktów, lecz również ocenia poszczególne tomy pod względem konstrukcyjnym i literackim. Dba, by została zachowana logika rozwoju akcji, by nie zmieniła się charakterystyka głównych postaci.

Ile czasu zajmuje praca nad takim projektem?

Od półtora roku do nawet dwóch lat – tyle czasu musi upłynąć od podjęcia decyzji o tworzeniu sagi do pojawienia się pierwszego tomu na półkach księgarskich.